

Magdalena Miecznicka

ZŁOŚĆ



Magdalena Miecznicka

ZŁOŚĆ

WYDAWNICTWO LITERACKIE

Alkowi

Cierpienie uszlachetnia, ale tylko w powieściach
takich jak *Ania z Zielonego Wzgórza*.

Marek Hłasko, *Piękni dwudziestoletni*

Prolog

Kiedy myślę o tamtym lecie, spod wszystkich olśnień — smaku słonej wody, zapachu kurzu na rozgrzanej drodze i wilgoci pocałunków — pierwsza wyłania się дума. Дума, że pozwoliłam złości mną zawładnąć, i дума, że dzięki niej stałam się kimś innym, niż byłam dotąd. Kimś twardszym i gorszym. Dorosłym.

Ale potem przychodzi zwątpienie.

Wśród anegdot powtarzanych przez kobiety z mojej rodziny, kiedy byłam dzieckiem, jest jedna, która ma szczególny związek z tą opowieścią. To historia dziewczyny, której matka została porzucona przez męża niedługo po urodzeniu córki. Być może chcąc zrealizować swoje dawne marzenie o wolności i karierze, a może z jakiegoś innego powodu, wyjechał on do Chicago i odezwał się dopiero wtedy, gdy córka kończyła osiemnaście lat. Z tej okazji wysłał jej małe pudełko z brylantowymi kolczykami, jakich z pewnością nie miała żadna z jej peerelowskich koleżanek. Do prezentu dołączył zaproszenie do Ameryki, które w owych czasach (musiały to być wczesne lata siedemdziesiąte) było w Polsce szczytem marzeń. W godnym podziwku goście solidarności z matką i w zgodzie z własnym wypełnionym tęsknotą dzieciństwem dziewczyna odesłała je jednak

bez słowa i — jak głosi opowieść — nigdy nie spotkała swojego ojca.

Historia ta długo mnie fascynowała. Przez dziesięć lat od odejścia mojego ojca, który gonił za podobnym marzeniem, choć już w polskiej rzeczywistości, nieraz przed zaśnięciem wyobrażałam sobie, że to ja otrzymuję przesyłkę i odsyłam ją bez słowa. W myślach widziałam jego minę, kiedy odbiera swój prezent i zdaje sobie sprawę ze wszystkiego, co musiałam czuć przez te lata — po czym wzrusza się i żałuje. Następnie zaś prosi mnie o przebaczenie, a ja odmawiam. A mimo to odtąd nasze stosunki pozostają pełne zainteresowania i uwagi — oczywiście z jego strony. I w każdym z języków obcych, jakich się uczyłam, powtarzałam sobie ten monolog, który kiedyś przed nim wygłoszę i w którym pięknie i dobitnie przedstawię swoje racje. Kto wie zresztą, czy nie po to z takim zapałem uczyłam się języków — żeby zwielokrotnić lingwistycznie triumf, który kiedyś przypadnie mi w udziale.

A jednak, kiedy miałam szesnaście lat i odebrałam telefon od sekretarki ojca, że będzie on niedługo w naszym mieście i chciałby się ze mną spotkać, zamiast zademonstrować niechęć, stawiałam się grzecznie w wyznaczonym miejscu. Ostatecz-

nie musiało dojść do tego spotkania, żebym mogła powiedzieć ojcu, co o nim myślę. Pozwoliłam sobie tylko na maleńką niepunktualność, licząc, że będzie ona pierwszym aktem mojej przewagi. Przewagi moralnej dziecka nad rodzicem, który je skrzywdził. Najprostszej, najszlachetniejszej przewagi, jaką można sobie wyobrazić. I idąc na spotkanie, ufałam, że oto zaczyna się relacja, w której ja będę górą.

Szybko zrozumiałam jednak, jak chybione były moje kalkulacje. Mężczyzna, którego zastałam przy stoliku, nie wyglądał na kogoś, kogo łatwo onieśmielić. Na zdjęciach z czasów mojego wczesnego dzieciństwa, z których zrobiłam sobie w domu mały ołtarzyk w tajemnicy przed mamą, wydawał się szczupły, a nawet chudy. Jego oczy błyszczały zaś jak oczy studenta, który gustuje w złych ideach. I kogoś takiego się spodziewałam — błyskotliwego doktoranta, do którego wrażliwości łatwo mi będzie trafić. Kiedy przyszłam na świat, moi rodzice byli w końcu parą intelektualistów. Tymczasem czekający na mnie mężczyzna z tamtego chłopaka miał tylko bladą cerę i gęste, ciemne włosy. Od czasu do czasu odgarniał je dłonią do tyłu, w geście samozadowolenia. Poza tym jednak zdążył przytyć i upodobnił się do okrutnego bożka. Jego twarz była pełna jak twarz Buddy, a spod wyrazistych brwi pa-

trzyły wąskie i przebiegłe oczy. Elegancki ubiór — ciemny garnitur — nie zdołał jednak ukryć masywnego karku, przywodzącego na myśl bywalca osiedlowej siłowni.

W ogóle strój i styl bycia mojego ojca zdawały się pasować bardziej do bankiera z Mediolanu niż do polskiego biznesmena. A jednak, jak się niebawem przekonałam, komponowały się świetnie z jego charakterem. Był to bowiem mężczyzna brutalny i zawsze pewien swojej racji. Być może stał się taki w wyniku oszałamiającej kariery, a może to właśnie te cechy umożliwiły mu karierę — albo jedno i drugie po trochu. Przez jakiś czas miałam wstydliwą manię śledzenia wszystkiego, co mówiono i pisano na jego temat. W jakimś gazetowym „portrecie” wyczytałam, że jego ulubionym filozofem jest Nietzsche, pisarzem Dostojewski, a najbardziej pogardzaną cechą słabość. Sam uważał się za człowieka silnego i odważnego; do dzisiaj nie jestem pewna, czy taki był, czy też raczej brał swoją brutalność za siłę. W każdym razie biła od niego niezwykła, wręcz niebezpieczna energia, która otwierała przed nim wiele drzwi i być może niektóre serca.

Tamtego popołudnia mnie jednak zmroziła, tak bardzo, że nie mogłam wydobyć z siebie słowa. Zrozumiałam, że jeśli nie wykonam jakiegoś spek-

takularnego gestu, właśnie w rodzaju zwrócenia mu brylantowych kolczyków, rozgniecie mnie jak robaka. Ale na żaden taki gest nie było mnie stać.

— Mają tu doskonałą kaczkę z jabłkami. Polecam ci — powiedział z pełnymi ustami, kiedy usiadłam naprzeciwko i zatopiłam w nim wyczekujące spojrzenie.

Zbił mnie z tropu. Przez dziesięć lat, podczas których obmyślałam nasze powitanie, ani razu nie pojawiła się w nim kaczka z jabłkami. Zanim skończyłam obiad, ojciec wstał i zaczął się ze mną żegnać.

— Jestem zajęтым człowiekiem, a ty spóźniłaś się dziesięć minut — wyjaśnił rzeczowym tonem, który miał pokazać, że moje przewinienie wcale go nie dotknęło. Zapewne dlatego, że nic nie było w stanie go dotknąć.

To akurat łączyło go z moją matką, a w każdym razie z osobą, jaką się stała po jego odejściu. Z wczesnego dzieciństwa zachowałam wspomnienie jej ciepła — potem jednak stała się powściągliwa i daleka. Być może po prostu nie chciała pokazać przede mną słabości — a może naprawdę słabość była jej obca, w każdym razie moje pytania o ojca zbywała obojętnym, przepraszającym uśmiechem i wracała do pisania swoich tekstów.

Ojciec był biznesmenem, który zbudował karierę na bezwzględności. Matka była dziennikarką, autorką ostrych i wzruszających reportaży społecznych o naszym regionie, które wyczerpały jej entuzjazm dla świata. Kiedyś razem chcieli czytać książki i być szczęśliwi, ale potem przyszły lata dziewięćdziesiąte i nikt już nie miał takich miłych planów. Kim mogłam stać się ja, roztkliwiająca się nad sobą sierota po ich marzeniu?

— Porozumiem się z żoną i zaprosimy cię do nas w czasie wakacji — dodał mój ojciec i wyszedł, a ja zostałam sama ze wstydem, że przez dziesięć lat tęsknoty nie dopracowałam się niczego, co mogłabym przeciwstawić jego arogancji.

Kilka miesięcy później kierowca ojca przywiózł mnie do jego domu w Konstancinie. Była to imponująca rezydencja z wielkim ogrodem, utrzymana „w stylu Nowej Anglii, na wpół wiejskim, na wpół mieszczańskim, uderzająca rozmachem i błyszcząca wesoło bielą poręczy oraz okiennic”, jak napisano w jednym z numerów pisma „Weranda”, w którym znalazła się na okładce. Nawet na lajfstajlowej dziennikarce posiadłość zrobiła wrażenie — co dopiero na mnie, dziewczynie z bloku raczej w stylu środkowej Albanii. Pani domu miała na imię Karolina i wydała mi się całkowitym przeciwieństwem mojej zaniedbanej, wciąż zapracowanej mamy. Była wysoką blondynką o wyrafinowanym guście i chłodnym sposobie bycia, luksusową i rozpieszczoną. Przypominała nieco pewną znaną modelkę z lat dziewięćdziesiątych, teraz dającą się

już fotografować tylko z daleka. Zresztą zmartwienia Karoliny także sprowadzały się do maskowania zbliżającej się czterdziestki. A mimo to, jak większość osób, które niewiele dają z siebie innym, żądała podziwu za wszystko, co robiła. Żeby mieć ku temu stały pretekst, działała w ekskluzywnej fundacji dobroczynnej, zrzeszającej podobne do niej żony bogatych biznesmenów. Chętnie opowiadała też o innych swoich dokonaniach. W rzucanych mi półsłówkach wyjawiała między innymi, że to właśnie dzięki niej i jej wpływowemu ojcu mój ojciec, biedny doktorant wydziału filozofii, w dodatku obarczony żoną i sześciolatnią córką, mógł chwycić lata dziewięćdziesiąte za rogi. Cierpki uśmiech na wypiełgnowanej twarzy sugerował, że ja także powinnam być jej za to wdzięczna.

I wtedy zrozumiałam, że wcale nie różni się tak bardzo od mojej mamy — to znaczy mojej mamy z czasu po odejściu ojca. Przed obiema musiałam kryć się ze swoimi uczuciami — przed jedną, ponieważ nie chciała czuć się winna, przed drugą, ponieważ nie chciała być skrzywdzona. Tylko ja byłam skrzywdzona i winna aż do zemdlenia i nic nie potrafiłam na to poradzić.

Mimo panującej w domu ojca atmosfery, jeszcze przez pewien czas się łudziłam, że moje marzenie

o zadośćuczynieniu może się spełnić. Serce zabiło mi więc na widok romantycznej sypialni, którą mi przydzielono. Czyżby urządzono ją z taką dbałością o szczegóły specjalnie po to, żebym w tym domu, tysiąc razy lepszym niż mój, mogła poczuć się jak u siebie? Stos koronkowych poduszek nawiązywał stylem do eleganckiej scenografii filmów z Anthony Hopkinsem. Na jasnej komodzie ustawiono serię książek w różowych okładkach, z powieszonych na ścianie zdjęć uśmiechały się młode dziewczęta. Zasłony podwiązano szarfami, a kiedy się je odgarnęło, można było zobaczyć alejkę ginącą tajemniczo w starym lesie, który otaczał powstałe przed pierwszą wojną światową uzdrowisko.

Gdy jednak przyjrzałam się lepiej dekoracjom, stwierdziłam ze zdziwieniem, że książki należą do amerykańskiej serii dla nastolatek, zdjęcia zaś przedstawiają nie różne dziewczęta, zebrane tu, by ozdobić mój pokój, lecz wciąż tę samą dziewczynę w różnym wieku. I dziewczyną tą bynajmniej nie byłam ja, lecz — jak ochoczo wyjaśniła mi Karolina — jej siostrzenica Maja. Wprawdzie mieszkała na Wschodnim Wybrzeżu w Stanach Zjednoczonych, stała się jednak „kimś bardzo ważnym” dla niej i dla mojego ojca. Na ostatnim zdjęciu pozowała

w towarzystwie młodego mężczyzny o kręconych włosach, najwyraźniej swojego chłopaka. Siedziała lekko bokiem, przechylając głowę tak, że jej szyja przybrała łabędzi kształt. Oczy miała odrobinę skośne, orzechowe. Fotograf zastosował jakąś szczególną technikę, gdyż jej piękna twarz wydawała się skąpana w świetle. Pokój urządzone właśnie dla niej i z tonu Karoliny wywnioskowałam, że powinnam być wdzięczna za użyczenie mi go na czas wakacji. A ja, zamiast wyjść, trzaskając drzwiami, i więcej się tam nie pojawić, usiadłam posłusznie na łóżku, by z uśmiechem wysłuchać opowieści o zaletach Mai, która nie była ani winna, ani skrzywdzona, tylko miła, piękna i pełna wdzięczności. Taka właśnie, jaka powinna być młoda dziewczyna.

Kiedy dzisiaj myślę o sposobie, w jaki ojciec ze swoją żoną mnie traktowali, przychodzi mi na myśl tylko jedno słowo — okrucieństwo. Wtedy jednak nie zastanawiałam się nad tym i uważałam zachowanie tej dwójki za normę, a swoje cierpienie za głupią i wstydliwą aberrację.

Jedynego prezentu, jaki dostałam od ojca podczas pierwszej wizyty w Konstancinie — srebrnej bransoletki od Tiffany'ego w formie łańcuszka — nie tylko nie rzuciłam mu w twarz, lecz nosiłam go

jak talizman, a w zdobiącym go serduszku zamieściłam łzawą sentencję z powieści Steinbecka *Na wschód od Edenu*, która miała według mnie wyjaśniać naszą relację. Zawsze można liczyć na rodziców, że popieprzą nam w głowach.

I być może do dzisiaj ciągnąłby się ten koszmar, gdybym tamtego lata nie została zbawiona. Czy raczej gdybym nie zbawiła się sama, przy pomocy czyichś łez i czyichś pocałunków.

Była to moja czwarta letnia wizyta u ojca i od początku zapowiadała się inaczej niż poprzednie. Kilka miesięcy wcześniej skończyłam dwadzieścia lat, rok wcześniej przenieśliśmy się z naszego prowincjonalnego miasta na studia do Warszawy, która napełniła moją głowę nowymi ideami, ojciec zaś po raz pierwszy postanowił zaprosić mnie na swój letni urlop — w podróż jachtem wzdłuż Łazurowego Wybrzeża. Byłam zachwycona. Żeby wprawić się w odpowiedni nastrój, czytałam *Witaj, smutku* i oddawałam się cynicznym myślom, które wydają się niezwykle atrakcyjne, gdy ma się dwadzieścia lat. Ale była jeszcze jedna nowa okoliczność — tym razem zaplanowano, że dołączy do nas Maja. Czy może to ja miałam dołączyć do wakacji, które mój ojciec i jego żona od lat spędzali z tą dziewczyną w różnych pięknych i beztroskich zakątkach świata?

Perspektywa spotkania ze wspaniałą siostrzenicą Karoliny, na której ojciec od dawna wprawiał się w dobroczynności, była więc tłem dla wszystkich wydarzeń początku tego lata. Składały się na nie, jak zwykle, wizyty w okolicznych salonach piękności i stajniach. Na snobizm tych miejsc zrymałam się zawsze w skrytości ducha, by śnić o nich potem w zimowe noce. Wizyty owe odbywały się w towarzystwie Karoliny, która wraz z obowiązkami pani domu mojego ojca wzięła na siebie także wątpliwą przyjemność wprowadzania jego córki w świat luksusu. Dbała również co roku o odświeżenie mojej garderoby, kupując mi kolekcje ubrań „od młodych projektantów”. Jej mąż, który przez lata z taką nonszalancją skąpił na alimenty, najwyraźniej nie liczył się z pieniędzmi, kiedy miał taką fantazję.

I tym razem w pierwszych dniach wakacji znalazłam się z Karoliną w SPA, które zdążyłam już odwiedzić w czasie poprzedniego pobytu. Siedziałyśmy na leżakach, ubrane w białe szlafroki frotté. Z sufitu sączyła się indyjska muzyka przeplatana świergotem ptaków. Tego roku coś się jednak zmieniło. Nie czułam niechęci i wstydu, że tu jestem i że nawet mi się to podoba. Przeciwnie, zastanawiałam się, jak wyglądam i czy wszyscy myślą, że jestem

„jedną z tych kobiet” — rozpuszczoną córeczką milionera, zajmującą się głównie dbaniem o paznokcie.

— Myślisz, że jeśli przejdę na dietę, to pod koniec wakacji mogę mieć taką figurę jak ty? — spytałam Karolinę, bo tej wiosny odrobinę przytyłam.

Czułam, jak zalewa mnie fala przyjemności, jaką niesie lizusostwo. Nigdy jeszcze nie powiedziałam Karolinie nic tak miłego. Teraz jednak przyszło mi to bez trudu. Karolina patrzyła na mnie ze zdziwieniem.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, podeszła do nas kobieta w białym fartuchu i zapytała:

— Pani Karolina Stawińska? Pani Marta Stawińska? Nie chce się wierzyć, że ma już pani dorosłą córkę.

Zamiast zaprotestować, Karolina zaśmiała się cicho. Po raz pierwszy dostrzegłam w jej oczach radość, która nadawała jej twarzy wyraz nieoczekiwanej łagodności. Przyszło mi do głowy, że tylko ode mnie zależy, czy będzie szczęśliwa, i było to dziwne podejrzenie wobec osoby, której nienawidziłam najbardziej na świecie.

Następnego dnia znalazłyśmy się u modnego fryzjera, który miał sprawić, że „nie będą się mnie wstydzic w Nicei”. Mówiąc to, Karolina zrezygnowała

jednak ze zjadliwości i przybrała obcy jej dotąd zar-
tobliwy ton. I ona się zmieniła. Wydając fryzjerowi
instrukcje, gestykulowała wesoło i szczebiotała jak
młoda dziewczyna. Kiedy wyszliśmy, zauważyła
z entuzjazmem, że nasze włosy przybrały „taki sam
słoneczny odcień”. A ja przytaknęłam jej skwapliwie.

Pojechałyśmy potem do sklepu z kosmetykami,
gdzie miałam lekcję makijażu, i kiedy szłyśmy na
późny lunch do restauracji, po raz pierwszy w ży-
ciu zauważyłam, że oglądają się za mną mężczyźni.
Jadłam, przymykając powieki, świadoma ich spoj-
rzeń. Dotąd nie znałam tego uczucia; było leniwe
i pełne okrucieństwa. Potem moja macocha wyjęła
z torebki małe pudełko i wręczyła mi je. Znajdo-
wały się tam kolczyki z białego złota z niewielkimi
brylantami. Ten rodzaj, który w normalnym życiu
uważałabym za okropnie mieszczański.

— Kupiłaś sobie? Są bardzo piękne — pochwali-
łam. Sprawilo mi przyjemność, że mogę być dla niej
miła.

— Są twoje. Musisz mieć odpowiednią biżuterię.
W Nicei i w ogóle — odpowiedziała.

W jej głosie słychać było nagle obudzoną czułość.

— Jesteś zbyt hojna! — westchnęłam, teraz już
niemal zupełnie szczerze.

Przysunęłam się, żeby pocałować ją w policzek. Jej skóra czterdziestolatki, lekko napuchnięta od kosmetyków, pokryta była grubą warstwą pudru. Trzej mężczyźni w garniturach zupełnie nie kryli się z tym, że lustrują nas wzrokiem. Z pewnością myśleli, że są świadkami słodkiej sceny rodzinnej pomiędzy matką a córką.

— Naprawdę myślisz, że dla twojego ojca ma to jakieś znaczenie? — spytała Karolina i była w tych słowach gorycz. Jakby jej zdaniem także inne rzeczy nie miały dla niego znaczenia. — To był piękny dzień, prawda? — dodała chwilę potem, odgarniając pukiel włosów w takim samym kolorze jak moje. Była teraz jak pustynia, która pochłonie każdą kroplę wody.

Kiedy wychodziłyśmy, złapała mnie za łokieć i ścisnęła. A ja zrozumiałam, co tchnęło we mnie tę sympatyczną gorliwość, która nagle tak ociepliła moje relacje z Karoliną. Była to perspektywa spotkania z Mają. Może naprawdę chciałam być piękna i miła jak ona. A może trwałam w niepewności, jak zniosę to spotkanie, i pozwoliłam, żeby przez chwilę teatr odgrywał się beze mnie.

Po południu zostałam sama w domu. Karolina musiała załatwić coś w związku z bankietem dobroczynnym planowanym na wrzesień. Wyciągnęła kilka pism o modzie, polecając, żebym je przejrzała i „wyrobiła sobie zdanie o nowych trendach”.

Położyłam się na sofie z czarnym espresso, chociaż zazwyczaj kawę pijam tylko z mlekiem — ale teraz odpowiedniejsza wydała mi się elegancka asceza. Wzięłam ze stolika francuskie wydanie „Vogue’a” i w pełnym makijażu oraz nowej fryzurze trwałam w nastroju przyjemnej nonszalancji. Z każdą godziną coraz głupsze i bardziej niedojrzałe wydawały mi się moje dotychczasowe cierpienia. To jedno było mądre — piękne ubrania, dom, Nicea i spojrzenia mężczyzn w restauracji. Czułam się tak, jakbym doświadczyła nagłej wszechmocy. Więc może rzeczywiście nie musiałam płacić za grzechy rodzi-

ców, zwłaszcza że nigdy nie miałam z nich nic poza smutkiem.

Ojciec po powrocie z pracy gwizdnął z podziwem na mój widok.

— Wiem, że nie lubisz Karoliny, ale spędzanie z nią czasu dobrze ci robi — zaśmiał się, taksując mnie wzrokiem.

— Przeciwnie. Lubię Karolinę — powiedziałam, a mój głos zabrzmiał miło i szczerze.

W tej chwili moja macocha weszła do salonu. Emanowała ciepłem i czułością. Jej oczy błyszczały, na twarzy nie było śladu po złośliwym grymasie, który tak często wykrzywiał jej ładne usta.

— Widzę, że znalazłaś swoją Galateę! — powiedział ojciec.

— Tak, byłyśmy dzisiaj na mieście — szepnęła i zrobiła tajemniczą minę. Zapewne nie chciała się zdradzić z tym, że nie wie, kim była Galatea. Podeszła do mnie i przeczesła ręką moje włosy, jakbym była teraz jedyną osobą, która ją interesowała.

— Pójdziemy na górę? — spytała miękko i propozycja ta zabrzmiała niemal erotycznie.

Wstałam i ruszyłam za nią. Ojciec obrzucił nas zdziwionym, ale rozbawionym spojrzeniem, które sprawiło mi perwersyjną przyjemność.

W mojej szafie jak co roku wisiała nowa kolekcja ubrań. Dotychczas jednak zakładałam je niechętnie, nie potrafiąc zdobyć się na okazanie prawdziwej wdzięczności. Teraz zaczęłam przymierzać ubrania przy Karolinie, zachwycając się głośno jej gustem. Zresztą, czy te ubrania naprawdę nie były świetnie dobrane i czy macocha nie zasługiwała na dobre słowo? Czy nie należało już zapomnieć o przeszłości i cieszyć się tym, co mogłam dostać od ojca i jego żony? Karolina paplała coś na temat nowych trendów i wyglądała na szczęśliwą.

Na ten wieczór, kiedy miałam poznać Maję, wybrała dla mnie szarą sukienkę. Wyraźnie jej zależało, żebym zrobiła dobre wrażenie na gościu. Patrzyła, jak się przebieram, przy okazji wypytując o moje plany na kolejny rok akademicki, a ja opowiadałam jej o stypendium zagranicznym, na które chciałam wyjechać w ramach studiów.

— I co, będziesz dorabiać wycieraniem stołów? — spytała z powątpiewaniem, poprawiając mi ramiączko. Spojrzała w lustro na nasze odbicia. Byłyśmy teraz naprawdę podobne do siebie. — Twojego ojca stać na każdą uczelnię. — Jej głos brzmiał trochę wyniośle, ale była w nim też słodczy obietnicy, która przejęła mnie dreszczem.

Nagle mój wzrok padł na zdjęcia Mai nad łóżkiem i spytałam miękko, gotowa jako dowód wdzięczności zaakceptować i ją:

— Maja często u was bywa?

Karolina zawahała się. Podniosłam głowę i zobaczyłam, że w drzwiach stanął ojciec. Być może stał tu już od jakiegoś czasu i słuchał, oparty o framugę, jak student podglądający koleżanki w przebieralni.

— Kiedy zacząłem jeździć do Stanów w interesach, rodzice Mai mnie przygarnęli — powiedział, patrząc mi prosto w oczy. — Potem Karolina i ja zabieraliśmy Maję do Juraty i Zakopanego. Była wtedy jeszcze dzieckiem. — Wydał mi się teraz diaboliczny jak Al Pacino. — Choć wiesz, nie przepadaliśmy wtedy za dziećmi — zaśmiał się.

— Mariusz! — usłyszałam zirytowany i rozżalony głos Karoliny.

Ale spojrzenie ojca było twarde i obojętne. Najwyraźniej doskonale się bawił.

Stałam przed lustrem z nową szminką i poprawiałam makijaż, kiedy na dole rozległ się dzwonek. Usłyszałam radosny stukot obcasów Karoliny, która pędziła korytarzem. Po chwili dobiegł mnie z dołu roześmiany kobiecy głos oraz hałas wnoszonych walizek.

— Marta zaraz przyjdzie — powiedział ojciec. — Pewnie się jeszcze szykuje. Kobiety... — roześmiał się.

Otworzyłam usta, by krzyknąć, że zaraz schodzę, ale słowa uwięzły mi w gardle. Usiadłam na łóżku i ukryłam twarz w dłoniach. Czułam, jak ogarnia mnie niemoc, która zaraz zrujnuje atmosferę ostatnich dni.

Ale czy ta atmosfera od początku nie była skażona czymś złowrogim, co zarazem ją umożliwiło — świadomością, że w końcu i tak się wycofam?

Przyjemnie było przez chwilę udawać, że wszystko może być normalnie. Ale przecież nic w tym normalnego nie było. A teraz wibrujący na dole śmiech Mai łamał mi serce i z oczu zaczynały lecieć łzy.

Po chwili na schodach rozległy się kroki. Ktoś zapukał do mojego pokoju i zanim zdążyłam odpowiedzieć, popchnął drzwi. Podniosłam głowę i zobaczyłam ojca, jak stoi, z ręką na klamce, pogodny, jakby nie zdążył jeszcze do końca pozbyć się uśmiechu, z którym witał gości.

Musiałam przedstawiać sobą żałosny widok. Wiedziałam, jak bardzo go tym rozczaruję. A mimo to z jakiegoś powodu liczyłam, że zrozumie, dlaczego nie mogę zejść na dół, i mi wybaczy. Bo wiedziałam już, że nie zejdem, że choćbym nie wiem jak chciała zadowolić ojca, Karolinę i siebie, moje ciało się na to nie zgodzi.

Ale w jego oczach pojawiła się złość.

— Co się stało? — spytał zimno, pospiesznie, jakby myślał, że za moment wstanę i pójdę za nim. Nie był przyzwyczajony do porażek.

Chciałam coś powiedzieć, ale znów zaniósłam się płaczem, który rozległ się w ciszy jak wyzwanie.

— Pytałem, co się stało — powtórzył lodowato, nie patrząc na mnie.

— Nie mogę — wydusiłam z siebie w końcu. Mój głos brzmiał błagalnie, a mimo to miał w sobie dziwną siłę — większą niż wszystkie groźby i zaklęcia, na jakie mógł się zdobyć ojciec. Cokolwiek by powiedział czy zrobił, nie potrafił zmusić mnie do posłuszeństwa. Tak jakbym podczas tych ostatnich dwóch dni niepostrzeżenie doszła do kresu własnych możliwości.

— Co to znaczy: nie możesz? Ogarnij się i schodź na dół! — mówił swoim najbrutalniejszym tonem. Nie było w nim teraz ani odrobiny filuternej zdziorności, z jaką odnosił się do mnie od przyjazdu, tylko naga siła.

Pochyliłam głowę i płakałam dalej. Ojciec wyszedł, trzaskając drzwiami. Słyszałam, jak schodzi pospiesznie na dół, zapewne przybierając jedną z tych swoich min, które mówią, że ma pełną kontrolę nad sytuacją.

Tego wieczoru nikt już do mnie nie zajrzał. Nie wiem, ile godzin przesiedziałam na łóżku w tej samej pozycji, zgarbiona, z łokciami opartymi na kolanach. Od chwili, kiedy za ojcem zatrzasnęły się drzwi, zaczął narastać we mnie dziwny spokój. Czułam się tak, jakbym za chwilę miała zrobić coś strasznego, czego nigdy się po sobie nie spodziewałam.

I nic a nic by mnie to nie kosztowało. Jakbym straciła panowanie nad sobą — a może przeciwnie, jakbym dopiero w tej chwili je odzyskała.

Kiedy w końcu usłyszałam kroki na schodach i trzask zamykanych drzwi do sypialni, udało mi się wstać z łóżka i podejść do lustra. Zabawne — przyszło mi do głowy, że mój makijaż musiała spotkać podobna katastrofa jak moje uczucia — gdy tymczasem tusz do rzęs wcale się nie rozmazał, a na ustach zostało nawet trochę szminki. Fryzura również prezentowała się świetnie. Moja twarz, w porozumieniu z ojcem i Karoliną, postanowiła mi się sprzeniewierzyć.

Poszłam do łazienki i zaczęłam szorować twarz mydłem. W końcu tusz do rzęs się rozpuścił i zobaczyłam, jak spływa, zostawiając wokół oczu czarne cienie. Po jakimś czasie twarz była naga. Została jeszcze fryzura. Otworzyłam szafkę pod umywalką i zaczęłam przeszukiwać skarby, które zgromadziła tam dla mnie Karolina. Znalazłam zestaw do manikiuru, a w nim nożyczki do paznokci. Wyjęłam je i powoli, metodycznie zabrałam się do ścinania włosów. Pukiel po puklu spadał na podłogę, pokrywając kafelki grubą warstwą „słonecznego odcienia blond”.

Kiedy strzyżenie dobiegło końca, spojrzałam w lustro z satysfakcją. Ta krótka i poszarpana fryzura wydobywała z mojej twarzy coś, czego wcześniej w niej nie dostrzegłam. Nie była to uroda w takim sensie, w jakim urodziwa byłam jeszcze piętnaście minut wcześniej. Było to coś ostrego i złego, co należało uznać za siłę.

Kiedy wreszcie zdecydowałam się zejść na dół, było już po północy. Umierałam z głodu i oczy miałam zapuchnięte od łez, ale czułam też przyjemne podniecenie. Stałam na szczycie schodów. Było idealnie cicho, tylko czujnik alarmu pykał jednostajnie, informując, że czuwa, by tej nocy nic złego nie przydarzyło się mieszkańcom tego domu. Zaczęłam schodzić na palcach. Na korytarzu paliły się nocne kinkiety, rzucając na ściany plamy żółtego światła; one też zdawały się pilnować, żeby nikt z zewnątrz nie wtargnął tu niezauważony.

Dopiero kiedy połykałam kanapkę, oparta o kuchenny blat, zdałam sobie sprawę, że w salonie gra muzyka. Poszłam cicho w tym kierunku.

Na kanapie, z przymkniętymi powiekami i głową odchyloną do tyłu, skrzyżowawszy nogi na antycznym stoliku do kawy, siedział mój ojciec. Nie wiedziałam, czy drzemie, czy słucha. Przystanęłam

na progu i patrzyłam na niego długo, ale on здаwał się mnie nie zauważać, pogrążony w swoim świecie.

Wyglądał na zmęczonego. Brwi opadły mu jeszcze bardziej niż zazwyczaj, usta wykrzywiało coś, co mogło być oznaką cierpienia. Koszula była wymięta; na stoliku stał kieliszek koniaku. Zdrowy wygląd dresiarza gdzieś wyparował i jego miejsce zajęło ponure wyrafinowanie, które znałam z dawnych zdjęć. Znów przypominał tego młodego mężczyznę, który czternaście lat temu wypuszczał się na groźne wody lat dziewięćdziesiątych.

Rozpoznałam głos Cohena. Leciał utwór, który uwielbiałam, może dlatego, że pochodził z czasów młodości rodziców. Znalazłam go na jednej z płyt mamy i słuchałam tyle razy, że w końcu nauczyłam się go na pamięć, choć nie bardzo wiedziałam, o co właściwie w nim chodzi. Kryła się za nim jakaś historia, do której nie miałam dostępu, ale zinterpretowałam ją sobie zgodnie z własnymi wyobrażeniami, tak jak interpretowałam wszystko, co dotyczyło odejścia i rozstania, a może, tak jak interpretowałam w ogóle wszystko — nawiązując do naszej historii rodzinnej. Fakt, że mój ojciec jej teraz słucha, wzruszył mnie i przejął dreszczem.

*It's four in the morning, the end of December
I'm writing you now just to see if you're better
New York is cold, but I like where I'm living
There's music on Clinton Street all through the
evening.*

Wyobraziłam sobie Nowy Jork jednej z tych zim w pierwszej połowie lat dziewięćdziesiątych, czapy śniegu na żółtych taksówkach i mojego ojca, jeszcze przed trzydziestką, obmyślającego przyszłe sukcesy swojej firmy przy kubku najtańszej kawy w jakimś Starbucksie. Czy rodzina Karoliny i ona sama były mu po prostu, mówiąc brutalnie, potrzebne, czy też naprawdę dał im się na chwilę oczarować? A wraz z nimi także projektowi wspaniałego siebie w nowej rzeczywistości? Czy związał się z Karoliną dla kariery, czy zaważyło na tej decyzji prawdziwe uczucie? I co za tym idzie, czy mojej mamy i mnie pozbył się z czystego wyrachowania, czy faktycznie przestał nas kochać?

Był człowiekiem zimnym i cynicznym. A mimo to wierzyłam, że cynizm musiał łączyć się u niego z romantyczną ideą, wymyśloną choćby w tym celu, by mógł wytłumaczyć sobie samemu to, co zrobił. Miałam do niego jeszcze tyle pytań. Jak patrzy teraz

na swoją przeszłość? Czy zrezygnował z siebie takiego, jakim był kiedyś, i stał się szczęśliwy w tym domu antycznych krzesel i stylowych poduszek? Czy był tak zadowolony, jak to okazywał i jak mówił w wywiadach, które ukrywałam przed mamą w szkolnych zeszytach? Czy też po cichu czegoś żałował? Czy myślał czasem o mojej mamie i o mnie? Czy o nas kiedykolwiek myślał w ten sposób — jak o kobietach, które kiedyś kochał?

*Yes, and Jane came by with a lock of your hair
She said that you gave it to her
That night that you planned to go clear
Did you ever go clear?*

Ni stąd, ni zowąd poczułam, że w naszej historii jest miejsce na coś jeszcze poza krzywdą i tęsknotą. Teraz dołączyła do nich chęć zrozumienia — jeśli nie przebaczenia. Pod wpływem impulsu podeszłam do ojca i usiadłam na kanapie. Chyba nigdy jeszcze nie siedzieliśmy tak blisko siebie. Może kiedy miałam sześć lat, ale nie zostało mi po tym żadne wspomnienie. Odczuwałam tę bliskość jako coś nie-naturalnego, ekscytującego. I przyszło mi do głowy, że jeszcze jest nadzieja. Nadzieja na zmianę układu

sił oraz nadzieja na zrozumienie. Bo właśnie na zrozumieniu najbardziej mi zależało, o nim marzyłam w najintymniejszych godzinach w Konstancinie. O tym, żeby ojciec zrozumiał, co czułam — i teraz, pod wpływem tej nocy, gotowa byłam wyjść mu na przeciw, próbując go zrozumieć.

Wyciągnęłam rękę, żeby go dotknąć. Podniósł powieki i spojrzał na mnie błyszczące ciemne oczy. Zamarłam. Te oczy były pełne czegoś, co znałam i czemu nie od razu umiałam dać nazwę, odurzona muzyką oraz swoimi myślami. Ale w końcu rozumiałam. Były pełne pogardy.

Odsunął się ode mnie i wstał.

— Jak ty wyglądasz? — powiedział, patrząc na moje włosy, a raczej na ich brak, i zaśmiał się głośno swoim teatralnym śmiechem.

Nie odpowiedziałam. Czułam, jak coś spada mi z serca i z hukiem rozbija się o wspaniałą dębową posadzkę.

— Świetnie, że jesteś — powiedział, zmieniając ton na rzeczowo-drwiący, i nalał sobie kolejny kieliszek koniaku. — Napijesz się? — zapytał.

*And what can I tell you my brother, my killer
What can I possibly say?*

*I guess that I miss you, I guess I forgive you
I'm glad you stood in my way.*

Cohen kończył swoją balladę, a jej słowa wydały mi się teraz złośliwe.

Ojciec nalał mi kieliszek i usiadł wygodnie w fotelu.

— Pewnie uważasz, że masz prawo do fochów ze względu na swoją, że tak powiem, historię — zaczął takim tonem, jakby rozmawiał z pracownikiem, który nie do końca zrozumiał strategię jego firmy.

Dokładnie tak uważałam, ale myśl sformułowana przez niego w ten sposób przeraziła mnie i zawstydziła.

Siedziałam na skraju kanapy i nie miałam odwagi się ruszyć.

— Żebyśmy się dobrze zrozumieli — kontynuował, wsysając głośno ślinę, jak miał w zwyczaju, gdy był z siebie szczególnie zadowolony. — Ja tak nie uważam. Jeśli tu jesteś, to z tej przyczyny, że chcę zrobić dla ciebie coś dobrego, a nie dlatego, że pragnę dowiedzieć się złych rzeczy na swój temat. — Jego ton z każdym zdaniem stawał się coraz dobitniejszy. — Wystarczająco wiele osób ma do powiedzenia coś złego na mój temat. — Efektownie

zawiesił głos. — W pewnym momencie przestało mnie to interesować.

Przypomniałam sobie, że mówił podobnie w jakimś wywiadzie, chyba nawet nie jednym. Oczywiście miał wtedy na myśli zazdrosnych kolegów, zawiedzionych partnerów biznesowych lub krytycznych publicystów — znalezienie się nagle w ich gronie wydało mi się nie tylko nieprzyjemne, ale i groźne. Wypiłam kieliszek jednym haustem i skrzywiłam się. Widząc to, wstał, wziął butelkę i z uśmiechem nalał mi drugi.

— Nie wiem, co opowiadała ci o mnie twoja matka...

— Nic mi nie opowiadała. W ogóle o tobie nie mówi — wyszeptałam.

Ale on nie słuchał. Jego przewaga nade mną była zbyt wielka, żebym mogła wpłynąć na to, co zamierzał powiedzieć.

— Tak czy inaczej, żadna twoja mina ani twoje łzy nie sprawią, że poczuję się winny, uwierz mi.

Patrzyłam w bok i mięłam w dłoni serwetkę.

— Nikt cię tutaj nie trzyma siłą. Mój kierowca odwiezie cię do domu, kiedy tylko będziesz chciała. I nikt się na ciebie nie obrazi. Po prostu stracisz możliwość, żeby zmienić swoje życie — powiedział.

Teraz jego głos stał się ciepły, lecz trochę tak jak głos polityka, który obiecuje w telewizji podwyżki dla pielęgniarek. — Zastanów się. Ale pamiętaj, że chcę dla ciebie jak najlepiej — zawiesił głos. — Jeśli tylko mi pozwolisz, zrobię dla ciebie więcej niż ktokolwiek inny. — Była w jego tonie obietnica, która przedtem uwiodła mnie w rozmowie z jego żoną. — Wiem, że Karolina nie do końca trafia w twój gust, oferując ci salony piękności i ubrania. Choć odrobina urody chyba także nie zaszkodzi — dodał, patrząc na mnie z ironią. — Ale mówiła mi też, że wybierasz się za granicę na studia. W takim razie z pewnością wiesz, że są w Europie i Ameryce uniwersytety, które nie udzielą stypendium nawet tak ambitnej studentce jak ty. — Podniósł szklanekę do ust. — Dobrze być self-made manem, ale wierz mi, że w niektórych dziedzinach self-made manem zostaje się dopiero w drugim pokoleniu — zakończył i zaśmiał się z własnego paradoksu.

Wstał z fotela i podszedł do okna. Odsunął zasłoneę i wyjrzał na ogród, który skąpany w świetle latarni wyglądał jak scena leśnego teatru.

— Jeśli sądzisz, że miałaś trudne dzieciństwo, i uważasz to za okoliczność łagodzącą, to poproś Karolinę, żeby ci opowiedziała o dzieciach, którym

pomagamy — wrócił do poprzedniego tematu, ale w jego głosie brzmiała teraz powaga. Ta powaga, z którą traktował samego siebie. — A nawet one, gdy skończą osiemnaście lat, same będą za siebie odpowiedzialne.

Chciałam coś powiedzieć, coś ważnego i głębokiego, co wreszcie kazałoby mu naprawdę mnie zauważyć, ale jego argumenty i tak były silniejsze. Osiągnął to, co chciał — było mi wstyd.

Odwrócił się, odprężony, i podszedł do mnie z uśmiechem. Położył mi ręce na ramionach.

— Jeśli chcesz, możesz wrócić do domu jutro albo pojutrze, ale proszę, żebyś się zdecydowała, zanim pojedziemy do Nicei — dodał prawie miło. — A teraz dobranoc.

— Dobranoc, tato — odpowiedziałam cicho i wstałam. Było mi słabo ze zmęczenia. Zrobiłam kilka kroków w kierunku korytarza, kiedy usłyszałam za sobą jego głos.

— Wiesz, jakie wrażenie robią na mężczyznach kobiece łzy? — Teraz jego głos był wesoły i towarzyski. — Nudzą ich.

Chciał być postacią z Dostojewskiego. Ja byłam co najwyżej bohaterką *Dziwnych losów Jane Eyre*. Jak mogłam się z nim mierzyć?

Po wieczornych przeżyciach spałam mocno i obudziłam się dopiero o jedenastej, zmęczona i zdeterminowana. Tuż przed przebudzeniem po raz pierwszy od lat przyśnił mi się sen, który nawiedzał mnie regularnie w dzieciństwie. Był to sen tak straszny, że aż niewyobrażalny, i budząc się, zawsze z przerażeniem, nie umiałam go opowiedzieć ani nawet sobie dokładnie przypomnieć. Myślałam o spadającej na mnie skale albo planecie, o jakiejś wielkiej katastrofie, i szukałam jeszcze innych obrazów, ale wszystkie były tylko przerośniami — zbliżaniem się do tej okropności, która musiała pozostać niezaznaczona. Kiedy byłam mała, sen ów męczył mnie okresami niemal co noc, a ja nie miałam pojęcia, co właściwie mnie męczyło. I nie wiedziałam, co gorsze — groźna enigmatyczność snu czy to, co znajdowało się w jego środku.

Ale tym razem czułam, że coś się zmieniło. Obudzeniu towarzyszył nagły przyływ energii, choć nie radosnej, pełnej romantycznych planów, jaką powinno się czuć na wakacjach — lecz złej i okrutnej. Usiadłam na łóżku i przeczesalam palcami włosy, a wtedy wróciły do mnie wspomnienia poprzedniego dnia. Właściwie powinny mnie przerazić albo co najmniej zadziwić — ale nie, wszystkie wczorajsze wydarzenia uznałam za nieuniknione. Najpierw poddanie się zabiegom Karoliny, której przecież nienawidziłam, potem paraliż przed spotkaniem z Mają, a w końcu przyływ dobrych uczuć do ojca, którego nienawidziłam równie mocno — wszystko wydało mi się nie histerią ani aberracją, lecz koniecznością. Domyślałam się, że Karolina będzie na mnie obrażona — zapewne te dwa wspólnie spędzone dni narobiły jej apetytu na słodką przyjaźń pomiędzy macochą a pasierbicą, którą mogłaby się chwalić na spotkaniu w fundacji dobroczynnej. Co do ojca, wiedziałam, że wygrał ze mną i tę partię, a jednak jego wygrana nie była aż tak wielka, jak mu się zapewne wydawało.

Uśmiechnęłam się do swojego odbicia w lustrze. Ostrość nowego wyglądu coraz bardziej mi się podobała. Nie spojrzałam nawet na magazyny o modzie

i zamiast nich wzięłam do ręki powieść *Goodbye, Columbus*, którą dostałam w prezencie od przyjaciółki mamy, po czym zeszłam na dół. W domu panowała idealna cisza. Karolina zapewne gdzieś wyszła z samego rana, zabierając ze sobą gościa. Poprosiłam gosposię o kawę, wzięłam z lodówki jogurt i poszłam do ogrodu, żeby położyć się w hamaku z książką.

Odwróciłam się tyłem do słońca i spod półprzy-
mkniętych powiek śledziłam angielskie zdania. Podobała mi się inność świata, który tu znajdowa-
łam. Przeczynałam poza tym, że bohater, ten niby-
-biedny Neil, zamieni się w niezłego skurwysyna. Ledwo jednak zdążyłam dojść do miejsca, w któ-
rym odbiera on Brendę z kortów tenisowych, kiedy usłyszałam kroki, po czym czyjaś ręka zamknęła mi
książkę.

— Philip Roth — powiedział męski głos. — Wi-
działem ostatnio jego zdjęcie w „New York Timesie”,
dobrze się trzyma jak na starszego pana! Ale żeby
z jego powodu nie zejść na kolację?

Poderwałam się w hamaku. Nade mną stał
i uśmiechał się młody mężczyzna. Mógł mieć nie-
co poniżej trzydziestki, ubrany był w szorty kha-
ki i granatowy T-shirt z logo jakiejś nieznanej mi,
prawdopodobnie dość podrzędnej amerykańskiej

uczelni. Zwróciłam uwagę na jego szerokie, atletyczne ramiona. Różnił się całkowicie od moich cherlawych kolegów ze studiów, którzy nosili szaliki, żeby się nie przeziębnić, i gustowali w spodniach rurkach. Miał jasne włosy, kręcone jak u greckiego boga, i poczułam ochotę, żeby ich dotknąć. Ale najbardziej niezwykła wydała mi się jego prostokątna twarz, ładna, o regularnych rysach. Twarz człowieka, który nie miewa wątpliwości. A przy okazji twarz chłopaka ze zdjęć z Maja.

— Może inni Amerykanie są jeszcze mniej atrakcyjni — odpowiedziałam złośliwie i trochę bez sensu. Ten chłopak zapewne nie wiedział nawet, że jest częścią jakiegoś małego polskiego dramatu rodzinnego. Mimo to spodobało mi się, że nagle zachowuję się jak ktoś, kim nigdy nie byłam — zgryźliwa, wyrafinowana dziewczyna; pewna siebie Europejka.

— I nie każda polska dziewczyna jest jednakowo atrakcyjna — powiedział, po czym się roześmiał. — Niektóre na przykład nie mają włosów.

Położył się w drugim hamaku, w słońcu, z dłońmi pod głową. Mogłam teraz podziwiać jego umięśnione ramiona.

— Skąd masz kawę? — zapytał po chwili. — Też bym się napił. Lubię kawę w Europie. — Jego pewność, że ta informacja może mnie zainteresować,

rozbawiła mnie. Na studiach poznałam dwóch czy trzech Amerykanów, którzy trafili do Warszawy w ramach stypendiów, żeby zbierać materiały do prac z politologii. Sprowadzało się to głównie do polowania na wywiad z Wałęsą i „doświadczania” tego i owego. Przyjeżdżali do Europy po to, żeby „coś przeżyć”. W przeciwieństwie do Polaków, którzy przez całe stulecie jeździli do Ameryki, żeby przeżyć *tout court*.

— Poproś służbę — powiedziałam, starając się, żeby zabrzmiało to sarkastycznie.

— Jak tylko przyjdzie zabrać filiżankę jaśnie panienki — odparł i znowu roześmiał się ze swojego dowcipu.

Próbowałam wrócić do lektury, ale litery skakały mi przed oczami. Żywy przedstawiciel kultury amerykańskiej, który leżał w sąsiednim hamaku, interesował mnie teraz znacznie bardziej niż dalsze losy bezwzględного Neila i nieszczęsnej Brendy. Bo tacy właśnie mi się wydawali — choć być może Philip Roth uważał, że jest na odwrót.

— Zastanawiałam się kiedyś, dlaczego w amerykańskich sitcomach muszą nagrywać ten głupi śmiech. Teraz już wiem. Wy po prostu sami śmiejecie się ze swoich dowcipów — powiedziałam od niechcienia.

Chłopak przeciągnął się, mrużąc oczy w słońcu. Zrobiłam to samo. Czułam, jak ogarnia mnie lekkość, ta lekkość początku lata, kiedy wszystko wydaje się możliwe.

— Biedna, kochana Karolina. Nie wiem, jak sobie radzi z taką złośliwą pasierbicą. — W głosie mojego rozmówcy brzmiała udana troska.

Jego słowa mnie rozbawiły. Oczywiście nie widział mnie nigdy z Karoliną ani z moim ojcem, w ogóle nigdy przedtem mnie nie widział, ale mimo wszystko — jak mógł się tak mylić? W rzeczywistości było przecież całkiem na odwrót. To ja byłam biedna, a Karolina zła i złośliwa.

— Jedziesz z nami do Nicei? — spytał po chwili.

Jeszcze poprzedniego dnia takie pytanie wpędziłoby mnie w melancholię — chłopak siostrzenicy Karoliny mówiący „my” o moim ojcu i o sobie. Pewnie zaczęłabym dłubać łyżeczką w filiżance z kawą, licząc po cichu, że zrozumie moje cierpienie. Jeszcze poprzedniego dnia chciałabym, żeby ktoś zrozumiał moje cierpienie. Teraz jednak powiedziałam:

— A ty z nami jedziesz?

— Fajne masz okulary. Ray-bany — uśmiechnął się zawadiacko, w pełni świadom swojego uroku.

Pod spojrzeniem jego niebieskich oczu czułam się błyskotliwa i pełna energii.

— Dostałam od Karoliny. To moje wynagrodzenie za bycie z nimi — wyjaśniłam.

— A jakie jest ich wynagrodzenie za bycie z tobą?

Pochylił się, żeby zerwać źdźbło trawy, i umieścił je pomiędzy kciukami. Patrzyłam, jak podnosi dłoń do ust.

Najwyraźniej nie wiedział, że relacje rodzinne nie zawsze są szczęśliwe. Że czasem to jedna strona jest winna drugiej wszystko. Myślał miłymi rodzinnymi stereotypami.

Czasem jednak wystarczy inny stereotyp niż nasz, żebyśmy się poczuli jak uwolniony więzień. Dlatego pytanie wydało mi się irytujące i zarazem przyjemne.

— Nie wiem — zamyśliłam się. Równie dobrze mogłam być z nim szczerą. W tym domu nawet odrobina szczerości była na wagę złota. — Ale masz rację, oni by chcieli, żebym jakoś wynagradzała im swoją obecność. Są wściekli, że nie umiem dziękować za piękne rzeczy, które mi dają.

Odchyliłam się do tyłu i patrzyłam na obłoki, które pędziły po niebie, układając się w dziwaczne kształty jak wosk lany na wodę.

— To dlaczego nie umiesz dziękować? — spytał, po czym dmuchnął na źdźbło trawy. Rozległ się

tępy odgłos przypominający trąbkę. Chłopak zaśmiał się ze swojego wyczynu.

— Dlatego że to wszystko, co mi dają, jest zbyt wspaniałe — wyjaśniłam.

— Naprawdę? — spytał. — Przecież to twój ojciec.

Patrzyłam, jak wkłada trawkę do ust i zaczyna ją żuć.

I nagle zdałam sobie sprawę, że ma rację. Że chociaż nic nie wie o nich ani o mnie, to jednak ma rację. Nie umiałam im dziękować, ponieważ tak naprawdę uważałam, że wszystko mi się należy.

Odwrócił się w moją stronę i długo na mnie patrzył. Jego uśmiech był wesoły, zupełnie inny niż pokręcone uśmieszki moich kolegów z wydziałów filozofii i kulturoznawstwa. Słońce tańczyło w jego włosach; ze wszystkich greckich bogów najbardziej przypominał Hermesa Mówcę, którego widziałam kiedyś w Rzymie podczas wycieczki edukacyjnej z mamą.

— Wiesz co, cieszę się, że jedziesz z nami — oświadczył nagle. Jego oczy błyszczały filuternie, jakby składały mi niemoralną propozycję.

A we mnie narastała euforia, jaką daje nagłe odzyskanie wolności. Wiedziałam, że w znacznej mierze zawdzięczam to uczucie jemu.

— Ja też teraz cieszę się trochę bardziej — odparłam poważnie, po raz pierwszy zwracając się do niego życzliwie.

Oparł głowę z powrotem na dłoniach i zmrużył oczy.

— Cieszę się, że jedziesz z nami, bo moja dziewczyna strasznie chce mieć polską koleżankę. — Zaśmiał się. Wyraźnie mu się spodobało, że jego słowa mogły wywołać moje rozczarowanie.

A więc myślał, że marzę o jakiejś romantycznej przygodzie z nim? Zresztą naprawdę było w nim coś subtelnego i bolesnego, co mnie pociągało. A może to coś było we mnie?

— A jeśli nie polubię twojej dziewczyny? — spytałam.

Obłoki gromadziły się nad naszymi głowami i przyszło mi na myśl, że przypominają andrzejkowe wróżby. I że przyszłość, którą mi przepowiadają, będzie związana z tym promiennym chłopcem, który leży w sąsiednim hamaku i żuje źdźbło trawy.

— Oczywiście, że ją polubisz. Wszyscy lubią Maję.

Otworzyłam książkę i wróciłam do lektury, ale nie mogłam się skupić na kolejnych stronach, na których Neil, bez serca wobec bogatej Brendy, okazywał słodką sympatię biednemu Murzynkowi. Jego

resentyment ubogiego żydowskiego chłopca wobec bogatej żydowskiej dziewczyny wydał mi się nagle odpychający. Rezultatem wszystkich frustracji Neila były tylko chłód i bezwzględność. Więc tyle przychodzi nam z cierpienia, pomyślałam. Ale co innego mnie teraz zaprzętało. Upał, hamak, gosposia, która rzeczywiście podeszła i zapytała, czy coś nam może podać, ten dom i perspektywa wyjazdu do Nicei, a zwłaszcza ten chłopak — nagle wszystko to wydało mi się nie dopustem bożym i sprawdzianem charakteru, ale cudem, którym przecież naprawdę było. Leżałam, zerkając na niebo przez moje ray-bany. Nie budziły już we mnie wstydu i poczucia winy, lecz zwykłe zadowolenie, jakie dają normalnym ludziom rzeczy piękne i drogie. Wzbierało we mnie podniecenie — jakbym pędziła na spotkanie jakiejś niezwyklej przygody. Po raz pierwszy od początku moich wizyt u ojca przestałam być tą upiorną grzeczną dziewczynką, która tak mnie męczyła. Co nie znaczyło, że zaczęłam być sobą. Nie, byłam kimś nowym, ale ten ktoś mi się podobał i nie mogłam się doczekać, kiedy lepiej go poznam.

— O czym myślisz? — spytał chłopak.

— O niczym. Patrzę na chmury — powiedziałam. — To są moje chmury.

— Może to są nasze chmury? — sprostował i rzu-
cił niebu tak zawadiackie spojrzenie, jakby od za-
wsze był z nim w szczególnej komitywie.

Tego dnia nie widziałam się z nikim aż do kolacji. Późnym popołudniem leżałam na kanapie i dalej czytałam Philipa Rotha, kiedy ojciec wszedł do salonu. Właśnie wrócił z pracy, ubrany w jeden z tych doskonałych garniturów, które wydobywały z niego rys bezwzględności i przywodziły mi na myśl słynny wiersz Sylvii Plath *Tatusź*. Tryskał humorem. Zapewne był dumny ze swojego wczorajszego przemówienia; to uczucie przychodziło mu szczególnie łatwo. Nie spytał mnie, co postanowiłam — zapewne milcząco zakładał, że pojedę z nimi do Nicei. Nie wiedział jednak, że jego elokwencja nie jest już jedynym argumentem — przed południem, w hamaku, pojawił się drugi, być może nawet mocniejszy.

Karolina udawała, że mnie nie widzi. Zachowywała się jak te dziewczyny, które przespały się na imprezie ze znanym playboyem i następnego dnia

udają, że „im też nie zależy”. Tylko że tym playboyem byłam ja. Zrobiło mi się jej nawet trochę żal; teraz, w mojej nowej, ostrzejszej wersji, mogłam pozwolić sobie na takie uczucia.

Ze swojego miejsca na sofie obserwowałam, jak Karolina biega pomiędzy kuchnią a jadalnią, pomagając gosposi w nakrywaniu do stołu. Włosy związała w ascetyczny koński ogon, a na sukienkę założyła beżowy fartuszek w oliwki z napisem „La Provence”. Wyglądała jak z reklamy — pani domu, która za chwilę zrobi pyszne domowe ciasto z torebki.

— Maja i Brian powinni zaraz wrócić z przejażdżki. Chciałabym, żeby poczuli ciepło tradycyjnej polskiej rodziny — szczebiotała. Wyciągnęła z szafki lniane serwetki i teraz niosła je do jadalni. — Mai tak bardzo brakuje domu, od kiedy nie mieszka z rodzicami. — Jej ton był opiekuńczy i pełen troski. Można ją było wziąć za polską matronę, kogoś w rodzaju matki pięciorga dzieci. Kto by pomyślał, że nie miała żadnego. — I bardzo jej zależy, żeby Brian poznał Polskę od tej strony — ciągnęła z afektacją. — Są taką wspaniałą parą, nie uważa pani, pani Aniu?

— Żeby pani wiedziała, pani Karolino — potwierdziła gosposia. Był w jej głosie ten ledwo

wyczuwalny ton radosnego pochlebstwa, który sugerował, że jest bardzo zadowolona ze swojej posiadłości. — A teraz to się rzadko zdarza. Moja córka na przykład nie może sobie nikogo znaleźć...

— Teraz dziewczyny pozbawione są wdzięku i ciepła — powiedziała Karolina cierpko. — Nie mają w sobie za grosz kobiecości. Kto by chciał zimną intelektualistkę z wrednym charakterem?

Jakoś nie wydawało mi się zbyt prawdopodobne, żeby córka pani Anny należała do tej kategorii. Rozesmiałam się pod nosem.

Karolina zamilkła, zapewne przypomniawszy sobie, że powinna być uosobieniem kobiecości, i dodała miło, rozprostowując fartuszek:

— Maja bardzo lubi sernik. Upiecze pani na jutro, pani Aniu?

Ale wszystko to właściwie nic mnie już nie obchodziło. Pochyliłam się z powrotem nad książką, w której Neil mścił się właśnie na młodszej siostrzyczce Brendy za majątność jej rodziców. Był okrutny. Wydało mi się to bardzo zabawne. Kiedy ma się dwadzieścia lat, ceni się okrucieństwo. Gdzieś za mną szumiała klimatyzacja, przypominając o bogactwie tego domu. Ale i ono ni stąd, ni zowąd przestało mnie przytłaczać.

Po chwili usłyszeliśmy dzwonek, pani Anna otworzyła drzwi i do holu, a potem do salonu, trzymając Briana za rękę, weszła Maja — jak promyk słońca, który wpadł przez próg tego domu.

Pamiętam tę scenę jak kadr z filmu, który oglądałam wiele razy. Maja miała na sobie dżinsowe szorty i biały T-shirt. Jej długie, brązowe włosy błyszcząły, jak to włosy Amerykanek. Skromnie puściła rękę Briana i spojrzała na mnie tak radośnie, jakbym była jej najlepszą przyjaciółką. A potem tak samo spojrzała na Karolinę i gosposię. Jej twarz promieniała szczęściem. Orzechowe, wyraziste oczy świeciły, a duże usta uśmiechały się jak usta Julii Roberts.

Dopiero później przyjrzałam się jej dokładnie. Była wysoka, wyższa ode mnie niemal o głowę. Mogła mieć metr siedemdziesiąt pięć. Szczupła, o długich kościach, które sprawiały wrażenie, jakby dopiero co urosły i jeszcze nie zdążyły się pokryć tkanką tłuszczową. Ramiona i biodra miała dość szerokie, co dawało jej postaci siłę. Sprawiała wrażenie podrośniętego żrebaka — ale był to żreback zgrabny i kobiecy. Przeszło mi nawet przez myśl, że to wielka szkoda, iż muszę ją nienawidzić. Gdybyśmy spotkały się w innej sytuacji, może pozwoliłabym jej, aby zaraziła mnie swoją radością — tak jak zarażała nią mieszkańców tego domu.

Maja opadła z uśmiechem na kanapę. Była jedną z tych cudownych istot, które nigdy nie wątpią w swój sukces towarzyski, co samo w sobie ów sukces gwarantuje. Zanim się obejrzałam, objęła mnie i powiedziała:

— Tak bardzo się cieszę, że wreszcie mogę cię poznać!

Wymamrotałam coś uprzejmego i pozbawionego znaczenia.

— Nic nie mów... — szepnęła, pochylając się nad moim uchem. — Zrobię wszystko, żebyś mnie polubiła. I wiesz co, myślę, że zanim skończy się lato, będziemy przyjaciółkami. — Przyłożyła swój policzek do mojego, ale ja tkwiłam w jej ramionach sztywna i lodowata.

Potem przeszła na polski, który dość mocno kaleczyła. „Czeszem sze, sze ty pojechacz s nami do Nice” — mówiła. Mówienie po polsku było dla niej bardzo ważne, ponieważ zamierzała odnaleźć swoją „polskoszcz”. Jeśli dobrze zrozumiałam jej opowieść, przez dwa tygodnie, które spędzili w Juracie, ponieważ „chczała pokazacz Brian to, co najbardziej kocha w Polska”, jadła wyłącznie smażoną flądre, którą pamiętała z dziecięcych wakacji z moim ojcem i Karoliną. Wśród słodkich wspomnień z przeszłości

znalazły się też „rurki z bita szmetana” — zrobiła sobie rytuał z kupowania ich codziennie na podwieczorek. „Myszlem, sze muszem doszwiadczycz jak najwiecej Polska, szeby starczyć na cały rok” — wyjaśniła tajemniczo, a ja żałowałam, że te rurki nie zepsuły jej figury.

Przez cały czas Brian stał nieco z tyłu i przysłuchiwał się naszej rozmowie, z której nie rozumiał ani słowa. Wydawał się jednak zaintrygowany.

— To takie sexy, kiedy mówicie po polsku — powiedział w końcu.

Dotąd starałam się nie patrzeć w jego stronę, żeby nie zdradzić się z wrażeniem, jakie na mnie robił. Teraz jednak zerknęłam przelotnie. Jego uśmiech był zawadiacki i chłopięcy, a kanciaste rysy nadawały jego twarzy brutalności.

— To jest mój chłopak, Brian — wydukała Maja. — Jak mogłam zapomnieć was sobie przedstawić! — Przeszła na angielski. — Widzisz, Marta, to dlatego, że jestem tak bardzo podekscytowana tym, że cię poznałam! — paplała z entuzjazmem. — Brian, to jest moja ukochana kuzynka Marta, o której tyle ci opowiadałam! — Objęła mnie po raz trzeci.

Ale ja nie zamierzałam odwzajemnić jej uścisku. Maja była tak wspaniała, że przy niej mogłam czuć

się wyłącznie zła i brzydka. Właściwie powinnam tego żałować, byłam jednak raczej zadowolona — jakby ta złość i brzydota mogły stać się moim atutem.

Brian na powitanie rozłożył ramiona niezręcznym, sztywnym gestem. Podeszłam do niego, starając się nadać ruchom chłód i powściągliwość. Postanowiłam nie okazywać, że spotkaliśmy się tego ranka, i Brian podjął moją grę tak naturalnie, jakby sam ją wymyślił.

— A więc ty jesteś tą okropną kuzynką, która nie chciała nas poznać — powiedział wesóło, klepiąc mnie po łopatkach z afektowaną serdecznością. — Widzisz, to był błąd. Jesteśmy bardzo mili.

Wydało mi się, że stoimy tak całą wieczność, a jego zapach, zapach słońca i męskiej skóry, zelektryzował mnie i nappełnił przyjemną bez troską.

Potem przysiadłam na poręczy kanapy i obserwowałam ich z rozbawieniem. Wyglądało na to, że w tym związku Maja jest słodka i szczerą, podczas gdy Brian ma ambicję, by wydawać się wyrafinowany. Patrzyłam, jak się gimnastykują, żeby się nie dotknąć, amerykańscy purytanie, i czułam, jak od stóp do głów przepelnia mnie lekkość. Maja i Brian wnosili powiew świeżego powietrza do tego nadętego domu i w głębi duszy byłam im za to wdzięczna.

A mimo to nie chciałam wydać się zbyt miła. Nawet nie dlatego, że miałam do nich aż taki żal — teraz, kiedy poznałam Maję, straciła nieco ze swojej demoniczności. Po prostu przeczuwałam, że takie zachowanie właśnie będzie dobre. Dobre nie pod względem moralnym, rzecz jasna. Dobre pod względem strategicznym.

— To prawda, wydajecie się bardzo mili. Ale ja nie jestem waszą kuzynką — odpowiedziałam i odwróciłam się, żeby ruszyć w stronę jadalni.

Przy kolacji panowało ożywienie, którego przyczyną była Maja. Zamiast jednak smucić się tym i zazdrościć, patrzyłam teraz na nich jak na film, który nie mógł mnie dotknąć. Karolina wypytywała siostrzenicę o wakacje w Juracie i starała się dowiedzieć, czy jest w pełni przygotowana do wyjazdu.

— Aniołku, czy jesteś pewna, że twoje bikini nie zniszczyły się w Juracie? — spytała, jak pyta matka nieodpowiedzialną, lecz uroczą córkę. — W razie czego oczywiście możesz kupić w Nicei, ale powinnaś mieć ze dwa komplety na pierwszy dzień. Jeśli chcesz, możemy iść jutro do sklepu. — Była wyraźnie zdeterminowana, żeby objąć swoją zakupową kuratelą kolejną, tym razem wdzięczniejszą podopieczną. — Masz coś na chorobę morską?

A kiedy Maja odpowiedziała, że nie cierpi na chorobę morską, natychmiast uśmiechnęła się z po-
błażaniem i skwitowała:

— Nigdy nie wiadomo. I tak coś wezmę.

Maja promieniała. Od czasu do czasu bawiła się swoimi pięknymi włosami, skręcając je w prowizoryczne loki, które zaraz rozpadały się jak wodne kaskady.

Jadłam kurki, patrząc w talerz, i myślałam, że w zabiegach Karoliny jest coś groteskowego. Całe to nadskakiwanie było przesadne — ostatecznie ani Maja, ani przedtem ja nie potrzebowałyśmy aż takiej matczynej troski. Wbrew pozorom jej zachowanie nie było wcale słodką opiekuńczością matki Polki. Było pustą opiekuńczością kobiety bezdzietnej.

— Och, tak wam dziękujemy za zaproszenie do Nicei! To będzie europejski akcent w naszych polskich wakacjach! — powiedziała Maja z entuzjazmem. — Brian bardzo lubi Europę, prawda, kochanie? — ciągnęła. — Obiecywałam mu wspaniałe wakacje, ale nawet w snach nie spodziewaliśmy się tego! Nicea... widziałam w jednym filmie...

Nawet mój ojciec słuchał jej z łagodnym uśmiechem. Przypomniałam sobie o tym, co ich łączyło — znał ją, kiedy była dzieckiem, zapewne rozkosznym,

niewielu rozpuszczonym amerykańskim dzieckiem. Być może to on uwiecznił ją w niebieskiej sukience na tle kwitnących magnolii, osłaniającą oczy przed słońcem, gdy miała jakieś czternaście lat. I być może on powiesił później to zdjęcie w pokoju, który na czas wakacji przeznaczył dla mnie. A w każdym razie pozwolił, żeby tam zawisło. Mogły być tylko dwa powody — głupota albo okrucieństwo. Zbyt wiele jednak osiągnął w życiu, żebym mogła podejrzewać go o to pierwsze.

— Czytałam, że w Nicei jest pełno rosyjskich prostytutek, które dokonują aborcji, bo to tańsze niż środki antykoncepcyjne — palnęłam trochę bezmyślnie. Podejrzewałam, że na Mai tego typu rewelacja musi zrobić przykre wrażenie. Z pewnością była jedną z tych dziewczyn, które uważają, że wszystko jest dobre, słodkie i pełne miłości, a na Facebooku rozsyłają linki wspierające bezdomne psy. — Był o tym spory artykuł w „Le Monde” — dodałam. To było kłamstwo, nie czytałam „Le Monde”, w ogóle nie czytałam gazet. Ale oni nie mogli o tym wiedzieć. — Zdjęcia takich płodów są naprawdę niesamowite — ciągnęłam z rosnącym entuzjazmem. — Widzieliście kiedyś rozerwany płód po aborcji?

Usłyszałam, jak Karolina przełyka ślinę. Przy-
puszczałam, że nie do końca zrozumiała. Jej angielski był raczej kiepski, należała do pokolenia, które nie wdychało tego języka z powietrzem, tylko musiało się go naprawdę uczyć — a jeśli chodzi o Karolinę, od razu było widać, że w szkole zajmowała się głównie chodzeniem w ładnych ubraniach. Maja umilkła i patrzyła na mnie z uśmiechem, który jeszcze nie zdążył zniknąć z jej ust. A może był na nich zawsze? Ojciec zachichotał złośliwie, po czym odchylił się do tyłu. Chyba pierwszy raz w życiu jego śmiech sprawił mi przyjemność. Zerknęłam na Briana. Trzymał amerykańskim zwyczajem rękę na kolanie i patrzył na mnie zdziwiony. Słyszeć było tylko szum klimatyzacji, który wydał mi się teraz moim sprzymierzeńcem.

Po kolacji wymówiłam się od kawy, wzięłam z salonu książkę i wymknęłam się na taras. Mimo późnej pory nadal było bardzo ciepło. Przez to dom wydał mi się jeszcze bardziej egzotyczny — jakbym znajdowała się w jakimś dalekim, bogatym kraju.

Wzięłam jedno z krzesel stojących na werandzie i zaniiosłam je w najdalszy kąt, licząc, że nikt się do mnie nie dosiędzie. Po kilku minutach poczułam jednak, że ktoś muska delikatnie moje włosy,

a raczej to, co z nich zostało. W półmroku majaczyła gibka sylwetka Mai.

— Nie mogę przestać myśleć o tym, co powiedziałaś. Nie wiedziałam... — zaczęła z przejęciem, przynosząc sobie drugie krzesło. Jej usta nadal się uśmiechały, ale tym razem ze smutkiem. — To takie okropne. Teraz już inaczej myślę o naszej podróży do Nicei, bo widzę, że tam też nie jest tak pięknie, jak się wydaje — dodała i spojrzała mi prosto w oczy. Miała tę denerwującą manierę patrzenia prosto w oczy, jakby rozmowa, którą odbywała, była czymś szczególnie ważnym. — W ogóle to takie smutne, że niektóre kobiety chcą usunąć ciążę — dodała cicho, poważnie. — Przecież dziecko to największy skarb. Dla dziecka powinno się umrzeć, jeśli trzeba. — Jej oczy były teraz wielkie i wilgotne. Patrzyły na mnie z nadzieją, że powiem coś, co sprawi, iż znowu będą mogły się śmiać.

— Wiesz, to są prostytutki. — Nagle zrobiło mi się trochę przykro. Jakbym była dorosłym, który tłumaczy rozczarowanemu dziecku, że nie ma Świętego Mikołaja. — Macierzyństwo nie jest tym, na czym akurat najbardziej im zależy.

— Wiem. Ale nie rozumiem, jak można nie chcieć dzieci. Dzieci to największa radość, największe

błogosławieństwo! — W oczach miała łzy, choć jej usta Julii Roberts nie przestawały się uśmiechać. — Wiesz, nie mogę patrzeć na te kobiety w Nowym Jorku, które zaczynają myśleć o rodzinie, kiedy mają trzydzieści pięć lat albo więcej. — W jej głosie dźwięczały smutek i troska. — A potem okazuje się, że nie mogą zajść w ciążę, albo coś w tym rodzaju. A nawet jeśli im się udaje, to po co straciły tyle lat? Nie ma nic wspanialszego niż dawanie życia.

Patrzyła w dal, gdzieś ponad moim ramieniem, i uśmiechała się łagodnie. Przeszło mi przez myśl, że Brian musi bardzo ją kochać. To była dziewczyna, którą bardzo się kochało. Przypominała pięknego, miękkiego kociaka. I w dodatku ten kociak miał takie poważne i dobre poglądy. Nawet jeśli były również tanie i sentymentalne, z pewnością mężczyznom to nie przeszkadzało. Mężczyznom nie zależało na inteligentnych kobietach o ciętym języku. Ostatecznie na pewno wybierali Maję. — Ty chciałabyś mieć dzieci, prawda? — spytała miękko.

Nigdy się nad tym nie zastanawiałam, ostatecznie miałam dopiero dwadzieścia lat.

— Nie wiem. Chyba nie.

Maja spojrzała na mnie ciepło, ze współczuciem.

— Mówisz tak, bo nie wiesz, bo jeszcze o tym nie myślałaś. A może nie spotkałaś nigdy człowieka,

którego mogłabyś pokochać — powiedziała, głaszcząc mnie po ręce.

— Może... — bąknęłam.

— Bo gdybyś spotkała, myślałabyś tak samo jak ja. Każda kobieta tak myśli. Dzieci są przedłużeniem naszego życia, są naszą przepustką do nieba... — zapaliła się. — Angelina Jolie i Victoria Beckham, i Madonna, nawet one to rozumiały.

Jej kategoryczność wydała mi się nagle głupia i despotyczna. Wiedziałam, że jestem niesprawiedliwa, i sprawiało mi to przyjemność.

W tej chwili podszedł do nas Brian. Nie dotknął Mai i stanął w takiej samej odległości od nas obu. W półmroku tarasu wyglądał obco; jego ogromna postać była przytłaczająca i pociągająca zarazem. Studiowałam ją ukradkiem.

Jakieś pół godziny później, kiedy leżałam już w swoim pokoju, próbując się skupić na książce, usłyszałam pukanie. W drzwiach ukazała się głowa Mai.

— Jeśli to z powodu fryzury jesteś taka smutna, to chcę, żebyś wiedziała, że jest piękna — powiedziała bardzo serio, jakby przez całe pół godziny myślała tylko o powodach mojej złośliwości i właśnie je znalazła. Była jak Polyanna: nie wierzyła w zło,

wierzyła tylko w nieszczęście. — Uważam, że nadaje ci dużo charakteru — dodała, splatając ręce. Zastanawiałam się, ile w tym gościu jest dziecinnej szczerości, a ile kokieterii.

— Przyszłaś tu po książkę ze swojej serii dla nastolatek? „Sweet Valley High” *for the sweet girl you are?* — spytałam z nagłą złością. — A może masz nowe zdjęcie do powieszenia nad moim łóżkiem?

Wzrok Mai powędrował w kierunku zdjęć i zobaczyłam, jak milutki wyraz znika z jej twarzy i zamiast niego pojawia się pustka. Zapewne wahała się, jak powinna zareagować na to, że w domu swojego ojca nie mam własnego pokoju. Po chwili jednak na jej twarz wrócił uśmiech; najwyraźniej postanowiła, że lepiej będzie, jeśli niczego nie zrozumie.

Pomachała mi idiotycznie i wyszła. A ja wiedziałam już, jaka to cecha sprawia, że nigdy nie będę w stanie jej polubić. Tą cechą było stuprocentowe nieszczęście. Co innego uczyniłoby ją tak ślepą na zło i nieszczęście innych?

Przez dwa dni przed wyjazdem do Nicei w domu panowało przyjemne podniecenie. Karolina cieszyła się, że znów odetchnie powietrzem Francji, kraju, który uważała za swoją duchową ojczyznę. Nadal ctaczała Maję przesadną troską i na tym tle jej obojętność wobec mnie była jeszcze bardziej widoczna. Czasem łapałam ją na tym, że patrzy w dal za moimi plecami z tajemniczym uśmiechem i dopiero napotkawszy moje spojrzenie, wzdryga się ze zdziwieniem, że tam jestem — tak jakby myślami była gdzie indziej, we wspaniałym świecie, do którego i tak nie mogę mieć dostępu. Poza tym zasypywała towarzystwo opowieściami o sklepach, które należy odwiedzić w Nicei, oraz o jakimś hotelu, gdzie koniecznie musimy zjeść kolację, aby „poczuć, że jesteśmy na Lazurowym Wybrzeżu”. Miałam wrażenie, że te jej opowieści, snute przeważnie po polsku

i niekiedy tłumaczone łamaną angielszczyzną, mają melancholijny i oskarżycielski podtekst. Jakby chwając się swoimi bliskimi kontaktami z Francją, zarazem ubolewała, że są one tak rzadkie. A może wspominała coś, co się tam wydarzyło i w czym nikt z nas, łącznie z moim ojcem, nie brał udziału? Swoją młodość? W ogóle jej ekscytacja podszyta była melancholią i smutkiem — czułam, że adresatami tego smutku z jakiegoś powodu jesteśmy my.

Co do ojca, to nic nie mąciło jego zadowolenia z siebie i miałam wrażenie, że czerpie dziwną przyjemność z obserwowania naszego małego cyrku. Zauważyłam, że prawie wcale nie zwraca uwagi na Karolinę. Do mnie odnosił się nadal z ironią, ale i z pewnym zainteresowaniem, w naszej relacji stanowiło nowość. Z sarkastycznego tonu zrezygnował jedynie wobec Mai. Kiedy z nią rozmawiał, stawał się niesłychanie delikatny — jakby uważał, że to rzadki i kruchy kwiat, z którym trzeba obchodzić się łagodnie. Przewaga Mai nade mną była oczywista — jej nigdy nie skrzywdził, wręcz przeciwnie, mógł grać wobec niej rolę hojnego wujaszka. Zdałam sobie sprawę z tych niuansów niejako mimochodem, bo w rzeczywistości prawie zupełnie przestałam się zajmować ojcem. Jakbym otworzyła oczy

i dostrzegła świat wokoło — i ciekawszą postacią w tym świecie wydał mi się ktoś zupełnie inny.

Światło Nicei wprowadziło mnie w stan przyjemnej beztroski. Słyszałam oczywiście, że kiedyś przyjeżdżało tutaj wielu malarzy, ale właściwie nie wiedziałam dlaczego — dopiero teraz, kiedy patrzyłam na miasto i morze przez okno taksówki, zrozumiałam. Była tu jasność zupełnie nieznaną w Polsce, niespotykana nawet w najbardziej słoneczne dni lata. Sączyła się do samej ziemi i rozświetlała każdą cząsteczkę powietrza. Miało się przez to wrażenie, że nic w tym mieście nie może się ukryć przed ludzkim wzrokiem, a rzeczy gdzie indziej tłamszone, tutaj muszą wyjść wreszcie na światło dzienne. Wrażenie to dawało poczucie ulgi, ale i rodziło niepokój — jakby drżące od upału zakamarki mogły nagle wybuchnąć jakąś straszną, dotąd nie uświadomianą wiedzą. Taksówkarz jechał drogą wiodącą wzdłuż nabrzeża; kiedy się zorientował, że mówię po francusku, zaczął opowiadać, o ile szczęśliwsi i prostsi od paryżan są tutejsi ludzie. A mnie przyszło do głowy, że w tym białym świetle wszystko musi wyglądać inaczej, także relacje między ludźmi muszą być wyrazistsze, lżejsze i zarazem okrutniejsze. I że tutaj można się zdobyć na więcej.

Brian i Maja wyglądali przez okno i co chwila wzdychali z zachwytem. Ich głowy, zwrócone w tym samym kierunku, stykały się skroniami; opuścili szybę i wiatr plątał ich włosy. Wydawali się teraz parą uroczych, trochę egzaltowanych dzieci. Wykrzykiwali kwestie w rodzaju: „spójrz, jak pięknie!” albo „cudownie byłoby tu mieszkać, nie uważasz?!”. Z pewnością nie myśleli o okrucieństwie Południa i gdybym podzieliła się z nimi refleksją tego rodzaju, spojrzeliby na mnie ze zdziwieniem. Widzieli tylko urodę, której wyłączną implikacją była radość. Maja ekscytowała się, że to dzięki niej Brian pozna kawałek Europy. Miała na temat Francji dość sprecyzowany pogląd: „kochała ją nade wszystko” i „zawsze o niej marzyła”, ponieważ Francja była „krajem kultury i miłości”, czyli dwóch rzeczy szczególnie dla niej ważnych. Zastanawiałam się, o jakiej kulturze konkretnie myśli, aż w pewnym momencie zaczęli wspominać, jak kiedyś schodzili Paryż śladami książki i filmu *Kod Leonarda da Vinci*, i tym samym zaspokoiли moją ciekawość. Byli bardzo podnieceni tą opowieścią, która przypominała im wspaniałe chwile ich miłości. Uśmiechnęłam się do siebie.

— Co jest takie śmieszne? — spytał Brian trochę niepewnie, a trochę agresywnie, jakby od początku rozmowy czekał na moją reakcję.

Nie odpowiedziałam. Gdzieś po drodze, tam gdzie linia brzegowa skręca w stronę zatoki portowej, dostrzegłam niewielki hotel przyklejony do skały. Przeczytałam na głos szyld: „Hôtel Suisse”. Odcinek lądu dzielący pierwsze zabudowania i plażę zwęzał się tam, by dać miejsce skałom, wchodzącym niemal w morze. W rezultacie hotel znajdował się przy samej ulicy, dość głośnej z powodu pędzących skuterów, i zarazem kilkanaście metrów od morza. To położenie pomiędzy hałasem miasta a dziką przyrodą obudziło we mnie chyba jakieś marzenia, bo zapytałam o ten hotel taksówkarza, który zaczął mi opowiadać jego historię. Zauważyłam, że Brian nadal na mnie patrzy.

— Co mówiliście? — spytał. W jego głosie była nuta tęsknoty.

— Nic takiego, podziwialiśmy hotel Suisse — odpowiedziałam zdawkowo. To nie był ich świat, tylko mój. Choć znalazłam się na Południu po raz pierwszy w życiu, we Francji widziałam dotąd tylko Paryż, i to przelotnie, to jednak poczułam się Europejką, która może patrzeć na nich z góry. Choćby dlatego, że znałam francuski. Zadowolona, zadałam jakieś pytanie taksówkarzowi, który odpowiadał, odprężony i życzliwy; rozmawialiśmy, sunąc wzdłuż Promenady Anglików.

Brian nic więcej nie powiedział. Odwrócił się i powędrował wzrokiem w kierunku morza, ale widziałam, że on również jest podekscytowany. I nie była to już pełna nadziei ekscytacja czekającą go przygodą. Była to ekscytacja tym, że owa przygoda może go odmienić.

Miałam już niejaki pojęcie o możliwościach finansowych ojca oraz o jego uwielbieniu dla wszystkiego, co drogie i onieśmielające, a jednak jacht, który wynajął na rodzinne wakacje, przerósł moje oczekiwania. A może po prostu, mimo luzu, którego udało mi się nabrać, tak naprawdę nie wiedziałam, co to właściwie znaczy: jacht na Lazurowym Wybrzeżu.

Była to dwupokładowa łódź motorowa pod francuską banderą. Na kadłubie namalowano elegancką kursywą nazwę „Laura L.”. W kolorystyce dominowała biel połączona z jasnym dębem. Z nabrzeża łódź wyglądała jak dom wyrastający z morza, niemal zbyt wysoki, żeby móc się utrzymać na wodzie. Wszystko w niej mówiło, że powstała dla zaspokojenia nie tyle ludzkiej potrzeby obcowania z żywiołem, ile równie silnej, a może nawet silniejszej, potrzeby luksusu. Załoga w białych mundurach stała

na baczność, kiedy wchodziliśmy, po czym wybiegła zabrać nasze bagaże.

Maja i Brian, oszaleli z radości, chodzili po kajutach i wielkim salonie o błyszczących drewnianych wykończeniach w stylu filmów o Jamesie Bondzie z lat siedemdziesiątych. Co chwila dziękowali mojemu ojcu za te wakacje. Brian obejmował ramieniem swoją dziewczynę, w porywie entuzjazmu zapominając o amerykańskiej powściągliwości. Nawet Karolina wydawała się poruszona i na chwilę przerwała wspomnianie dawnych wspaniałych wyjazdów do Francji. Ojciec debatował z załogą i załatwiał formalności związane z wynajmem, udając, że zna się na żegludze. Budził podziw i był w swoim żywiole.

Na mnie cały ten luksus wywarł nie mniejsze wrażenie niż na pozostałych, ale też poczułam się zbita z tropu. Ponieważ wszyscy zajęci byli zwiedzaniem łodzi, weszłam na dek i usiadłam na ławce. Nie musiałam oglądać swojej kajuty, bez wątpienia i tak była lepsza, niż mogłam sobie wyobrazić. A może nie chciałam jej teraz oglądać. Luksus był przytłaczający, a ja nie zamierzałam dać się przytłoczyć. Wyciągnęłam nogi i przechyliłam głowę na bok, korzystając po raz pierwszy z południowego słońca, jakby tylko ono mnie teraz obchodziło.

Po chwili usłyszałam kroki na schodkach, a potem głos ojca:

— I jak, jesteś zadowolona?

Usiadł obok mnie i patrzył na port.

— Och, Mariusz, to taki wspaniały jacht! I Nicea jest taka wspaniała! — odpowiedziałam z umyślną egzaltacją, cytując jeden z ostatnich okrzyków zachwyty Mai.

— I myślisz, że to nie ma żadnej wartości? — powiedział z udanym zaciekawieniem. W jego tonie nie było złości, ale nie było też zainteresowania. Doskonale wiedział, jaka jestem, i oceniał to jednoznacznie — uważał mnie za śmieszna i dziecinna.

Powędrowałam za jego spojrzeniem. Na dole Maja i Brian przystanęli przy relingu w towarzystwie stewardesy. Była pulchna i niska, ale miała w sobie młodzieńczą energię, która od razu mi się spodobała. Co chwila wybuchała śmiechem, obnażając białe zęby, i dziecięcym ruchem odgarniała z twarzy sprężynki gęstych, kręconych włosów. Ojciec lustrował ją wzrokiem.

— Miałaś w dzieciństwie kalejdoskop? — spytał nagle.

Serce zabiło mi mocniej. Cztery lata wcześniej w restauracji dał mi do zrozumienia, że nic go nie

obchodzi moje dotychczasowe życie. Byłam wtedy rozczarowana, choć nie wiedziałam, czy bardziej tym, że nie interesowało go moje dzieciństwo, czy też tym, że nie mogłam mu odmówić opowieści z tego okresu, bo wcale o nie nie prosił. Czyżby tylko odwlekał tę rozmowę i zamierzał podjąć ją teraz? Wstałam i wychyliłam się przez reling. Mimo oślepiającego słońca morze w oddali wydało mi się ponure i złowrogie; pociągało mnie jak zła przygoda, której się boimy, ale której nie potrafimy się oprzeć.

Ojciec poklepał mnie po ramieniu i roześmiał się.

— Pomyśl czasem o życiu w ten sposób. Niektóre rzeczy wyglądają zupełnie inaczej, kiedy się przekręci kalejdoskop.

Odwróciłam głowę od morza i spojrzałam na ojca. Promieniał. Był dumny ze swoich literackich bon motów, tak jak dumny był ze swojego domu, z tego jachtu i w ogóle ze wszystkiego w swoim życiu. Ale we mnie rósł żal i czułam, że tym razem może przybrać inną, nieznaną mi dotąd, okrutną formę — i niczego tak sobie nie życzyłam jak właśnie tego. Mewy krzyczały rozdzierająco, a ich głos przestrzegał mnie przed tym, co może się tutaj wydarzyć.

Było jeszcze zupełnie jasno, ale już czuło się nadchodzący wieczór. Od morza zaczęła wiać łagodna bryza, która mieszała się z pluskiem fal rozbijających się o kadłub łodzi. W środku dnia panowała tu niemal zupełna cisza, jeśli nie liczyć dalekiego szumu silników — jakby wszystko przytłoczone było lejącym się z nieba żarem. Teraz z niektórych jachtów zaczęła się sączyć muzyka, słychać też było brzęk kieliszków i pyknięcia wyskakujących korków. Ludzie wracali z całodziennych wypraw, podczas których siedzieli w restauracjach i popijali zimne rosé lub wynajętymi samochodami objeżdżali okoliczne miasteczka.

Atmosfera podniecenia powoli zaczynała się wkradać i na nasz jacht. Kończyłam właśnie studiować znaleziony w kajucie przewodnik Micheline, który zajął mi kilka godzin popołudniowej

bezczywności. Najpierw z pokładu niepostrzeżenie zniknęli mężczyźni. Pół godziny później już siedzieli na deku, odświeżeni, pachnący wodą kolońską, i otwierali butelkę whisky. Ojciec, z włosami jeszcze mokrymi po kąpieli, świeżo ogolony, wzorował się chyba na modelach z pisma „Yachting”, które znalazłam na stoliku w salonie. Miał na sobie długie białe spodnie i eleganckie mokasyny, które mówiły, że tajniki stylu obowiązującego w tym miejscu są mu równie bliskie, jak Szwajcarom i Włochom. Podwinął rękawy koszuli i śmiał się głośno, dyskutując z Brianem. Tylko szeroki kark upodabniał go do rosyjskiego mafiosa. Brian, w nieodłącznych szortach i klapkach, pozostawiony na pastwę ekspansywnej osobowości swojego rozmówcy, przygaś i tylko potakiwał. Był wprawdzie absolwentem prawa na jakiejś uczelni w Michigan i nawet rozpoczął pracę w kancelarii, jego ojciec zaś zasiadał w zarządzie pewnej spółki z tego regionu, ale najwyraźniej nie czuł się dobrze. Nie wiedziałam jednak, co bardziej go onieśmiela — mój ojciec czy Europa. Rozmawiali o kryzysie, który właśnie pogrążał firmy i banki na całym świecie. Wiedziałam już, że jest to ulubiony temat ojca — zapewne dlatego że kryzys, jak dotąd, omijał szerokim łukiem jego przedsiębiorstwa.

W końcu i ja wróciłam do kajuty, weszłam pod prysznic i puściłam zimną wodę. Potem przebrałam się w stalową, ascetyczną sukienkę od Karoliny i stanęłam przed lustrem. Nie wyglądałam ładnie, a jednak można było uznać, że w tym stroju i we francuskiej scenerii od biedy przypominam Jean Seberg, którą widziałam niedawno na zajęciach Akademii Filmowej w filmie *Do utraty tchu*. Oczywiście nie miałam jej filigranowej urody, moja twarz była raczej pucołowata. Ostatecznie jednak każdy mankament można uznać za wyrafinowanie. Wślizgnęłam się do salonu i usiadłam w kącie z książką; przyjemnie szumiała tu klimatyzacja, przypominając, że mimo zbliżającego się wieczoru na dworze nadal panuje upał.

Neil zachowywał się coraz wyraźniej jak wstrętny, egoistyczny dupek, co przewidywałam od początku. Mimo to nadal sądziłam, że Philip Roth trzymał jego stronę wobec Brendy. Zajęłam się rozważaniem tej kwestii, po czym wpadłam na pomysł, że do mojego nastroju — i wyglądu — dobrze pasowałby papieros. Nikt w towarzystwie jednak nie palił. Amerykanie mieli na to stanowczo zbyt białe zęby; taka biel zobowiązywała. Karolina z kolei za bardzo dbała o skórę i zdrowie. Ojciec zaś miał

z pewnością wystarczająco dużo innych złych przyzwyczajęń. Postanowiłam, że kupię wieczorem papierosy, pierwsze w życiu, po czym wyszłam na dek i nalałam sobie whisky.

— Twoja córka jest prawdziwą Europejką — powiedział Brian z nagłym ożywieniem. Może miał nadzieję, że moja obecność pozwoli mu zmienić nudny temat rozmowy.

Przechyliłam szklankę i upiłam duży łyk. Alkohol był tak mocny, że o mały włos się nie zakrztusiłam. Odwróciłam głowę, żeby nie widzieli mojej miny.

— Naprawdę tak uważasz? — ojciec rozparł się wygodnie na krześle, krzyżując nogi, jakby zajmował właśnie miejsce w kinie, i zaczął lustrować mnie wzrokiem.

— Popatrz na nią i na Maję. Jest pewna różnica, prawda? — Brian świdrował mnie spojrzeniem. Być może alkohol zaczął uderzać mu do głowy.

Ale w tej chwili na dek wyszły razem Maja i Karolina, obie w długich sukienkach bez ramiączek. Karolina trzymała siostrzenicę za łokieć, w opiekuńczym i zaborczym geście matrony wyprawiającej podopieczną na pierwszy bal. Z jej twarzy biła energia, która mogła być oznaką miłości — ale

mogła być też jedną z masek pustki; tej pustki, która już na nią czyhała i wkradała się czasem w jej gesty i spojrzenia. Posadziła swoją księżniczkę na ławie i zaczęła czesać jej włosy, które spływały na ramiona jak na obrazach Botticellego. Połączone tym pozornie praktycznym, w rzeczywistości zaś zmysłowym zajęciem, tworzyły wspaniałą żywy obraz.

— Co robicie? — spytał Brian z zainteresowaniem pełnym ekscytacji, jaką budzą w mężczyznach sprawy kobiece.

— Twoja dziewczyna powinna dziś wyglądać jak królowa — wyjaśniła Karolina, czy raczej powiedziała łamaną angielszczyzną coś, co miało właśnie to znaczyć. — A jej chłopak nie powinien iść na kolację w hotelu Negresco ubrany jak na jogging — dodała z ironią, już po polsku kwoka, która robi wszystko dla swojej podopiecznej. Tym razem uznała najwidoczniej, że musi trochę natrzeć uszu jej chłopakowi.

Jej słowa wydały mi się zabawne, przetłumaczyłam je więc skwapliwie Brianowi. Słuchał urażony, a potem spojrzał na mojego ojca pytająco. Na sąsiednim jachcie ktoś otworzył szampana i usłyszeliśmy wesołe okrzyki po niemiecku. Z kajut wyłoniła się właśnie nasza roześmiana stewardesa z tacą oliwek. Zwróciłam uwagę, że mundur opina trochę zbyt

ciasno jej uda i pośladki. Wzrok ojca popłynął niezbyt dyskretnie w tym kierunku.

— Dlaczego? — Brian był w bojowym nastroju.

Ale już nikt nie zwracał na niego uwagi. Ojciec mówił coś do stewardesy, biorąc od niej oliwkę i nalewając aperitif. Karolina zajmowała się włosami Mai, która posyłała Brianowi błagalne spojrzenia.

— Wiesz, to jest Europa — powiedziałam z afekcją, naśladowując ton moich koleżanek ze studiów, kiedy opowiadają, że były w modnej kawiarni, w rodzaju Relaksu na Mokotowie.

— Europa — mruknął do siebie ze złością i spojrział na mnie wyzywająco. Nadal nie wiedział, czy mnie lubi, czy nie, i w tej chwili zaczął się skłaniać ku tej drugiej opcji. Wyglądał słodko w swoim niebieskim T-shircie, podkreślającym kolor jego oczu. Uśmiechnęłam się promiennie, a on skrzywił się jak dziecko.

Po chwili jednak wstał i skierował się pod pokład. Zapewne postanowił łyknąć tę zniewagę i uznać, że to część jego europejskiego doświadczenia.

— Nie zamawiaj do kolacji coca-coli. Bo cię przeniosą do sali dla dzieci — krzyknęłam za nim, czując, jak rozpiera mnie radość.

Odprowadziłam go wzrokiem. Jego plecy były wyprostowane i tworzyły doskonały trójkąt, ja-

kiego próżno szukać u studentów z Krakowskiego Przedmieścia.

Tymczasem włosy Mai zostały już prawie upięte. Karolina stała, trzymając między wargami spinkę, i kończyła swoje dzieło.

— Będziesz wyglądać jak panna młoda — powiedziała, odgarniając pukiel włosów z jej migdałowych oczu.

Było jeszcze jasno, dopiero wybiła ósma, ale upał już znacznie zelżał. Stewardesa, która — jak się okazało — była Cypryjką i miała na imię Vera, poszła do salonu włączyć muzykę i zaraz rozległ się ochrypły, zmysłowy głos Carli Bruni, śpiewającej o czterech spółgłoskach i trzech samogłoskach imienia jakiegoś kochanka sprzed czasów prezydenta Sarkozy'ego. Brzmiało to ciepło, a zarazem nostalgicznie — właśnie tak, jak powinna brzmieć wieczorna muzyka w porcie w Nicei. Mój ojciec podszedł do Karoliny i Mai z dwoma kieliszkami białego wina i postawił je przed nimi na stole. Mnie pominął — zapewne dlatego, że siedziałam na uboczu, schowana pod dachem, a może z jakiegoś innego powodu.

— Och, Maja jest taka piękna, że można zwymiotować — burknęłam niby do siebie, ale na cały głos.

— Tak sądzisz? — Ojciec spojrział na mnie uważnie. Jego oczy były osadzone zbyt blisko siebie, jak u ludzi, których twarze zniekształciła tusza. Nadało mu to podstępny i władczy wygląd.

— Jest zazdrosna! Jest tak zazdrosna o Maję, że aż nie może wytrzymać — wybuchła Karolina, jakby tylko czekała na tę okazję. W jej głosie dźwięczyły satysfakcja i radość, że może mnie zdemaskować. Były to chyba pierwsze dotyczące mnie bezpośrednio słowa, które wydusiła z siebie od tamtego wieczoru w Konstancinie.

— Może i jestem — powiedziałam cicho i wstałam, żeby mogli lepiej mnie słyszeć. Mewy krzyczały wściekle i rozpaczliwie i krzyk ten wydał mi się głosem mojego serca. Może wreszcie teraz powiem wszystko, co myślę: o moim ojcu, jego żonie i naszej przeszłości. — Nawet jeśli jestem zazdrosna, to co? — zaczęłam. Zamierzałam ich wyśmiać, pokazać im całą ich obłudę, ale nie mogłam skończyć. Mój głos zaczął się łamać i poczułam, że zaraz się rozplacę.

Patrzyli na mnie bez słowa. Maja chyba nie zrozumiała powodu mojego nagłego rozdrażnienia, bo rzuciła Karolinie pytające spojrzenie. Kątem oka zobaczyłam, że tymczasem pojawił się Brian,

w długich spodniach i półbutach. Zatrzymał się, zrozumiał, że coś się stało, ale nikt mu niczego nie wyjaśnił. Karolina wróciła do upinania włosów Mai. Ojciec zaledwie na chwilę oderwał się od rozmowy z Cypryjką i teraz podjął ją, tylko trochę bardziej rozbawiony.

Dopiero później, kiedy schodziliśmy wreszcie na ląd, Brian zwrócił się do mnie cicho, jakby nawiązując do naszej zażyłości, choć nie wiedziałam, czy tej z hamaka w Konstancinie, czy ze złośliwej wymiany zdań sprzed paru minut.

— O co chodziło? — zapytał.

— O nic — powiedziałam, chwytając go za przedramię, bo właśnie szliśmy po trapie. — Mój ojciec podziwiał twoją narzeczoną i Karolinę. A ja powiedziałam im, że uroda nie zawsze ułatwia życie — skłamałam. Rzadko kłamałam, a już szczególnie w tak drobnych sprawach, ale teraz jakoś kłamstwa same do mnie przychodziły i nie wydawały się ani trochę złe.

Zresztą to, co powiedziałam Brianowi, może wcale nie było takie głupie. Wymyśliłam to à propos Brendy i Neila. Być może ludzie zbyt piękni, bogaci i w ogóle szczęśliwi są również zbyt naiwni w kontaktach z resztą świata, która nie może pochwalić

się takim samym szczęściem. Ale więcej się nad tym nie zastanawiałam. Słowa te zabrzmiały mądrze, smutno i dorośle i wypowiedziawszy je, poczułam się znacznie lepiej.

Zbliżała się dziewiąta i słońce zaczynało zachodzić. Brian podtrzymał moją rękę i nie puścił jej jeszcze przez dwa czy trzy kroki na chodniku. Był to drobny gest, niemal niezauważalny, mnie jednak wydał się jednoznaczny, jakbyśmy nagle pocałowali się przy wszystkich.

*Et l'amour où tout est facile,
Ou tout est donné dans l'instant*

— śpiewała tajemniczo Carla Bruni; jej miękki, chrapliwy głos obiecywał mi zakazane rozkosze. Vera pomachała nam i krzyknęła wesoło z greckim akcentem:

— Bawcie się cudownie!

Ale nikt jej nie odpowiedział; wszyscy myśleli już o nadchodzącym wieczorze.

*Il existe au milieu du temps
La possibilité d'une île...*

— piosenka cichła i przyszło mi do głowy, że te wakacje mogą okazać się zupełnie inne, niż wszyscy sądziliśmy.

Restauracja w hotelu Negresco zrobiła na mnie ponure wrażenie. Był to stary lokal, luksusowy, sztuczny, pełen smutnych playboyów, z pewnością pamiętających jeszcze czasy, gdy Bóg stworzył kobietę, oraz silikonowych babć zrobionych na dwudziestolatki. Z włosami zmierzwionymi od wiatru podjeżdżali pod hotel kabrioletami, jakby odwiedzali muzeum własnej młodości. Ich groteskowość powinna być przestrogą dla Karoliny, żeby nie szła tą drogą. Ona jednak wyraźnie tego nie dostrzegała i z zapalem opowiadała o owocach morza, które jadła piętnaście lat temu w tej czy innej restauracji na Lazurowym Wybrzeżu; zresztą chodziło jej zapewne raczej o mężczyzn, którzy płacili wtedy rachunki. Maja i Brian odgrywali amerykańskie dzieci w krainie czarów — musieliśmy słuchać ich komentarzy, że ludzie za dużo palą, dania są za

małe, wszyscy mężczyźni zaś wyglądają jak homoseksualiści, ale mimo to „jest tu cudownie”. Ojciec podwijał kompulsywnie mankiety koszuli, żeby jak najwięcej osób mogło zobaczyć jego roleksa, i wyjątkowo głośno zamawiał najdroższe wino, a i tak nie udało mu się przebić Rosjan. Swoją drogą moja rewelacja na temat rosyjskich prostytutek okazała się całkowicie nietrafiona. W Nicei faktycznie można było spotkać sporo przedstawicieli pewnej rosyjskiej grupy społecznej, ale raczej nie tej. Stwierdziłam to beznamiętnie i siedziałam cicho, skubiąc ze znużeniem rybę i marząc o miękkim łóżku w kajucie oraz o książce Philipa Rotha.

Tego wieczoru poznałam Mathieu. Po kolacji ojciec zarządził spacer na stare miasto oraz kawę. Zasiedliśmy przy stoliku na zewnątrz, ale po paru minutach zostawiłam towarzystwo i weszłam do środka. Muzyka była głośna, latynoamerykańska; męski głos śpiewał: *un, dos, tres* z wulkaniczną energią, która od razu wprowadziła mnie w dobry nastrój. Uroczy kretynizm tych słów wydawał się skierowany do mnie i mówił, że wszystkie cierpienia, które uważałam za nieodłączną część tych wakacji, mogą w każdej chwili prysnąć w zetknięciu

z czyjąś beztroską. Miałam ochotę zostać tam i dać się jej porwać, zamówiłam więc przy barze caipirinhę, a kiedy ruszyłam do ojca po pieniądze, chłopak, który stał obok mnie, wyciągnął z kieszeni banknot i zapłacił.

Był trochę starszy ode mnie, chudy i wysoki, o śniadej cerze i mięsistych wargach południowca. Jasna koszula nadawała mu wygląd elegancika z małego miasteczka. Brakowało mu jeszcze papierosa, którego zresztą zaraz zapalił. Poczęstował i mnie. Wyjęłam papierosa z pudełka i włożyłam do ust, patrząc, jak chłopak wprawną ręką podsuwa mi zapalniczkę. Miał na imię Mathieu i mieszkał w Nicy, właśnie kończył tu literaturę i pisał pracę z Sartre'a, o czym opowiedział mi w kilku błyskotliwych zdaniach; słuchając go, wybuchałam śmiechem, pełna dobrej woli, by mu się podobać i by on spodobał się mnie. Co pewien czas łapał mnie za ramię, jakby w obawie, że się przewrócę. Faktycznie, nagle poczułam się pijana. I pewnie trochę z tego powodu, a trochę dlatego że Mathieu był Francuzem, w dodatku z Południa, a więc człowiekiem obdarzonym zdolnością konwersowania w sposób ciekawy i bez końca, nasze spotkanie wydało mi się najnaturalniejszą, najbardziej autentyczną rzeczą, jaka

się wydarzyła od początku wakacji. Oparłam się o ścianę, a Mathieu pochylił się nade mną, żebym go lepiej rozumiała. Rękawy koszuli miał podwinięte i dostrzegłam, że jego ręce są smukłe i chłopięce.

Akurat mówił coś o Houellebecqu, kiedy usłyszałam głos Briana.

— Idziemy — powiedział, chwytając mnie za ramię, i w porównaniu z dotykiem Mathieu jego uścisk był szorstki i nachalny. Wlepiął we mnie wzrok, jakby nie widząc, że nie jestem sama. Był niezadowolony; najwyraźniej ja bawiłam się przez te ostatnie pół godziny znacznie lepiej niż oni. — Twój ojciec prosił, żebym cię odszukał.

Wzdrygnęłam się. Magia ostatnich chwil sprawiła, że zdążyłam prawie zapomnieć o ojcu i o nich.

Tymczasem Mathieu wyglądał na zachwyconego nową znajomością i zaczął zapraszać Briana, żeby do nas dołączył. Mówił po angielsku z silnym francuskim akcentem, który wydał mi się czarujący. Brian jednak nie rozumiał albo udawał, że nie rozumie.

— Wracamy na jacht. Twój ojciec się o ciebie niepokoi — powtórzył kategorycznie, jakbym była małą dziewczynką.

Wyszłam na zewnątrz, a Brian ruszył za mną, tak blisko, jakby doprowadzał mnie na miejsce.

Przy naszym stoliku faktycznie wszyscy już byli gotowi do wyjścia. Maja złowiła z daleka moje spojrzenie i zaczęła dawać mi jakieś znaki. Nie wyglądała już tak olśniewająco jak na początku wieczoru — jej twarz była zaczerwieniona od wina, a z koka wymykały się kosmyki włosów.

Objęłam ojca za szyję. Jego skóra była nagrzana i pachniała przetrawionym alkoholem. Wyglądał na zmęczonego. Ostatecznie przeżyliśmy długi dzień, a on nie był już taki młody. Nigdy nie myślałam, że mógłby mieć jakieś słabości — zawsze wydawał mi się silny, na pewno silniejszy ode mnie — dlatego ta myśl mnie zdziwiła, choć zarazem jej naturalność była urzekająca. Zbliżyłam usta do jego ucha i zaczęłam opowiadać, że poznałam kilkoro miłych ludzi i że chciałabym jeszcze trochę z nimi zostać. To małe kłamstwo wydało mi się zupełnie niewinne, znacznie niewinniejsze niż wszystkie prawdy, które między nami padły. Bo czy nie to właśnie robiły młode dziewczyny na wakacjach z rodzicami — kłamały, żeby zapewnić sobie odrobinę wolności?

— Co będziesz robić? — spytał. Wydawał się zaskoczony, ale i zadowolony; być może i on odczuwał ulgę, widząc, jak zmieniam się w zwyczajną córkę, taką, jakiej nigdy nie miał.

— Och, myślę, że po prostu zostaniemy tutaj — kłamałam dalej. Tak naprawdę Mathieu wspomniał, że jest jakaś impreza w domu na górze nad Niceą, i zaproponował, żebyśmy tam pojechali, nie wiedziałam jednak, co powie na to ojciec. W gruncie rzeczy przecież go nie znałam.

A on wyciągnął portfel i dał mi sto euro.

— Na razie tyle. Nie chcę, żebyś miała przy sobie więcej. Miłego wieczoru — ścisnął moją dłoń i uśmiechnął się znacząco, jakbyśmy mieli jakiś wspólny sekret.

Pocałowałam go w policzek. Dopiero co się golił, ale jego twarz już zaczynała się robić szorstka.

— Do widzenia, kuzynie — powiedziałam do Briana, posyłając mu w powietrzu pocałunek. Wiedziałam, że sprawiam mu przykrość, i cieszyłam się z tego jak dziecko.

Wzruszył ramionami i odwrócił się ode mnie, nawet się nie żegnając. Pomachałam Mai i poszłam w kierunku wejścia. Czułam na plecach czyjeś spojrzenie i pomyślałam, że to Brian wciąż nie może mi darować zniewagi — a może jeszcze czegoś.

Mathieu czekał na mnie tam, gdzie go zostawiłam. Oparłam policzek o jego ramię i zamknęłam oczy, wierząc, że nie będzie miał mi za złe tej

poufałości. Moja pewność siebie wobec przystojnego, elokwentnego Francuza zaskoczyła mnie samą. Mathieu zaczął szeptać mi coś do ucha, lecz słowa ginęły w hałasie i słyszałam tylko łagodną melodię jego głosu. W końcu wziął mnie za rękę i wyszliśmy na zewnątrz.

Wieczór był gorący. Ze wszystkich stron dochodził brzęk kieliszków, a z otwartych restauracji i barów sączyła się nadal muzyka. Mathieu żartował z napotykanymi co krok znajomymi. Ja zaś myślałam, że jego lekkość może mnie uratować od zła, które znajdowało się tam, na jachcie, i które lada chwila mogło mnie zgubić.

Wsiedliśmy na skuter, który stał zaparkowany nieopodal, przytuliłam się do gorących pleców Mathieu i ruszyliśmy. Ulice Nicei nocą nadal były zatłoczone, ale Mathieu prowadził tak, że zawsze pierwsi ruszaliśmy po zmianie świateł. Szybko opuściliśmy centrum i zaczęliśmy wspinać się do góry serpentydami. Po bokach wznosiły się apartamentowce i samotne wille. Kiedy zatrzymaliśmy się, żeby popatrzeć w dół na Niceę, usłyszałam ogłuszający koncert cykad. W oddali rysowała się czerń wody, rozjaśniana tylko przez jeden z rejsowych promów kursujących do Ajaccio. Bliżej, gdzieś po lewej

stronie, w porcie, musiała kołysać się nasza Laura L., na której Brian i Maja patrzyli pewnie w gwiazdy i dziwili się, że są tak mało amerykańskie, Karolina wspominała jakieś torebki i drinki sprzed piętnastu lat, a mój ojciec zerkał na cypryjską stewardesę. Zapewne znajdowaliśmy się już kilkaset metrów nad poziomem morza, bo powietrze zrobiło się chłodne. Obejmowałam Mathieu i czułam pod palcami jego szczupłe ciało. Daleko mu było do atletycznej budowy Briana, a jednak miał w sobie coś innego, co teraz wydawało mi się znacznie bardziej pociągające. Był subtelny i inteligentny — rozmawiając z nim, doświadczałam wspaniałego poczucia całkowitej kompatybilności, które zdarza się niezwykle rzadko, jeśli w ogóle się zdarza. Po ostatnim tygodniu ciągłych przykrości i niezrozumienia, kiedy nawet nieliczne przyjemne chwile niosły ze sobą napięcie, mogłam odetchnąć. Poza smutkiem i pretensjami to właśnie tak męczyło mnie w domu ojca — nie pasowaliśmy do siebie i nie rozumieliśmy się. Nie miałam z nim nic wspólnego, podobnie jak z żadną osobą z jego świata: z Karoliną, Mają, ani nawet z Brianem. Mathieu był zupełnie inny: wrażliwy i pełen dobrej woli. Za jego słowami nic się nie kryło. Czy raczej kryło się — ale to coś nie było wymierzone przeciwko mnie.

W końcu Mathieu zatrzymał skuter i zdjął kask. Stałam na ziemi i oparłam się o siodełko. Jazda zdążyła mnie otrzeźwić, ale było tak ciemno, że nie widziałam nic wokoło. Mathieu pociągnął mnie za sobą i po chwili znaleźliśmy się na terenie jakiejś posesji, a potem w wielkim, prawie pustym salonie, w którym jakaś para dyskutowała zawzięcie, na przemian krzycząc na siebie i wybuchając śmiechem. Mathieu przywitał się i pociągnął mnie w kierunku tarasu, a wtedy zobaczyłam, że rozpościera się stąd widok na całą Zatokę Aniołów. Oparliśmy się o barierkę. Schodziło się stąd na rozległy trawnik, który kończył się gwałtownie urwiskiem; kilka kilometrów dalej zaczynało się miasto, migoczące światłami i ucięte czarną taflą morza. Przez chwilę żałowałam, że mój ojciec i Brian nie są ze mną. Nie dlatego, że chciałam podzielić się z nimi pięknym przeżyciem; chciałam, żeby mi zazdrościli.

Dom należał do przyjaciółki Mathieu, Florence, szczupłej brunetki, od której nie mogłam oderwać wzroku. Jej rysy były prymitywne, jak z rysunków z jaskini, i zarazem skrajnie wyrafinowane — jakby kultura była u niej odwrotną stroną dzikości. Florence przyniosła mi kieliszek wina i zaczęła opowiadać, że przeprowadziła się tu kilka lat temu

z Paryża, który stał się wówczas nie do wytrzymania. Teraz pisała książkę o rodzicach; zaczęła wtajemniczać mnie w szczegóły swojej relacji z nimi, pełnej chłodu, a nawet nienawiści. Przy okazji dowiedziałam się, że w wieku dwudziestu lat wyszła za mąż za znacznie starszego profesora i adoptowała jego dziecko; właśnie się rozwodzili.

— Adoptowałaś dziecko, kiedy miałaś dwadzieścia lat? — Wydawało mi się to niesłychane. Sama byłam teraz w tym wieku i raczej uważałam, że to ja mogłabym zostać przez kogoś adoptowana.

— To było siedem lat temu — wyjaśniła rzeczowo Florence. — Zresztą Alissa powinna gdzieś tu się kręcić. Zmieniliśmy jej imię na Alissa, bo czytaliśmy wtedy Gide'a i imię bohaterki *Ciasnej bramy* wydało nam się odpowiednie. Nasza mała była taka naiwna. Chętnie uznawała zło za świętość. To pasuje do dziecka. — Ironia w jej głosie zrobiła na mnie dziwne wrażenie.

Rozejrzałam się, ale nie zobaczyłam nigdzie dziewczynki. Natomiast Florence musiała dostrzec zaskoczenie na mojej twarzy. Do tej chwili sądziłam, że ma co najmniej trzydzieści pięć lat.

— Wyglądam starzej, prawda? To moje neurozy — wyjaśniła rzeczowo, jakby jedyną jej troską była prawda.

Uśmiechnęłam się. Jej twarz oraz to, co mówiła, wydało mi się groźne i intrygujące.

— A jaka jest twoja historia? — spytała, zapalając papierosa.

Zanim się zorientowałam, zaczęłam opowiadać jej o ojcu, o mojej krótkiej i przerwanej gwałtownie komitywie z Karoliną, o niechęci do Mai i złośliwej satysfakcji, którą czułam, kiedy wydawało mi się, że jej chłopak, Amerykanin, przeżywa ostrą fascynację Europą.

— A Europa to w tym wypadku ty — podsumowała Florence z wyrazem zamyślenia na twarzy. Jej spojrzenie powędrowało w stronę portu, a mnie się wydało, że rozumiała wszystko. Jakby ten mały dramat, który rozgrywał się w Konstancinie, a teraz przeniósł się na jacht i uliczki Nicei, i który dotąd wydawał mi się niewyraźny, pełen pobocznych wątków i nie do końca zrozumiałych motywacji, był dla niej krystalicznie przejrzysty, jak książka, którą pisała. Co więcej, pod jej chirurgicznym spojrzeniem wydał się przejrzysty także mnie.

— Chcesz tego? Myślisz, że coś ci to da? — powiedziała. Przedmiot jej pytania był teraz dla mnie całkowicie oczywisty; w dodatku, mimo całej swojej okropności, w pewnym sensie zwyczajny

i oswojony. Jakaż różnica pomiędzy okrutną szczerością tej dziewczyny a zakłamaniem tamtych. A może i moim własnym?

— Trudno się dziwić, że masz na to ochotę. Zrobiłabym tak samo. — Zaciągnęła się papierosem, nadal na mnie nie patrząc. Jakbym powiedziała jej już wszystko, co mogłam. Z zapartym tchem czekałam na to, co powie, jak na wyrok, od którego zależała moja przyszłość. — Ale czy na pewno za uwolnienie się od niego chcesz zapłacić taką cenę? — spojrzała na mnie prawie czule. — Zwłaszcza że jest Mathieu. Spodobałaś mu się. — Znów patrzyła w czarną pustkę, która dzieliła nas od Nicei. — To mój przyjaciel i po prostu wiem. A skoro jest Mathieu, to może znacznie lepiej by było, gdybyś ich zwyczajnie zostawiła i resztę tych wakacji spędziła z nami. To także rozwiązałoby sprawę, nie uważasz? — Jej słowa były pokrętne, dziwne, wyrachowane, a jednak trafiały w sedno całej historii i streszczały to, co czułam. W dodatku to coś nie wydawało się jej chyba takie straszne. Kto wie, czego sama doświadczyła i jakie relacje opisywała w swojej książce. — Może nawet rozwiązywałoby ją lepiej. A na pewno dojrzalej. Ostatecznie gdybyś zrezygnowała z nich i zajęła się po prostu sobą, byłby to najwspanialszy rodzaj zemsty, nie uważasz?

A ponieważ nic nie mówiłam, dodała z rozba-
wieniem:

— Chyba że już się w nim zakochałaś?

— Nie, nigdy w życiu! — zapewniłam, ale jej uwaga zbiła mnie trochę z tropu.

— Świetnie go sobie wyobrażam. Brian, jakie amerykańskie imię. Na pewno jest bardzo atrakcyjny i trochę głupi, prawda? Wydaje mu się, że ma przewagę, ale wcale tak nie jest. I wtedy ty zaczynasz czuć się świetnie. — Skończyła palić papierosa i zgasiła go na barierce, przy której stałyśmy. — Ale Mathieu?

Szukałam go wzrokiem. Stał z dwiema dziewczynami i rozmawiał; miał poważną, chmurną minę. Był teraz piękny, za piękny jak dla mnie. Jeśli Florence miała rację, że mu się podobam, to naprawdę trudno by mi było zgadnąć dlaczego.

— Myślisz, że spotyka się tak wiele inteligentnych dziewczyn? Szczególnie tutaj? — powiedziała, znowu zgadując moje myśli, a mnie przyszło do głowy, że co najmniej jedną musiał spotkać — ją.

Mathieu skończył rozmowę i skierował się w naszą stronę.

— Możesz spać u mnie, jest kilka wolnych pokoi. To duży dom, mój mąż kupił go parę lat temu,

kiedy byliśmy razem, i jeszcze nie zdołał mi go odebrać — wyjaśniła. — Chyba że wolisz nocować u Mathieu — dodała pospiesznie, kiedy jeszcze nie mógł nas słyszeć. — Nie wątpię, że on by chciał. Tobie też by to dobrze zrobiło. — W sposobie, w jaki to mówiła, nie było żadnej dwuznaczności, tylko czysta rzeczowość. — W każdym razie zastanów się. — I spojrzała z uśmiechem na Mathieu, który stał już obok nas i słuchał.

Nie wiedziałam, dlaczego właściwie tak nalega, żebym została. Trudno mi było dopatrzeć się w tym drugiego dna — jeśli ją i Mathieu coś kiedyś łączyło, jak podejrzewałam, to powinna mnie raczej zniechęcać. Nie znajdowałam żadnego powodu tej życzliwości, może poza tym czymś, czego istnienia tylko się domyślałam — poza ciekawością. Ciekawością cudzych cierpień i pomyłek; dzięki niej Florence mogła dojść do tego stanu neurozy, w którym nic nie wydawało jej się złe ani niemoralne, bo wszystko było po prostu ludzkie. Pomyślałam, że faktycznie powinnam zrobić tak, jak mi zasugerowała; że ci ludzie, których w ogóle nie znam, są mi znacznie bliżsi niż ojciec i jego towarzystwo. Że z nimi czekałyby mnie przyjemniejsze, a przede wszystkim lepsze wakacje. Lepsze w etycznym znaczeniu tego słowa.

Bo przecież tam w dole, na jachcie, w atmosferze, jaka panowała pomiędzy mną i nimi, kryło się coś groźnego i podłego. Choć niewykluczone, że to coś kryło się właśnie we mnie.

Zza pleców Mathieu wyłoniła się dziewczynka o brązowych włosach i lekko garbatym nosie. Trzymając w ramionach białego królika, podeszła do Florence i chwyciła ją za rękę.

— O, jesteś, Alissa! — powiedziała Florence, obejmując ją. — Widzę, że znalazłaś swojego małego przyjaciela. Uciekł jej dzisiaj rano i strasznie rozpaczala — wyjaśniła, zwracając się do mnie. — Prawda, kochanie?

— Tak, mamusiu. Znalazłam go nad samym urwiskiem. Mógł spać. — Francuska buzia Alissy wyrażała troskę. Była w tym wieku, kiedy dziecko już prawie wszystko rozumie i można rozmawiać z nim jak z dorosłym, ale jeszcze nie weszło w egotyczne szaleństwa okresu dojrzewania. Być może w jedynym prawdziwie sympatycznym wieku człowieka.

— Zabierzesz go ze sobą do Paryża? — spytała Florence.

Alissa nie odpowiedziała, ale jej twarz się zachmurzyła.

— Alissa wraca pojutrze do swojego ojca i nie będziemy się widziały przez pewien czas. Po wakacjach wyjeżdżam do Niemiec. Zakochałam się w Niemcu! Zabawne, prawda? — Florence roześmiała się zalotnie, jakby on tu był.

Przyjrzałam się Alissie, która stała dalej ze spuszczoną głową i głaskała królika. Ruchy dziewczynki wydały mi się kompulsywne, mechaniczne. Teraz lepiej rozumiałam niezwykłą przenikliwość jej przybranej matki w kwestii cierpienia — nie tylko nieraz go doznała, ale najwyraźniej zdarzało jej się je zadawać. Punkt widzenia Florence wydał mi się jednak okrutnie prawdziwy — czy ostatecznie każdy z nas nie był skrzywdzony? Czy krzywda i cierpienie nie były po prostu nieodłączną częścią życia, którą należało przyjąć jako konieczność, zupełnie tak jak sen i jedzenie? I czy takie podejście nie wydawało się cudownie wyzwalające?

— Co tu jest? — spytała Alissa, oglądając serduszko przy mojej bransoletce od Tiffany'ego.

Otworzyłam je. Było tam moje ukochane zdanie z *Na wschód od Edenu* Steinbecka: „Kocham cię. W przeciwnym razie dlaczego miałbym zadawać sobie trud krzywdzenia cię?”. Zdanie to miało komentować prezent i powód, dla którego go nosiłam. Przeczytałam je Alissie.

— A dlaczego to jest napisane? — spytała.

— Kiedyś gdzieś to przeczytałam. Ty też wypisujesz sobie różne mądre zdania z książek? — Pogłaskałam jej aksamitne włosy, a ona spojrzała na mnie wielkimi, ufnymi oczami. Miała na sobie płócienną sukienkę w brązowym kolorze, który jeszcze podkreślał jej smutek.

— To przykre, że Alissa tak wcześnie musi poznać żal i rozdarcie, prawda? Choć ja byłam jeszcze o parę lat młodsza, kiedy mój ojciec się wyprowadził — powiedziała Florence. W jej głosie nie było samousprawiedliwienia, tylko rzeczowość. Jakby nie czuła się winna tego cierpienia lub jakby wina nie budziła w niej żadnej skruchy. — Kto z nas nie został skrzywdzony przez rodziców? — dodała. — Zawsze najbardziej krzywdzą nas ci, których kochamy. I ci, którzy nas kochają. Alissa też obmyśli kiedyś swoją małą zemstę, prawda, moja kaczuszko?

Ale dziewczynka nie odpowiedziała i pobiegła na taras. Chwilę później zobaczyłam, że siedzi na schodach i tuli swojego królika, szepcząc mu coś do wielkiego ucha. W ręku trzymała pęczek trawy, który podstawiała pod rozedrgany różowy nos zwierzątka. Jej twarz była jeszcze jasna i ufna,

pozbawiona cieni, które z pewnością położy na niej niebawem cierpienie. Patrząc na nią, poczułam ukłucie w sercu.

Za jakąś godzinę kilkoro znajomych Mathieu i Florence postanowiło pojechać nad morze, więc i my wsiedliśmy na skuter i pędziliśmy tym razem w dół wzgórza, łykając powietrze i śmiejąc się na głos z tej nocy i z tego, że się poznaliśmy. Nie wiem, jak długo trwała nasza przejażdżka, ale chciałam, żeby nigdy się nie skończyła. Wrażenia całego wieczoru, przenikliwość Florence i coś, co z braku lepszego słowa można było nazwać tolerancją — tolerancją na dziwność i cierpienie, które dotąd wydawały mi się czymś strasznym i wstydlwym — do tego czułość i urok Mathieu, wszystko to sprawiło, że miałam wrażenie, jakby ktoś otworzył przede mną zupełnie nowy świat. I był to w dodatku świat, do którego od dawna należałam.

W końcu Mathieu zatrzymał skuter i usłyszeliśmy łagodny szum morza. Znajdowaliśmy się na kompletnym pustkowiu, w ciemności. Nie widać było ani wody, ani plaży; w oddali błyszczało tylko światełko telefonu komórkowego, znaczące miejsce, gdzie musiała zatrzymać się przybyła parę minut

przed nami Florence i kilkoro ich znajomych. Ufałam jednak, że mój towarzysz zna tę plażę na pamięć. Objął mnie w talii, żebym się nie potknęła, i popchnął do przodu. W końcu usłyszeliśmy ciche pluski i głosy dobiegające z morza, nadal niewidocznego. Zrzuciliśmy ubrania i w samej bieliźnie, ze śmiechem, stawiając ostrożnie kroki, poszliśmy do wody. Morze wydawało się teraz cieplejsze niż w dzień i tak spokojne, że przypominało jezioro. Zanurzyliśmy się po szyję; woda była czarna i śliska. Potem zamarliśmy, objęci, bojąc się ruszyć. W zasięgu ręki mogło kryć się wszystko, ale stojąc tak razem, czuliśmy się bezpieczni.

Wracaliśmy mokrzy i przemarznięci, lecz pod jeszcze większym urokiem tej nocy. A ja miałam wrażenie, że nigdy nie przeżyłam nic tak ekscytującego, szalonego, i zarazem tak dobrego.

— Dobranoc, Mathieu — powiedziałam, kiedy zatrzymał się przy Laurze L., i pocałowałam go w usta. Wypowiadanie jego imienia sprawiało mi szczególną przyjemność, bo nie do końca jeszcze miałam do tego prawo.

— To o dwunastej we Fnacu — szepnął i odwzajemnił pocałunek. — A teraz musisz iść, bo wygląda na to, że twój kuzyn zaraz się na mnie rzuci.

Jest chyba zazdrosny. — Jego francuski był miękki i podniecający, ale w taki sposób, jakby bycie podniecającym należało do najnaturalniejszych, najlepszych rzeczy na świecie.

Obejrzałam się. Brian siedział na rufie i patrzył na nas. Wyglądał na zmęczonego. Pomachałam Mathieu i weszłam na pokład. Fale rozbijały się o burzę; oparłam się o reling i wyciągnęłam z kieszeni papierosa, którego dała mi Florence, oraz jej zapalniczkę. Nie chciało mi się jeszcze wchodzić do środka. A może czekałam na Briana.

Po chwili usłyszałam jego głos.

— A więc tak się zachowują Europejki, gdy tylko się je spuści z oka — mówił cicho, sarkastycznie, jakbym go skrzywdziła.

Nie odwróciłam się, ale kątem oka dostrzegłam, że stanął za mną. Tak blisko, że czułam na plecach jego ciepło.

— To wspaniałe być tak rozwiązłą. — Użył słowa *promiscuous*, które kojarzyło mi się z artykułami z zakresu antropologii kultury. Parę lat temu, czytałam w „National Geographic” o jakichś Indianach, że są *promiscuous*. — Też bym tak chciał — dodał z pretensją.

— O, tak? — powiedziałam tylko.

Obróciłam się przodem do Briana, tak że moje biodra otarły się o jego udo. Był wyższy ode mnie o jakieś trzydzieści centymetrów, nawet odrobinę wyższy od Mathieu. Jego oczy błyszczały nade mną z mieszaniną odrazy i fascynacji. Myślałam, że za chwilę mnie dotknie i wtedy wydarzy się coś dziwnego i złego, od czego nie będzie odwrotu. Ale on stał tylko z wyrazem desperacji i zdziwienia na twarzy, bezwiednym ruchem zaciskając dłonie w pięści. Wydmuchałam dym z papierosa i weszłam do środka. Poczułam, że jeśli zaraz się nie położę, zacznę wymiotować. Głowa mi pękała i nie wiedziałam, czy wstanę, żeby zdążyć na dwunastą. Miałam nadzieję, że w razie czego Mathieu na mnie zaczeka.

Rano ból głowy jeszcze nie przeszedł. Było już dobrze po jedenastej, kiedy zwlokłam się z łóżka, blada i z podkrążonymi oczami. Ubrałam się szybko, zawiązałam na głowie chustkę i wyszłam do salonu. Z nieba lał się już żar, więc ojciec i Karolina pili poranną kawę w środku. Karolina kupiła sobie poprzedniego dnia „Paris Match”, „jak za dawnych czasów”, i przeglądała go teraz chciwie. Na jej twarzy nadal malowało się dziecinne podniecenie, które zobaczyłam po raz pierwszy, kiedy wsiedliśmy do samolotu na Okęciu. Ojciec czytał leniwie „The Economist”.

— Idę przejść się po mieście. Chcę kupić sobie parę książek. Będę wieczorem — oznajmiłam. I dodałam: — To już niedługo — na wypadek, gdyby ojciec miał jakieś wątpliwości. Ostatecznie wciąż słabo go znałam. Po wczorajszej nocy nie sądziłam,

żeby mógł się o mnie niepokoić, ale nie wiedziałam, czy nie jest na przykład staromodny i nie uważa, że moim obowiązkiem jest spędzanie czasu z rodziną. Jeśli tak można było nazwać to, co razem tworzyliśmy.

— Świetnie. To reszta twojego kieszonkowego. Mam nadzieję, że ci wystarczy. — Wyjął portfel i zaczął odliczać banknoty. W końcu zebrał tysiąc euro, wyrównał plik zręcznym ruchem i wręczył mi.

— Co mam z tym zrobić? Nie zamierzam wykupić całej księgarni — powiedziałam.

— Twoja macocha i jej siostrzenica będą dzisiaj odwiedzać sklepy, w których tyle kosztują okulary przeciwsłoneczne — uśmiechnął się, nie zważając, że Karolina siedzi obok. — Naprawdę nie mogę dać ci mniej, żeby nie czuć się głupio. — Patrzył mi w oczy z rozbawieniem, jakby sondował, jak zinterpretuję jego słowa. — Właściwie powinienem dać ci znacznie więcej.

Karolina oderwała się od lektury i zerkała na nas obojętnie. Kątem oka dostrzegłam Verę, która ukazała się na szczycie schodów, zapewne po drodze z kuchni, i zamarła z dzbankiem lemoniady w ręku. Miałam w brzuchu całe stado motylków. Czyżby więc coś jednak do niego dotarło i zamierzał dać

temu wyraz? Już czułam, jak wszystko we mnie otwiera się na niego; byłam gotowa wybaczyć mu od razu, jeśli tylko zrobi jeszcze jeden znak, że mnie rozumie. Ale jego spojrzenie było nieprzeniknione.

Na dworze panował upał, który rósł, w miarę jak oddalałam się od morza i zagłębiałam w miasto. Nicea w lecie była znośna tylko wieczorem. W środku dnia, w pełnym słońcu, można tu było spotkać jedynie miejscowych. Kiedy minęłam uliczkę, przy której znajdowało się mnóstwo kafejek internetowych, byłam jedyną zmierzającą w kierunku przeciwnym niż plaża osobą, którą można było podejrzewać o to, że jest turystką, i świadomość tego wprawiała mnie w dobry nastrój.

Mathieu czekał na parterze, przeglądając czasopisma. Pocałował mnie na powitanie. Jego skóra była chłodna — klimatyzacja pracowała tu pełną parą. Wjechaliśmy ruchomymi schodami na piętro z literaturą — poprzedniego dnia obiecał wtajemniczyć mnie nieco w tak zwane francuskie życie literackie. Nie żeby takie rzeczy specjalnie mnie interesowały, byłam w wieku, kiedy ma się jeszcze do przeczytania ostatnie tomy Dostojewskiego i z pogardą patrzy na współczesną produkcję literacką. Ale dla Mathieu mogłam poszerzyć swoje horyzonty.

Wkrótce pośród śmiechów i przekomarzań wymyśliliśmy metodę oceny, która wydała nam się dziwnie skuteczna: Mathieu wybierał książkę jakiegoś znanego pisarza, a ja czytałam na głos pierwsze zdanie z dziewiątej strony, drugie zdanie z trzy-nastej strony i trzecie z dwudziestej szóstej, i jeśli były interesujące, odkładaliśmy książkę na stos do ponownego przejrzania. Przy okazji wyjaśniał mi słowa, których nie rozumiałam, i opowiadał plotki o autorach. Był całkiem dobrze zorientowany, świetnie znał historię nagród literackich z ostatnich lat i różnych skandali, które im towarzyszyły. Wyjaśnił, że regularnie czyta dwa albo trzy pisma literackie, i radził, żebym robiła to samo. Wprawdzie na co dzień nie lubiłam pism literackich, z tego samego powodu, z jakiego nie czytałam nowości, ale zgodziłam się skwapliwie. Wąchałam książki i ich zapach mnie uwodził; pachniały zupełnie inaczej niż polskie — pachniały obietnicą. Zresztą wszystko, co robiliśmy i o czym mówiliśmy, wydawało mi się wspaniałe i interesujące. A najwspanialsze było to, że na dworze panował upał, najsłynniejsze butikiki świata sprzedawały torebki, które dzięki kieszonkowemu od ojca znalazły się niespodziewanie w zasięgu moich możliwości finansowych, turyści

popijali chłodne wino — podczas gdy ja świetnie się bawiłam w księgarni. Myślałam o Brianie i Mai smażących się na jachcie i czułam się wygrana.

W końcu wybraliśmy kilka książek i poszliśmy do kasy. Byliśmy podekscytowani tą intelektualną zabawą i coraz bardziej oczarowani sobą. Mój francuski poprawiał się z każdą chwilą i już podłapałam piękną intonację Mathieu oraz parę jego powiedzzonek; to także wprawiało mnie w euforię.

Kiedy wyszliśmy na zewnątrz, upał zmiażdżył mnie w jednej chwili. Oparłam się o Mathieu. Pora lunchu dobiegała już niemal końca, a my nic nie jedliśmy. Mathieu zaciągnął mnie do pierwszego bistra, jakie zobaczyliśmy, i prawie nakarmił sałatką, a potem wsadził na skuter. Objęłam jego spoczone plecy i wystawiłam twarz w stronę wiatru, całkowicie pogodzona ze sobą i oddalona o lata świetlne od tego, co działo się na jachcie.

Wybrzeże w tym miejscu schodziło stromo do morza. Nad kilkoma wielkimi skałami rosły rozłożyste pinie. Opały się tu zaledwie trzy lub cztery osoby — znajdowaliśmy się daleko od centrum, za portem, na granicy miasta, w okolicy, gdzie nie było żadnych hoteli, wznosiły się tylko apartamentowce

z widokiem na morze. Na lewo ciągnęły się niezliczone skaliste cyple i zatoczki prowadzące do Cap Ferrat, zamieszkanego przez miliarderów magicznego półwyspu, który Mathieu obiecał mi pokazać z gór nad Niceą. Usiadłam na rozgrzanej skale i patrzyłam, jak zdejmuje koszulę i szykuje się do skoku. Jego ciało było szczupłe i chłopiące. Odbił się i wpadł do morza tak naturalnie, jakby robił to codziennie od urodzenia. Zdjęłam sukienkę i wślizgnęłam się za nim do wody. Była chłodna i przejrzysta, zupełnie inna niż ta, w której kąpaliśmy się poprzedniej nocy. Zanurkowałam i otworzyłam oczy, żeby zobaczyć przed sobą uśmiechniętą twarz Mathieu, który zbliżał się do mnie, wypuszczając z ust bąbelki powietrza.

— Widzisz tę boję? Pływam do niej codziennie od maja do października — powiedział, kiedy się wynurzyliśmy, i wyciągnął rękę w kierunku otwartego morza.

— Nie wiedziałam, że jesteś takim sportowcem. — Miałam chyba na myśli to, że sport kojarzył mi się bardziej z Brianem, z metodycznymi treningami na jakimś amerykańskim kampusie.

— Pochodzę z wybrzeża. Jesteśmy sportowcami wbrew sobie. — Nagle zawahał się i spoważniał,

jakby niepewny, czy powinien mi się zwierzać. — Poza tym wierzę w taki przesąd, że jeśli nie opuszczę ani jednego dnia przez całe lato, to spełni się moje marzenie.

— Jakie marzenie? — spytałam, mrużąc oczy w słońcu, żeby ocenić, jaka odległość może dzielić nas od boi.

— Żeby zostać pisarzem — odpowiedział.

Nie było to mądre, ale w tej chwili wyobraziłam sobie siebie z nim, jak siedzimy w domu Florence w górach nad Niceą, każde ze swoim laptopem, dwudziestoletni, lecz już wszystko wiedzący, a pod wieczór zjeżdżamy skuterem na plażę, żeby popływać. Było to marzenie niemożliwe do spełnienia, a jednak wydało mi się bliskie, jak na wyciągnięcie ręki. Dotąd nie pomyślałam, że chciałabym zostać pisarką, ale teraz uznałam to za oczywiste.

— To pływamy — powiedziałam i ze śmiechem ruszyłam kraulem w kierunku boi. Mathieu wyprzedził mnie i płynęliśmy długo, słysząc tylko własny oddech i plusk wody. Kiedy w końcu dotarliśmy do celu, nie mogłam złapać tchu. Chwycałam się boi; była śliska, jakby tkwiła tu od początku świata i zdążyła pokryć się grubą warstwą niewidocznych morskich stworzeń. Zamknęłam

oczy. To spotkanie było przypadkowe i nie mogło trwać, a jednak było lepsze od wszystkich poważnych spraw, które czekały na mnie na jachcie.

Schodziliśmy z plaży senni i przytłoczeni słońcem, a Nicea już się budziła do wieczornego życia. Na ulicy nad skałami ruch się wzmógł, skutery i samochody pędziły w stronę miasta i z powrotem, wioząc ludzi spieszących się do wspaniałych wieczornych zajęć. Po dniu spędzonym nad morzem gorący zapach spalin uderzył nas i wytrącił z równowagi. Poczulałam, że i mnie udziela się wieczorne podniecenie, typowe dla Południa, będące nagrodą za cały dzień senności i zmęczenia. Mathieu, nagle pełen energii, pociągnął mnie za rękę i krzyknął, żeby zagłuszyć warkot silników, że zaprasza mnie na owoce morza, jakich jeszcze nigdy nie jadłam. Ale mnie coś strzeliło do głowy i zaczęłam go przekonywać, że to ja go zapraszam, że chcę mu podziękować za ten dzień i że nie spodziewałam się, iż okropne wakacje z ojcem mogą przebiegać w ten sposób. Miałam jeszcze mnóstwo pieniędzy i nie wiedziałam, co z nimi zrobić. A poza tym wydało mi się, że wspaniale będzie zapłacić w restauracji na Lazurowym Wybrzeżu za mężczyznę, w dodatku

miejscowego. Być może ubzdurałam sobie, że moja relacja z Mathieu powinna być zupełnie inna, poza przyjętymi zasadami; że powinna przypominać życie Florence. A może uważałam naiwnie, że już wszystko jest inne, że udało mi się wyrwać wreszcie z zaklętego kręgu tego, co działo się na jachcie? Skuter był rozgrzany od słońca i prawie parzył, kiedy na nim usiadłam. Przycisnęłam twarz do pleców Mathieu. Miałam nadzieję, że będzie to droga restauracja i że wypijemy morze wina.

Droga wiodła nad portem, okrążała skałę oddzielającą go od starego miasta, i opadała łagodnie ku morzu. Po prawej stronie minęliśmy hotel Suisse. Tutaj ruch się wyraźnie wzmagał; pod drzwiami podjechała właśnie taksówka i kierowca wyszedł, żeby pomóc parze ulokować walizki w bagażniku. Widocznie nie był to specjalnie elegancki hotel, skoro bagażem nie zajmował się portier czy bagażowy, ale ja pomyślałam przede wszystkim, jakie to okropne — opuszczać teraz Niceę. Powietrze pachniało nagrzaną ziemią i kwitnącymi oleandrami, które rosły gdzieś wzdłuż brzegu. Na jednym z balkonów kręcili się goście z kieliszkami aperitif i zabijali czas przed wyjściem na kolację. Zagłębił się w miasto i Mathieu zatrzymał skuter nie-

daleko sporego ronda, wokół którego rozstawiły swoje stoliki dwie restauracje. Wybrał jedną z nich; nasz stolik znajdował się przy samym krawężniku, tak że czuliśmy na skórze ciepło bijące od rozgrzanych samochodów.

Zamówiliśmy surowe owoce morza i ich galaretowata konsystencja wydała mi się zmysłowa, a nawet obsceniczna. A jednak było w tych żyjątkach też coś bezcielesnego, i owa mieszanina zmysłowości z eterycznością mnie urzekła. Czułam się tak, jakbym jadła morze, i smak ten skojarzył mi się z Mathieu, z jego smukłym ciałem, które obejmowałam poprzedniej nocy, oraz z chłodem jego karku, kiedy wracaliśmy potem skuterem do portu. I skojarzył mi się z Florence — z okrutną, lecz zarazem szczerą naturalnością, z jaką traktowała cierpienie. Do tego doszły wino, którego wypiliśmy sporo, piękna francuszczyzna Mathieu oraz nieustanny warkot silników, i w efekcie poczułam, że jestem na skraju podjęcia jakiejś wielkiej decyzji, która zmieni moje życie. Wszystko to było chłodne, odważne i słuszne, jakbyśmy znajdowali się o lata świetlne od brudu i zła czyhających w dole, na jachcie.

Od paru sekund miałam jednak niepokojące uczucie, że nie jesteśmy sami. Poza zasięgiem mo-

jego wzroku, po drugiej stronie ronda, coś się działo — coś, co nagle mnie przygnębiło. Poczułam cichy żal, jakby ktoś miał zaraz znowu zamknąć mnie w więzieniu, z którego dopiero co się uwolniłam. I jakbym wiedziała, że nie będę miała siły się temu przeciwstawić.

W końcu zobaczyłam ich kątem oka, jak wyławiają się zza palm rosnących pośrodku ronda. Byli wystrojeni jak na uroczystą kolację. Maja miała na sobie ciemnozieloną sukienkę z głębokim dekoltem. Biust, podniesiony stanikiem *push-up*, prezentował się okazale. Raz po raz odgarniała włosy jednym ze swoich słodkich gestów, mających na celu zachwyć świat jej osobą, i skręcała je w węzeł, który za parę sekund i tak się rozsypywał. W porównaniu ze mną wyglądała jak gwiazda.

Po chwili zdałam sobie sprawę, że Brian już mnie widzi. Przystanął, jakby się nad czymś zastanawiał, po czym nachylił się do ucha Mai i mówił coś szeptem, nie patrząc w naszą stronę. Ruszyli. W tej chwili Mathieu wziął mnie za rękę, a ja nie cofnęłam jej — ale moja radość minęła.

— Nie widziałaś jeszcze mojego mieszkania — powiedział miękko. — Musimy to nadrobić, zanim wypłyniecie w morze. — Bawił się moją dłonią. Jego palce były długie i bezwstydne. — A może

nie wypłyniecie? — zapytał z nadzieją, patrząc mi w oczy. — Będzie mi smutno — dodał. Jeszcze przed chwilą uśmiechnęłabym się i obiecała, że nie popłynę, że zostanę z nim. Ale teraz miałam tylko ochotę się rozplakać. Było mi tak okropnie żal jego dłoni, czy raczej żal siebie, że nie poznam ich pieśczoł.

— Mhm — bąknęłam. Czułam na sobie spojrzenie Briana, które mnie paraliżowało.

— A ty? — pytał dalej Mathieu. Jego głos był ciepły i ochryply.

— Ja też — powiedziałam ponuro. Była to prawda, głębsza i smutniejsza, niż mógł sobie wyobrazić.

— To co powiesz na wizytę u mnie? — nie dawał za wygraną. Poczułam, jak dotyka kolanem mojej nogi. Jeszcze próbowałam wyobrazić sobie jakieś małe mieszkanko z widokiem na zatokę, ze stosem książek na podłodze i wielkim łóżkiem. Dwie minuty temu było to w zasięgu moich możliwości, dwie minuty temu byłam szczęśliwa. Teraz pozostało tylko wspomnienie szczęścia.

Odruchowo wypięłam cały kieliszek wina, już któryś z kolei tego wieczoru, i poczułam, że zaczyna mi się kręcić w głowie.

— Tak — powiedziałam. — Oczywiście.

Stolik obok nas dopiero co się zwolnił. Widziałam kątem oka, że ktoś do niego podchodzi i siada,

i czułam, jak ta nowa obecność kładzie się cieniem na moich wakacjach. Po chwili usłyszałam nad sobą słodki głos Mai.

— Marta! Jaka niespodzianka! — mówiła po polsku. — Własne zastanawiałismy się s Brian, co teras robysz.

Zauważyłam, że nie powiedziała: „robicie”; ona także nie akceptowała mojej znajomości z Mathieu. Spojrzała na niego z niechęcią.

— Tak się cieszę, że cze wydzem i że nyc czy sze nje stało! — powiedziała, pochylając się nade mną.

Brian zmierzył Mathieu spojrzeniem pełnym pogardy. Znow miał na sobie długie spodnie, ustępstwo na rzecz europejskości. Do tego założył jednak granatowy T-shirt z logo college’u w Michigan, jego Alma Mater, gdzie, jak sądziłam, zajmował się głównie grą w futbol i leżeniem na trawie w towarzystwie pięknych siatkarek. Z pewnością potrzebował symboli Ameryki, żeby czuć się tutaj sobą, i to połączenie arogancji z niepewnością wydało mi się zarazem niedojrzałe i pociągające.

Chwyciłam Mathieu za rękę i słuchałam z uśmiechem, jak namawia Maję i Briana na surowe owoce morza. Oni jednak kręcili głowami z wyrazem obrzydzenia na twarzach i w końcu zamówili steki

z tuńczyka, zażądawszy, by zostały wysmażone jak podeszwy. Kelner obrzucił ich lekceważącym spojrzeniem. Uśmiechnęłam się porozumiewawczo do Mathieu, choć wcale nie było mi do śmiechu.

— Surowe ślimaki. To obrzydliwe — powiedział Brian.

— Obrzydliwe jest najbardziej sexy. Dobrze to wiesz — powiedziałam i poczułam, że się rumienię. Maja patrzyła na mnie ze zdziwieniem, ale w oczach Briana było coś jeszcze, zły blask radości, od której moje nogi zrobiły się jak z waty. Zerwałam się i pobiegłam do łazienki.

Oplukałam twarz zimną wodą. Z brudnego lustra patrzyły na mnie duże, błyszczące oczy, pełne przerażonej uległości. Takie oczy, jakie podobają się mężczyznom. Pomyślałam, że powinnam teraz uciec albo zostać w tej obskurnej łazience, albo też zrobić cokolwiek, by już ich dzisiaj nie widzieć — a w szczególności Briana. Wiedziałam, że jeśli go zobaczę, nie będę miała wpływu na to, co się wydarzy. A jednak wbrew szczęściu i wbrew sobie chciałam, żeby się wydarzyło.

W drodze powrotnej do stolika już dobrze kręciło mi się w głowie. Mathieu złapał mnie za rękę i posadził sobie na kolanach.

— Poczekaj chwilę. Nie wstawaj — szepnął i pogładził mnie po udzie.

Spod przymkniętych powiek dostrzegłam, że Brian i Maja zerkają na siebie znacząco.

— Bardzo miło było się z wami poznać, ale na nas już czas — oznajmił Mathieu swoją uroczą francuską angielszczyzną.

— Gdzie zamierzacie teraz iść? — spytał Brian ostro, nieprzyjemnie, patrząc na Maję, jakby realizował jej plan.

— Pojedziemy jeszcze na spacer nad morze, co, Marta? — Głos Mathieu był miękki i szczery. — A potem odwiozę Martę do portu. Nie martw się, twoja kuzynka jest ze mną bezpieczna. — Uśmiechnął się do Briana. Najwyraźniej wciąż nie zdawał sobie sprawy z tego, co się dzieje pod powierzchnią naszych słów.

— Nie ma mowy — odezwała się Maja stanowczo. — Marta nie wsiądzie w tym stanie na żaden skuter. I nie będzie chodzić z tobą na nocne spacery. To niezbyt eleganckie z twojej strony doprowadzać ją do... do upicia. — Była tak miła, że nawet to niewinne słowo z trudem przechodziło jej przez gardło. — Ona nie ma jeszcze dwudziestu jeden lat — w jej głosie wibrowało oburzenie.

— W Europie można pić od osiemnastu... — sprostowałam, próbując wstać z kolan Mathieu, ale nikt mnie nie słuchał.

— Kochanie, musisz ją zabrać na jacht — powiedziała Maja cicho, pewnie, nie zwracając najmniejszej uwagi na Mathieu i na mnie. — Mariusz i Karolina już powinni tam być. Ja tu poczekam na nasze dania.

Mathieu nie do końca zrozumiał i spojrzał na mnie pytająco, ale odwróciłam wzrok; byłam bezradna i wstydziłam się. A poza tym, czy nie tego właśnie chciałam — żeby wspaniały plan na tę noc, i może na jeszcze wiele innych dni i nocy, runął i został tylko ten cichy żal, który mnie teraz przepęłniał i czynił otwartą na zło mające się wydarzyć?

Brian wstał, chwycił mnie za rękę i ściągnął z kolan Mathieu. Ten podniósł się, żeby zaprotestować, ale chyba nie wyczytał w moich oczach zachęty, bo nie zareagował i tylko patrzył na nas ze zdziwieniem i wyrzutem. Odwróciłam głowę, żeby go nie widzieć. Brian ciągnął mnie za sobą tak szybko, że zaraz znaleźliśmy się za rogiem ulicy. Chciałam się opierać chociaż dla zasady, ale jedyne, co przychodziło mi do głowy, to obietnica złożona Mathieu, że zapłacę. Zaczęłam tłumaczyć to bełkotliwie Brianowi, ten jednak zdawał się oburzony.

— Chyba żartujesz? Ci Europejczycy są nieobliczalni — powiedział z pogardą i satysfakcją w głosie. — Zapłacić za niego! Niewiarygodne! — mruzczał do siebie, ciągnąc mnie ulicą w stronę morza.

Zrobiło mi się okropnie żal Mathieu i niesprawiedliwego osądu ze strony Amerykanów. Mathieu był delikatny i dobry; nawet jeśli chciał spędzić ze mną noc, to nie należało widzieć w tym nic naganego. Przeciwnie, cała ta scena oburzenia ze strony Mai i interwencja Briana były do gruntu, nieznośnie fałszywe. Czułam, jak ogarnia mnie smutek. Próbowalam przypomnieć sobie swoje myśli od chwili, kiedy zobaczyłam Maję i Briana po drugiej stronie ronda, ten tok rozumowania — czy raczej strumień uczuć — który przywiódł mnie do samotnego spaceru z tym aroganckim Amerykaninem, ale natrafiałam na pustkę; poza tym strasznie kręciło mi się w głowie.

Usiadłam na krawężniku. W bramie obok jakaś dziewczyna pochyliła się, żeby pogłaskać szarego kota; widok ten przypomniiał mi małą Alisę, ufną i bezbronną u progu cierpienia, z którego zapewne nigdy się nie otrząśnie, i poczułam, że zaraz się rozpłaczę.

— Co ci jest? — spytał Brian szorstko i usiadł obok mnie. — Ale się upiłaś. — Włożył ręce do kie-

szeni. Nie spojrzał na mnie. Jego głos był ostry, tak obcy wobec żalu, który czułam, że znowu zanio-
słam się płaczem. — Twój ojciec będzie wściekły. W Ameryce odebrali ci za to prawo jazdy — dodał bez sensu. Być może sam się teraz zastanawiał, o co mu chodzi i po co marnuje sobie wieczór z mojego powodu. I zarazem po co mnie marnuje wieczór. Bo przecież troska nie miała tu nic do rzeczy.

— Nie jestem w Ameryce, nie mam prawa jazdy i nie złapano mnie pijanej za kierownicą, a mój ojciec dał mi tysiąc euro, żebym zrobiła z nimi, co chcę, tylko wy postanowiliście mi to popsuć — wyszlochałam. Czułam się skrzywdzona i nienawidziłam go. — Uważacie, że tylko wam wolno się pieprzyć? — krzyknęłam i schowałam głowę w ramionach. Ta noc zdecydowanie nie była taka, jakiej się spodziewałam, nie była dobra i szczęśliwa, miała jednak inny, zły urok. — Ty i twoja cnotliwa idiotka Maja, która ubiera się jak kurwa, ale wszyscy inni jej zdaniem zachowują się tak strasznie szokująco — dodałam, naśladowując ton słodkiej amerykańskiej pani domu z przedmieść.

Brian wstał i nic nie powiedział. Zastanawiałam się, czy żałuje, że mnie stamtąd zabrał, i czy przypadkiem nie odprowadzi mnie z powrotem. Mógł

uznać, że jego męska przewaga nad Mathieu została dowiedziona wystarczająco dobitnie i że szkoda wieczoru na spacer z pijaczką. Właśnie tego życzyłam sobie minutę temu, a jednak, gdyby odszedł, czułabym się rozczarowana.

— Nic mnie nie obchodzi twoja moralność — powiedział chłodno.

Ruszyłam przed siebie, obrażona, ale z uczuciem ulgi. Słyszałam, że idzie za mną, niechętny i milczący, ale powodowany tą samą złą siłą, która i mnie kazała z nim zostać. Podniecenie, które ogarnęło mnie w restauracji, wracało, choć podszyte smutkiem. Nienawidziłam się za to uczucie, było tanie i nie mogło przynieść mi nic dobrego. A jednak tej gorącej nocy tak trudno było mu się oprzeć.

Po chwili zobaczyłam przed sobą skwer, na którym rósł wielki platan. Weszłam na trawę i oparłam się plecami o jego pień. Brian podszedł do mnie na wyciągnięcie ręki. Patrzył zaabsorbowany na coś, co znajdowało się za mną. Zamknęłam oczy. Moje ciało było ciężkie i czekało na jakiś gest z jego strony.

Tuż obok nas rozległ się warkot silników. Widocznie właśnie zmieniły się światła i samochody i skutery ruszyły z rykiem silników przez skrzyżowanie, a ja czułam się tak, jakby przejeżdżały przeze

mnie; było w tym coś z brutalnej pieśczoły, na którą czekałam. A potem Brian pochylił się nade mną.

— Poczekaj pięć minut. Jeśli gdzieś pójdziesz, to cię zabiję — powiedział.

Obcesowość w jego głosie wydała mi się całkowicie naturalna. Nasza znajomość od początku była przecież pełna przemocy i złości i widziałam, jak miła amerykańska natura Briana poddaje się tym uczuciom z fascynacją. Być może uważał je nawet za coś w rodzaju dalszego ciągu swojego europejskiego doświadczenia — i w związku z tym liczył, że jeśli raz pozna ich smak, więcej nie będą mu potrzebne. Wyglądał na jednego z tych słodkich, zadufanych w sobie chłopców, którzy biorą na imprezie narkotyki po to, żeby „mieć to z głowy”. Właśnie tak traktował Europę, i być może także mnie.

Usiadłam na trawie i spuściłam głowę, wsłuchując się w rytm samochodów. Co dwie minuty zrywały się z rykiem ze skrzyżowania i pędziły przeze mnie w szaloną, upalną noc. W końcu Brian wrócił, wyciągnął rękę, by pomóc mi wstać, po czym szybko ją cofnął. Był to nasz jedyny fizyczny kontakt od chwili, kiedy opuściliśmy Maję i Mathieu; najwyraźniej nie chciał mnie dotknąć, a może tylko nie chciał, żeby ktokolwiek to widział. Szedł teraz

dwa kroki przede mną. W końcu zobaczyłam białe drzwi i zdałam sobie sprawę, że jesteśmy przed wejściem do hotelu. Brian wszedł po schodkach i po chwili znaleźliśmy się w ciepłym, jasnym korytarzu, który kończył się czymś w rodzaju westybulu, pomalowanego na kolor moreli. Po prawej stronie znajdował się kontuar, za którym stała recepcjonistka o kreolskich rysach. Byłam skrupowana; Brian musiał czuć się podobnie, bo nawet nie spojrzał jej w oczy, tylko wziął pospiesznie klucz, który już czekał na kontuarze, i szybko schował go do kieszeni — jakby zniknięcie tego rekwizytu z pola widzenia mogło osłabić wymowę faktu, że znaleźliśmy się tu razem.

— Miałaś szczęście, że jacyś Rosjanie właśnie anulowali rezerwację — powiedział, wspinając się po wąskich schodach. Cały czas zachowywał się oschle i nieszczerze. Było to denerwujące, ale podobało mi się.

— Naprawdę? To ja miałam szczęście? — roześmiałam się szyderczo.

Nic nie odpowiedział i szedł dalej, nie patrząc na mnie. Po chwili znaleźliśmy się przed drzwiami pokoju na drugim piętrze. Brian wyjął klucz z kieszeni.

— Z pewnością przyprowadziłeś mnie tu z troski o moją reputację, bo uważasz, że Mariusz nie może mnie zobaczyć w takim stanie? — dodałam.

Brian otworzył drzwi i wpuścił mnie przodem. Nie było jednak w tym goście żadnej szarmanckości, tylko siła. Chciał, żebym weszła i wreszcie się zamknęła.

Pokój urządzone w pastelach, jakie widzieliśmy już w recepcji. Tworzyły atmosferę przesłodzonej przytulności. Przeszłam obok wielkiego łóżka nakrytego liliową narzutą, zrzucając po drodze klapki, i stanęłam przy oknie. Rozpościerał się stąd wspaniały widok na ruchliwą Promenadę Anglików, a dalej na palmy i na morze, które rozbijało się o skały kilkanaście metrów od drzwi hotelu. Spienione fale błyszczały w świetle latarni, jakby wycięto je z ogromu morza, by mogły wziąć udział w tym ludzkim spektaklu.

Usłyszałam skrzypienie podłogi pod wykładziną i poczułam, że Brian obejmuje mnie od tyłu. Jedną rękę położył na moim brzuchu, drugą na piersiach — ta jego nagle bezpośredniość na tle niedawnej powściągliwości rozśmieszyła mnie.

— Przyprowadziłem cię tu, żebyś nie miała do mnie pretensji o zmarnowaną noc — powiedział.

Chciałam odwrócić się do niego, ale pocałował mnie w kark i przytrzymał w tej pozycji: zwróconą do niego plecami, a twarzą do zatoki. Rozwiązał górę od bikini i położył dłonie na moich piersiach. Z pewnością z Mathieu byłoby zupełnie inaczej. Z Mathieu rozmawialibyśmy najpierw długo, być może zaśpiewałby mi nawet jakąś francuską piosenkę o miłości. Oczarowałby nas widok na morze i całowalibyśmy się godzinami, patrząc na strzelające w górę fale. Szeptalibyśmy sobie czułe słówka i do pewnego stopnia bylibyśmy szczerzy. Ale kiedy chwilę potem poczułam, jak dłonie Briana zjeżdżają poniżej mojego brzucha, wiedziałam, że tak naprawdę wcale nie chciałam spędzić tej nocy z Mathieu i że dziwny stan radosnego podniecenia zaczął się znacznie wcześniej niż poprzedniego wieczoru; zaczął się w tej godzinie na hamaku, kiedy poznałam Briana.

Sukienka wylądowała na ziemi, a potem usłyszałam, że mój kochanek zdejmuje koszulę i rozpina spodnie. Ciekawa byłam, jak wygląda nago i jaki ma teraz wyraz twarzy — czy do zaciekawienia i złości, z którymi się do mnie odnosił, doszła może czułość. Ale nie odważyłam się odwrócić. Ta chwila, kiedy patrzyłam na zatokę, a on stał za mną i nie widzieliśmy swoich twarzy, miała w sobie zbyt dużo złego uroku, żebym ośmieliła się ją popsuć. Poczułam na

pośladkach jego nagi członek i za chwilę usłyszałam szelest przedzieranego opakowania prezerwatywy. Przy ścianie stała szafka nocna; zobaczyłam, że przysuwa ją do okna, tak żebym mogła się o nią oprzeć.

— Seks i zwiedzanie w jednym — powiedział głosem, który miał być chłodny i dowcipny zarazem, i przesunął na bok moje majtki.

Nigdy jeszcze nie uprawiałam seksu w tej pozycji, chociaż moje doświadczenia erotyczne nie były aż tak skromne. Miałam dotąd trzech chłopaków, wszystkich kochałam i każde rozstanie kosztowało mnie sporo cierpienia. A jednak forma, jaką wybrał Brian, zdziwiła mnie. Rozumiałam, dlaczego to robi — chciał, żeby nasz seks był możliwie bezosobowy i pozbawiony uczuć, żeby był wyłącznie seksem. Dzięki temu mógł uniknąć poczucia winy. A poza tym podobało mu się to europejskie zepsucie. Tak, przypuszczałam, że w głębi amerykańskiej duszy musi istnieć takie pojęcie jak europejskie zepsucie. Z Mają na pewno tak się nie kochał — Mai patrzył głęboko w oczy — ale ja reprezentowałam dla niego Europę i dlatego ze mną nie było to konieczne.

Dopiero pod sam koniec położyliśmy się na łóżku. Ciało Briana było zupełnie inne niż ciało

Mathieu — piękne, bardziej męskie, ale wydało mi się sztuczne; dostrzegałam na nim wysiłek setek godzin spędzonych na siłowni. Pomyślałam o tym i ogarnął mnie smutek, któremu towarzyszyła jednak rozkosz, bo akurat mieliśmy orgazm.

Został we mnie jeszcze parę minut. Było tak, jakby ktoś uderzył w cymbałki i dźwięk gasł długo, rozlewając się po naszych ciałach. Potem Brian przewrócił się na plecy obok mnie i zamknął oczy.

Zaczęłam cicho płakać. Płakałam z rozkoszy i dlatego, że tak przyjemne i straszne rzeczy czekały mnie jeszcze w życiu. Płakałam za Mathieu i za utraconą miłością — bo cała słodycz i czystość tamtej zaczynającej się relacji została ostatecznie zaprzepaszczona. A także dlatego, że był to mój pierwszy seks bez uczuć, w dodatku z chłopakiem, który miał dziewczynę. Ale przede wszystkim płakałam, bo właśnie coś się we mnie zmieniło i odtąd już nigdy nie miałam być tą samą dziewczyną — tą, którą skrzywdzono. Miałam być tą, która sama także potrafi krzywdzić.

— Coś się stało? — spytał Brian, wyraźnie rozdrażniony. Pomyślałam, że jest taki sam jak wszyscy mężczyźni: już żałuje tego, co właśnie zrobiliśmy. A może wydało mu się, że to ja jestem taka jak inne dziewczyny: czuła i podatna na zranienie, a przez

to znacznie mniej zepsuta, niż sądził — i poczuł się nagle rozczarowany?

— Świat istnieje tylko dzięki temu, że zawsze jest za późno, by się cofać — roześmiałam się. — Gombrowicz. — Umyślnie nie wyjaśniłam kto to. — Dobrze, nie uważasz? — Uśmiechałam się dalej, jakby do swoich głębokich myśli, którymi nie chciało mi się z nim dzielić.

Nie skomentował. Wiedziałam jednak, że jego rozdrażnienie minęło.

— Jesteś wariatką — odezwał się w końcu z niechęcią, ale była w tym zapowiedź przyszłości, na którą już wzbierała w nim ochota.

Pół godziny później stanęliśmy przy jachcie. Alkohol całkowicie wywietrzał mi z głowy i ciekawa byłam, czy Maja już wróciła, czy została z Mathieu, i jak Brian wytłumaczy się przed nią z tak długiej nieobecności. Oczywiście zamierzałam pójść mu na rękę i w razie czego potwierdzić na przykład, że cały ten czas leżałam w trawie i wymiotowałam.

Maja siedziała z moim ojcem i Karoliną na tarasie. Na nasz widok jej twarz rozjaśniła się.

— Jak dobrze, że jesteście, już myślałam, że coś wam się stało — powiedziała, przytulając mnie. — Jak się czujesz? — spytała i przez chwilę sądziłam, że

pyta o to, jak się czuję po seksie z jej chłopakiem. — Nie martw się, powiedziałam im, że zatrulaś się kolacją. Z owocami morza nigdy nic nie wiadomo. Zwłaszcza z surowymi. W ogóle nie wiem, jak można jeść to świństwo — szeptała, głaszcząc mnie po głowie jak dziecko. — Wiesz, ja też nie najlepiej się czuję. Będę miała okres, boli mnie brzuch. — To nagłe intymne wyznanie miało podtrzymać mnie na duchu.

Ogarnęło mnie poczucie winy. Odsunęłam się i usiadłam na ławce.

— Mieliśmy małe trudności. Ale twoja kuzynka już czuje się lepiej — oznajmił Brian dyplomatycznie, dając do zrozumienia, że zamyka temat. Podziwiałam jego opanowanie. Z pewnością wszyscy wyjaśnią sobie ową lakoniczność tym, że nie chce mnie kompromitować. Gdyby zaczął zmyślać jakieś szczegóły, mógłby wzbudzić podejrzenia. Choć kto by śmiał podejrzewać, że coś mogło połączyć takie brzydkie kaczątko z chłopakiem, który spotyka się z Mają?

Nagle poczułam na sobie wzrok ojca, pytający i sarkastyczny.

Odwróciłam się, żeby nie mógł mnie przejrzeć na wylot. A może już to zrobił?

Następnego dnia obudził mnie warkot silników. W telefonie czekał SMS od Mathieu z jednym znakiem: „?”. Ale nie miałam odwagi odpowiedzieć. Kiedy podniosłam głowę i wyjrzałam przez okno, zobaczyłam wodę rozcinaną przez dziób jachtu. W samej piźamie wybiegłam na pokład, żeby patrzeć, jak Nicea znika za nami z prędkością pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Oddalając się od brzegu, zarazem zakręcaliśmy w kierunku centrum miasta i niebawem minęliśmy punkt, w którym wybrzeże wrzyna się w morze cyplem i gdzie przylepiony do skały stoi hotel Suisse. Z daleka widziałam łososiową plamę jego fasady i wyblakłą zielen palm, na które patrzyłam wczorajszego wieczoru przez okno pokoju. Po chwili wszystko znikło, zlewając się z linią brzegową. Przymknęłam oczy i odwróciłam się w stronę morza. Choć słońce było już na niebie

od paru godzin, upał wydawał się do zniesienia. Wiatr niósł krople chłodnej wody. Czy można było zapomnieć o tym, co stało się wczoraj, zostawić to za sobą, tak jak hotel Suisse i Niceę, zrzucić na karb pijaństwa i dramatycznej pomyłki? Bo przecież nie tak miała się zakończyć ta doba w Nicei i nie z tym, z kim się zakończyła. Poczułam, jak ogarnia mnie żal do nich wszystkich — żal o to, że nie pozwolili mi po prostu spędzić szalonej i niewinnej nocy z Mathieu. Że w zamian rzucili mnie w ramiona tego plastikowego Amerykanina, kapitana drużyny futbolowej, niewiernego chłopaka Mai. Nie żywiłam do niej żadnej sympatii, a jednak nie byłam zadowolona z tego, co się stało. Owszem, uważałam się za winną, ale uczucie, które mną teraz wstrząsało, było przede wszystkim złością, złością na nich. Jakby to, co się wydarzyło z mojej winy, nie miało nic wspólnego ze mną. Jakby zrobiono to za mnie, a nawet jakby zrobiono to mnie.

W tej chwili usłyszałam za sobą głos ojca.

— Wielu ludzi pyta, kiedy zaczęły się moje sukcesy — zaczął pompatycznie. — Otóż wtedy, kiedy nauczyłem się niczego nie żałować — zakończył i wciągnął ślinę w ten swój obrzydliwy sposób. Potem poklepał mnie po ramieniu.

Odwrociłam się do niego. Miałam wrażenie, że chce coś jeszcze powiedzieć, jakby zamierzał dać mi do zrozumienia, że wie o mnie wszystko. A może oczekiwał, że zacznę mu się zwierzać?

Uśmiechał się prawie ciepło i jego policzki błyszczwały świeżo w porannym słońcu. Przypominał dresiarza, który wyszedł rano na siłownię.

To było kuszące. Powiedzieć mu wszystko, albo nawet nic nie mówić, tylko objąć go i pozwolić, żeby znalazł dla mnie jakieś usprawiedliwienie. Z pewnością był w tym dobry. A nawet więcej — umiał tak żyć, żeby w ogóle nie musiał szukać usprawiedliwienia. Przypuszczałam, że potrafiłby nauczyć mnie tego samego. I kto wie, może miałby rację? Może trzeba było podejść do całej sprawy lekko i niczego nie żałować, i w ogóle za każdym razem mieć całkowite przekonanie o słuszności własnych czynów? Oparł się o reling obok mnie, a wtedy, wiedziona nagłym impulsem, dotknęłam jego ramienia.

Z bliska widziałam na jego karku różowe ślady pierwszej opalenizny. Widocznie Karolina nie dopilnowała, żeby posmarował się kremem z filtrem. Zerkał na mnie i uśmiechał się. Przypominał tłustego bożka. Upał przytłaczał mnie i pozbawiał sił, których mój ojciec miał tak wiele. Mógł się nimi ze mną

podzielić — ostatecznie miałam tylko dwadzieścia lat i należało mi się jakieś pocieszenie.

Kiedy zeszliśmy na dolny dek, panował tam już radosny nastrój podniecenia rozpoczynającą się przygodą. Karolina z Mają studiowały mapy morskie i planowały postój na kąpiel u wybrzeża Korsyki. Brian się do mnie nie odzywał, ale nie widziałam w nim też wrogości. Być może zrzucił nasz wczorajszy wybryk na karb pijaństwa i postanowił więcej o nim nie myśleć. Poprosiłam Verę o mrożoną kawę i położyłam się na dziobie z książką. Neil właśnie rozkoszował się tym, jak bardzo został skrzywdzony przez Brendę — choć jasne było, że to on ją krzywdzi. Z przyjemnością zanurzyłam się w ich okrutnym świecie, zapominając na chwilę o naszym. Niebo nad nami było jasne i bezchmurne.

Dopiero w południe zeszłam do salonu, żeby zobaczyć, co robi reszta towarzystwa. Siedzieli przy stole w zadaszonej części deku i pili aperitify. Brian mówił coś o wakacjach w Meksyku i już chciałam do nich dołączyć, kiedy usłyszałam, że ojciec pyta Maję:

— A pamiętasz jeszcze, jak jeździliśmy razem nad morze?

Cofnęłam się, aby mnie nie widzieli. Nie wiedziałam nic albo prawie nic o ich wspólnej przeszłości i podejrzewałam, że przy mnie nie będą szczerzy.

— No pewnie. To były dla mnie najpiękniejsze wakacje. Często je wspominam. — Siedziała bokiem do mnie, w pełnym słońcu mogłam podziwiać jej piękny profil. — Te wakacje zawsze kojarzyły mi się ze szczęściem. Z domem — dodała cicho, znacząco, odgarniając włosy z twarzy. W geście tym była kompulsywność, jakby to niewinne wspomnienie obudziło w niej nagłe emocje, dla których musiała znaleźć inne ujście. — Z rodzicami jeździliśmy do Hamptons, ale tym, co naprawdę kochałam, były wakacje w Juracie. — Zdjęła okulary przeciwsłoneczne i bawiła się oprawkami. Wyglądała jak modelka z wakacyjnego wydania jednego z tych pism, które czytywała wraz z Karoliną. — Kiedy będę miała swoją rodzinę, chciałabym zabierać tam dzieci. — Wyciągnęła rękę i ścisnęła znacząco ramię Briana.

— Byłaś słodką dziewczynką — powiedziała Karolina. — Wesołą i dobrą. — W jej głosie usłyszałam czułość i nostalgię. — Uważaliśmy, że jesteś jak aniołek. — Widziałam tylko jej plecy w białej tunice plażowej, ale ton głosu sprawiał, że wydawała się teraz sympatyczna.

— Wiele się nie zmieniło — dodał ojciec. Jego głos także brzmiał dziwnie normalnie. Ktoś, kto go nie znał, mógłby uznać, że to bardzo miły pan. A może byłoby w tym trochę prawdy? Przyszło mi do głowy, że właściwie nie wiem, jaki jest wobec innych — może właśnie taki, zupełnie zwyczajny? Może ta cała diaboliczność pojawiała się tylko w mojej obecności? Byłam nie tylko niepasującym dodatkiem, lecz dodatkiem, który wszystko psuje? Nie tylko atmosferę tych rodzinnych wakacji, ale też ich jako ludzi?

Niedaleko nas przepływał inny jacht motorowy i obie załogi zaczęły sobie machać, a ojciec nawet wstał i zdjął swoją białą czapkę z daszkiem. Wszyscy byli rozpromienieni, beztroscy, pogrążeni w tych wakacjach, jakby zaczęli je wiele lat temu i od tego czasu nie robili nic innego, tylko kołysali się na jachcie i wpatrywali w refleksy słońca na falach. Rola bogatych turystów zwiedzających Lazurowe Wybrzeże była napisana dla nich.

— Strasznie mnie rozpieszczaliście. Dlatego tak bardzo lubiłam te wakacje — podjęła Maja, kiedy ten drugi jacht zaczął się oddalać. — W Polsce nie było wiele w porównaniu z Ameryką, ale z tego „niewiele” mogłam mieć wszystko — powiedziała

z uśmiechem. A moje serce ścisnęło się do rozmiarów orzecha. — Moi rodzice nigdy nie poświęcali mi tyle czasu — w jej głosie brzmiał lekki, niemal niezauważalny smutek. Zaraz jednak znikł i Maja dokończyła wesoło i nostalgicznie: — Pamiętam, że kiedyś zbieraliśmy muszelki i robiliśmy z nich kora-
le. W każdej muszelce trzeba było wydłubać dziurę końcem nożyczek, to zajmowało całe godziny! Moi rodzice nigdy by sobie na to nie pozwolili.

— Mam ten naszyjnik do dzisiaj — wtrąciła cicho Karolina.

— Wiesz, że Karolina i Mariusz pewnego dnia zapytali moich rodziców, czy nie zostawiliby mnie na rok w Polsce? — przypomniała sobie nagle Maja, zwracając się do Briana. — Karolina zaczęła nawet załatwiać mi amerykańską szkołę w Konstancinie, prawda, ciociu? W końcu nic z tego nie wyszło, ale było to takie miłe — powiedziała: *so nice, it was so nice*, i płaskość tego stwierdzenia, charakterystyczna dla Mai i w ogóle dla całej tej amerykańskiej kultury, którą reprezentowali oboje z Brianem, dotknęła mnie najbardziej. — Miałam ochotę z wami zostać — dodała z uśmiechem.

— Tak, nudziłam się — wyznała Karolina żartobliwie, ale pod tym kryła się prawdziwa tkliwość. —

Myślałam, że przyjemnie by było mieć przez rok córkę.

Stałam oparta o framugę, całkowicie pozbawiona energii. Ta chwila, w której oni mnie nie widzieli, ale ja miałam ich jak na dłoni, pełna była smutku i ponurej magii. Tak, wydawali się teraz zupełnie zwyczajni, poczciwi i niegroźni, tacy, jacy być może byli dla innych ludzi. Prawie żałowałam, że musiałam się tu pojawić i zakłócić ich wakacje. Bo wystarczy, że zrobię krok i wejdę w ich pole widzenia, a cała ta słodka scena rodzinna zostanie skompromitowana, oni zaś z łagodnych i kochających wujka i cioci staną się mniej lub bardziej krwiożerczymi potworami. Przez chwilę chciałam nawet odwrócić się i odejść, zaszyć się w kajucie i zniknąć po to, by nie psuć harmonii świata. Ale wtedy usłyszałam nad uchem roześmiany głos Very:

— Dlaczego nie siadasz przy stole? Trochę rosé przed obiadem jeszcze nikomu nie zaszkodziło! — stała nade mną z tacą, na której balansowały schłodzone butelki wina i wody Perrier.

Wszyscy spojrzeli w naszą stronę. Ruszyłam z uśmiechem, który musiał wyglądać żałośnie, i dołączyłam do towarzystwa. Ojciec siedział odchyłony do tyłu, z kieliszkiem rosé w ręku, w okularach

słonecznych, i uśmiechał się. Tkliwość znikła z jego twarzy i zagościło na niej tylko zwykłe zadowolenie z siebie.

Po obiedzie dostrzegliśmy na horyzoncie północne wybrzeże Korsyki. Zbliżała się powoli, zielono-błękitno-szara, spowita mgłą, tajemnicza. Kapitan powiedział, że ta część wybrzeża jest prawie niezamieszkana, pełna skał tak stromych, że tylko gdzieś tam gdzieś zbudowano pojedyncze rezydencje, a do niektórych plaż można się dostać wyłącznie od strony morza. Mniej więcej po godzinie wpłynęliśmy do jednej z takich zatoczek i rzuciliśmy kotwicę. Nieopodal cumowały już trzy inne jachty. Zeszliśmy do pontonu i pozwoliliśmy stewardowi zawieźć się na brzeg. Ojciec oznajmił, że zostaje, by się przebrać, co Karolina skwitowała cierpkim uśmiechem. Vera także miała jakieś obowiązki na jachcie.

Była to niewielka plaża, zamknięta po obu stronach wchodzącymi ostro w morze skalnymi cyplami. Pokrywał ją szary żwirek, który nie wyglądał zbyt zachęcająco. Gdzieś tam wystawały spore głazy. Krajobraz nie miał nic wspólnego z sielankowymi reklamami biur podróży. Dobiliśmy do brzegu i wyskoczyliśmy z pontonu. Woda była zimna i nieprzyjazna.

Znalazłam sobie duży głaz, położyłam się na nim i wystawiłam twarz do słońca. Brian poszedł się kąpać, rzuciwszy, że potrzebuje trochę treningu, bo nie pamięta, kiedy ostatnio się ruszał, choć wydawało mi się, że jeszcze ostatniego dnia w Konstancinie zaliczył poranne bieganie. Pomyślałam sobie o powodach, dla których pływał Mathieu, i zachciało mi się śmiać z nich obu. Mathieu nigdy nie powiedziałby, że potrzebuje pływania dla dobrego samopoczucia, nie miał w sobie tego amerykańskiego narcyzmu, który każe ciągle przyglądać się samemu sobie. Przeciwnie, jego gesty były naturalne, spontaniczne. Mathieu pływał z miłych i rozcudzających powodów: bo był z Nicei i chciał zostać pisarzem.

Karolina mruknęła, że woda jest dla niej za zimna, znalazła jakąś skałę i położyła się w jej cieniu, w pewnej odległości od morza. Zostałam sama z Mają, która bynajmniej nie wydawała się niezadowolona. Była w dziwnie odświeżonym nastroju. Trzymała się blisko mnie i raz nawet pogładziła mnie po łopatkach, uśmiechając się tak, jakby łączyła nas wspólna tajemnica. Kiedy chciałam iść się kąpać, zapytała, czy nie mogę jeszcze chwilę z nią zostać. Pomyślałam, że jest jedną z tych delikatnych, kapryśnych

kobietek stworzonych po to, żeby wszyscy się nimi opiekowali. I że z pewnością jej mężczyzna — czy będzie nim ostatecznie Brian, czy ktoś inny — poświęci życie właśnie na to, żeby się nią zajmować, ponieważ nie będzie dla niego słodsze, przyjemniejsze zajęcie.

Zgodziłam się dla świętego spokoju i położyłam na moim kamieniu, z nadzieją, że będę mogła pobycć chwilę z własnymi myślami, a raczej bez żadnych myśli. Brian, Mathieu, ojciec i czułe wspomnienia Mai o dzieciństwie spędzonym w jego towarzystwie — wszystko to przytłaczało mnie już odrobinę za bardzo. Teraz ogarnęło mnie wreszcie rozleniwienie. Słońce wgryzało się w moją skórę i mimo kremu ochronnego czułam, że się palę, ale postanowiłam nic z tym nie robić, by nie zakłócić tej chwili. Zamknęłam oczy. Czułam jednak, że Maja patrzy na mnie w napięciu.

— Czy mogłabyś usiąść? — zapytała po chwili cienkim, proszącym głosem.

Podniosłam się ze strachem. Czyżby dowiedziała się czegoś i wybrała ten moment na przeprowadzenie poważnej rozmowy?

Siedziała, obejmując rękami zgięte kolana, i patrzyła mi w oczy z przejęciem.

— Musisz mu wybaczyć — powiedziała wreszcie, łapiąc mnie za rękę.

— Jak to? — spytałam głupio. Poczułam, jak robi mi się niedobrze, a całe ciało ogarnia słabość. W gardle miałam wielką gulę, dowód winy. Jak mogłam nie brać pod uwagę przykrości tego momentu, w którym zostanę zdemaskowana? Ale czy to możliwe, żeby wiedziała i mimo to nadal zachowywała się z dobroduszością gospodyni domowej? Czy Brian mógł jej powiedzieć? Aby ukryć zdenerwowanie, zaczęłam uważnie oglądać jej tęczęwki. Były naprawdę ciekawe, jakby utkane z brązowych i zielonych nitek, które dopiero z daleka zlewały się w jednolite piwne plamy.

— Musisz mu wybaczyć. Dopiero wtedy otrząśniesz się ze swojego dzieciństwa — powiedziała poważnie.

— Komu? — Mój głos był cichy, prawie niesłyszalny, ale już oddychałam z ulgą, bo zaczynałam się domyślać.

— Swojemu ojcu — odpowiedziała, ściskając mnie za rękę i nie odrywając wzroku od mojej twarzy, jakby nie chciała mi pozwolić na żaden unik. Gdyby wiedziała, jaki unik właśnie udało mi się zrobić dzięki jej naiwności!

Poczułam, jak moje ciało się odprężyło, a w mięśnie wstępuje nowa energia. Byłam tak szczęśliwa, że miałam ochotę ją przytulić.

— Musisz mu przebaczyć — powtórzyła. Brązowe żyłki w jej tęczówkach rozszerzyły się, źrenice błyszczały jasno. — Inaczej nigdy nie zaznasz spokoju.

Uśmiechałam się głupio, ledwo jej słuchając. Obiecywałam sobie gorączkowo w duchu, że już nigdy nawet nie odezwę się do Briana i że co rano będę dziękować Bogu za świętą naiwność Mai.

— Wiem, że to nie jest łatwe. Ale trzeba wybaczyć tym, którzy nas skrzywdzili. Nie wolno koncentrować się na przeszłości — ciągnęła Maja, nieświadoma mojego stanu ducha i ośmielona tym, że nie próbuję jej przerwać. — Myślenie o przeszłości to najlepszy sposób, żeby stracić przyszłość — dodała sentencjonalnie, nie przestając świdrować mnie wzrokiem, jakby starała się zajrzeć w głąb mojej duszy. Jej oczy, widziane z bliska, w słońcu, były jak kwiaty o cieniutkich płatkach albo jak języki ognia. Nigdy jeszcze nie poświęciłam tyle czasu na studiowanie tęczówek, tych delikatnych, skomplikowanych wzorów, które ludzie z braku inwencji nazywali zielonymi albo brązowymi.

— Jest taka książka, którą czytałam, i chciałabym ci ją wysłać ze Stanów — podjęła poważnym tonem, jakby zamierzała za chwilę podzielić się ze mną swoim najważniejszym sekretem. — Nosi tytuł *Alchemik*. Mnie bardzo dużo dała i myślę, że powinnaś ją przeczytać.

Nienawidziłam, kiedy ktoś mówił mi, że „powinnam coś przeczytać”. Ludzie, którzy nam mówią, że „powinniśmy coś przeczytać”, najczęściej nie mają na myśli walorów literackich — przeciwnie, ich zdaniem to „coś” ma wyjaśnić nasze problemy egzystencjalne. Zwłaszcza gdy są to ludzie nie mający pojęcia o literaturze i jeśli tym czymś jest *Alchemik*. Zamierzałam uśmiechnąć się wymijająco, kątem oka dostrzegłam jednak, że Brian wyszedł z wody i zbliża się do nas. Zanim zdążyłam zastanowić się nad odpowiedzią, już mówiłam chłodno:

— Pozwól, że jednak nie będę czytać Paula Coelha.

— Dlaczego? — spytała delikatnie, lecz z tym apostolskim zapałem, który widywałam już u innych czytelniczek tego rodzaju literatury. — *Alchemik* pomoże ci odnaleźć harmonię.

— Jedyna osoba, której pomógł odnaleźć harmonię to sam autor. Harmonię zer na koncie — odpowiedziałam ze zniecierpliwieniem.

Żyłki w oczach Mai znów się rozszerzyły i jej piękna twarz przybrała wyraz współczucia.

— Jesteś taka cyniczna i wyrafinowana. Ale intelekt niekoniecznie zapewni ci szczęście — tłumaczyła łagodnie, jakbym była niedorozwinięta. — W życiu liczy się także serce.

— A co ty o tym wiesz! — krzyknęłam.

Spojrzała na mnie ze smutkiem, jakbyśmy grały właśnie w brazylijskiej operze mydlanej.

— Może nie jest to aż tak skomplikowana literatura jak Philip Roth, ale mówi prawdę. — Maja starała się nie okazywać, że czuje się zraniona.

A może nie czuła się zraniona? Może była tak dobra, że nie dało się jej zranić? I to także mnie zirytowało. Byłam dla niej dzieckiem, rozkapryszonym, krótkowzrocznym dzieckiem.

Nagle usłyszałam śmiech — ten zły, teatralny śmiech, który tak dobrze znałam i którego nienawidziłam, ponieważ był śmiechem mojego ojca. Ale to nie on się śmiał, tylko ja. Odchyliłam głowę do tyłu, przymknęłam powieki i śmiałam się — długo, nieprzyjemnie, wyzywająco.

Kiedy spojrzałam na Maję, zobaczyłam, że żyłki w jej oczach zlały się w dwie błyszczące plamy. Z podkulonymi nogami i dłońmi splecionymi

na kolanach wyglądała jak sierotka Marysia. Ale nie było mi jej już żal. Zerwałam się, prawie zderzając się z Brianem, który przez cały ten czas stał nad nami i słuchał. Zerknęłam na niego niechętnie, oczekując jakiegoś rodzaju potępienia. Ale dostrzegłam coś zupełnie innego.

Biegłam do morza, obijając stopy o kamienie, i czułam, jak do oczu napływają mi łzy. Płakałam, bo cudem uniknęłam zdemaskowania — przez chwilę miałam poczucie winy, które jednak magicznie się rozwiało. Płakałam, bo cała ta scena była nieprawdziwa, lecz zarazem wydawała się tak szczerą, że jeszcze chwila i sama bym w nią uwierzyła. I dlatego, że wszystko tak dziwnie i pięknie się układało. W gruncie rzeczy powinnam być wdzięczna Mai. Gdyby przed chwilą rzeczywiście chodziło jej o Briana, nie miałabym nic na swoją obronę — ale ona postanowiła mówić o moim ojcu, a w tym wypadku na swoją obronę miałam wszystko.

Wbiegłam do wody i zaczęłam płynąć, chcąc zniknąć im z oczu. Na wysokości cypla morze było znacznie mniej spokojne niż w zatoce. Okrążyłam go kraulem i moim oczom ukazała się druga, znacznie mniejsza, skalista plaża. Postanowiłam wdrapać się na jeden z głazów, a kiedy to robiłam, fala rzuciła

mnie na podwodną skałę. Poczułam ból, ale w obecnym stanie ducha sprawił mi on raczej perwersyjną przyjemność. Po chwili siedziałam na niegościnnym brzegu i oglądałam krew na moim kolanie; pozwoliłam jej płynąć. Kiedy podniosłam głowę, na naszym jachcie zamajaczyły dwie postacie stojące blisko siebie, może nawet w uścisku. Czyżby ojciec i Vera skorzystali z naszej nieobecności — a przy tym nie wzięli pod uwagę, że choć przed wzrokiem osób na plaży zasłania ich kabina, to ktoś mógł zobaczyć ich sekret z sąsiednich skał? W gruncie rzeczy jednak mało mnie to interesowało. Było mi smutno i dobrze i chciałam tu zostać na zawsze.

Zamknęłam oczy i położyłam się na skale. Po jakimś czasie usłyszałam plusk wody. Ktoś wychodził z morza i siadał obok mnie — nie musiałam się podnosić, żeby wiedzieć kto to. Czekałam na niego.

— Jesteś cała we krwi — powiedział i ukląkł nade mną, jakby chciał opatrzyć mi ranę.

Poczułam, że na nogi spada mi parę chłodnych kropli wody z jego włosów. Znów mogłam podziwiać w blasku słońca jego sylwetkę futbolisty. Tym razem wydała mi się piękna.

— Posłuchaj, nie powinnaś krzywdzić Mai — oznajmił Brian niedbale, przesuwając palcem wokół rany na moim kolanie, jakby się zastanawiał, czy

jest godna współczucia, czy podniecająca. — Maja jest aniołem.

— Nienawidzę aniołów — mruknęłam obojętnie, poddając się jego dziwnej pieśczoście.

— Nienawidzisz Mai? — spytał.

— Och, jest taka słodka — słowo to zabrzmiało w moich ustach złośliwie i ironicznie.

— Przy niej jesteś... — zawahał się. — Jesteś ostra i silna.

— Nieprawda — odparłam całkiem szczerze, bo uważałam, że w głębi duszy nie jestem ani ostra, ani silna. Najwidoczniej nic o mnie nie wiedział. Zabolalo mnie to i zarazem mi pochlebiło.

— Chciałem ci powiedzieć, że nie możemy się spotykać. Wczorajszy wieczór uznajmy za niebyły — powiedział z roztargnieniem. Oderwał wzrok od moich nóg i po raz pierwszy spojrzął mi w oczy. Jego wyraz twarzy nie był jednak zbyt przekonujący.

— Oczywiście — odparłam.

Roześmiał się nerwowo.

— To wszystko? — spytał, wyraźnie rozczarowany.

— A jest coś jeszcze?

Zeskoczyłam ze skały i odpłynęłam parę metrów. Kiedy się wynurzyłam, był naprzeciwko mnie.

Jego ramiona lśniły od wody, kiedy mnie obejmował, a nasze twarze znalazły się tuż obok siebie.

— Co? — spytałam ze śmiechem.

— Nie wiem. Jesteś taka inna.

I wtedy pocałował mnie w usta, pierwszy raz. Był to długi, wilgotny pocałunek, pełen czulej tęsknoty i smutku pomieszanego z radością. Tak jakbyśmy oboje nie mogli się zdecydować, czy opłakiwać miłości, które właśnie traciliśmy, czy cieszyć się z tych, które na nas czekały.

Po południu zerwał się wiatr i przez resztę naszej podróży do Ajaccio jachtem kołysało tak, że wszyscy marzyli tylko o przybiciu do portu. Ojciec z Karoliną zaszyli się w kajucie, zapewne licząc na to, że klimatyzacja wpłynie pozytywnie na ich błędniki. Brian snuł się po deku, zerkając w moją stronę, ale nie odważył się podejść i w końcu znikł pod pokładem. Stałam przy relingu i próbowałam chłodzić się wiatrem i falami, które wystrzeliwały spod kadłuba, przypominając mi naszą noc w hotelu Suisse i wprawiając mnie w przyjemne podniecenie.

Po chwili pojawiła się Maja, również z niepewną miną. Najwyraźniej i ona cierpiała na chorobę morską.

Miała głos umęczony i łagodny. Dziwne, że jeszcze się na mnie nie obraziła za te wszystkie przykrości, które jej sprawiałam. Traktowała mnie jak

enfant terrible — a przy okazji jak nieszczęśliwą, niepoukładaną intelektualistkę, którą trzeba ratować. Zresztą kto wie, czy nie miała racji.

— Mówiłaś, że nie masz choroby morskiej — zauważyłam złośliwie.

Przypomniałam sobie tamten wieczór w Konstancynie, kiedy zobaczyłam ją po raz pierwszy. Wydawała mi się wtedy jak posąg, tak silna, że nic nie mogło zachwiać jej szczęściem. Jak wiele się zmieniło w ciągu paru dni!

— Nigdy nie miałam — powiedziała. Jej twarz była blada, a skóra pod oczami miała żółty odcień.

Odeszłam kilka kroków, ale zaraz usłyszałam jej głos:

— Marta...

— Słucham? — odwróciłam się i stanęłam wyczekująco.

— Nie. Nic — potrząsnęła głową z wysiłkiem i usiadła na deku.

Została w tej pozycji, oparta o barierkę, z zamkniętymi oczami. Gumka zsunęła się z jej pięknych włosów i wiatr rozwiewał je po twarzy.

Wróciłam na swoje miejsce na dziobie i zajęłam się szukaniem stałych punktów na horyzoncie, co jak słyszałam, powinno pomóc błędnikowi

w przywróceniu równowagi. Jakieś pół godziny później Maja przyszła do mnie i objęła mnie w tali.

— Twój tata tak cię kocha — szepnęła mi do ucha.

Odskoczyłam na bok i zmierzyłam ją lodowatym wzrokiem.

— Jesteś wariatką — powiedziałam.

Ale ona udawała, że nie zauważa mojej niechęci. Położyła mi głowę na ramieniu.

— Kiedy pojawia się dziecko, to tak jakby anioł dotykał cię skrzydłami — szepnęła, biorąc mnie za rękę. — Jestem pewna, że twój tata zawsze bardzo cię kochał.

— Czyżby? Tylko zapomniał tego okazywać? — spytałam, nie patrząc na nią.

— Po prostu chciałam, żebyś była szczęśliwa — odparła. Była teraz jedną wielką, słodką kartką urodzinową. Brakowało jej tylko złotych liter i serduszek na czole. Z pewnością robiła to specjalnie, specjalnie była taka urocza i naiwna, bo w ten sposób stawała się nietykalna. Mogłam mówić jej różne rzeczy, choćby najbardziej raniące, ale ostatecznie Maja pozostawała poza ich zasięgiem — jakby spowijał ją puchowy kokon i chronił przed ciosami świata. Ciekawe, jak długo uda jej się tak żyć?

Dopłynęliśmy do Ajaccio około osiemnastej i po kilku minutach staliśmy na łodzi, w doskonałych humorach, jakie wywołuje w świeżo upieczonych żeglarzach perspektywa spędzenia wieczoru na twardym miejskim chodniku. Tylko Maja pozostała smętna i wspierała się na ramieniu Briana. Jej uroda wyraźnie zbladła — nadal była aniołem, ale aniołem cierpiącym na chorobę morską.

Odszukaliśmy starą część miasta w okolicy pałacu Pozzo di Borgo i usiedliśmy na patio restauracji, którą mój ojciec i Karolina uznali za szczególnie elegancką. W porównaniu z Niceą miasto wydało nam się puste. Więcej turystów było tylko w porcie i w okolicach domu Napoleona, poza tym miało się wrażenie, że Ajaccio żyje na swój zwykły leniwy sposób i ma w nosie to, że są wakacje i miliony turystów oblegają południe Francji. Po rozdygotanych nicejskich wieczorach uspokajało mnie to, ale też sugerowało, że prawdziwe życie toczy się tutaj gdzie indziej, w jakichś rejonach, do których nigdy nie będziemy mieć dostępu. I że w związku z tym my również musimy zdać się na siebie, a „my” oznaczało Briana i mnie.

Kelner przyniósł menu i z jakiegoś powodu rzucił do nas dwa słowa po włosku, odpowiedziałam

mu więc w tym samym języku, i odtąd za każdym razem, kiedy podchodził przyjąć zamówienie czy nalać wino, miał dla mnie jakąś żartobliwą uwagę. Nazywał mnie *signorina* i opowiedział mrozącą krew w żyłach historię o korsykańskim kodeksie honorowym, pełną karabinów przewożonych w samochodach i wrogów zamykanych w szopach na górskim ustroniu. Dowiedzieliśmy się przy okazji, że nazywa się Pietro, ma czterdzieści osiem lat, żonę i troje dzieci i jest pół-Włochem.

Ogarnęło mnie przyjemne podniecenie — nigdy jeszcze nie czułam tak wyraźnie, że jestem Europejką. W przeciwieństwie do Briana i Mai, którzy byli tylko Amerykanami, oraz do Karoliny i ojca, którzy mimo swoich pieniędzy uparcie pozostawali Polakami. Tłumaczyłam im opowieści kelnera, zadowolona z wrażenia, jakie na nich robią. Przyszło mi nawet do głowy, że może dlatego tak dziwnie potoczyła się moja kolacja z Mathieu — może w ogóle nie chodziło o mężczyzn, o żadnego konkretnego mężczyznę, ale o bycie Europejką. Było w tym coś prostego i magicznego, jakby otwierały się przede mną drzwi, przez które widać morze, słońce, ludzi i mnie — jak siedzę z nimi i się śmieję, i jestem kimś zupełnie innym, niż jestem. Zauważyłam, że

podnoszę rękę i próbuję złapać kosmyk włosów, żeby skrócić je zalotnym gestem, tak jak miała to w zwyczaju Maja. Byłam szczęśliwa. Ale tym razem do lingwistycznej euforii dołączyło coś jeszcze — przyjemne odkrycie, że okazuję się bardziej pasować do ich świata niż oni sami. Europa to nie były tylko pieniądze. To były także: młodość, znajomość języków obcych i stan ducha.

Maja uśmiechała się miło i podnosiła do ust widelce z kawałkami dorady. Sprawiała wrażenie, jakby nadal męczyła ją choroba morska, choć podejrzewałam, że ta słabość to raczej sposób zapewniania sobie męskiej uwagi. W każdym razie nie przysłuchiwała się nam zbyt pilnie.

Karolina natomiast od pewnego czasu robiła miny, które zwiastowały jej rosnące rozdrażnienie. Nie myślałam o niej jednak, zbyt zajęta tłumaczeniem słów Pietra mojemu ojcu i Brianowi. Aż nagle, po kolejnej wymianie zdań, prawie rzuciła sztucce i wybuchła:

— Może już wystarczy tych popisów? Chyba że ma ochotę przespać się z tym kelnerem.

Wściekłość w jej głosie rozżaliła mnie. Spojrzałam pytająco na ojca. Wydawał się nieco zbity z tropu, zapewne na czas kolacji stracił z oczu żonę i nie

wiedział, co się dzieje w jej głowie. A może w ogóle już dawno stracił ją z oczu?

— Moja córka z pewnością ma lepszych kandydatów niż kelner, zwłaszcza z trójką dzieci — żartował.

Karolina zaczęła szeptać pod nosem jakieś złośliwe uwagi, ale ojciec więcej się nie odezwał na ten temat. Brian nie zrozumiał, co się stało. Maja nadal modliła się nad swoją rybą i wydawała się nieobecna. Mnie jednak słowa Karoliny wyprowadziły z równowagi. Musiałam przyznać, że miała trochę racji — popisywałam się swoją znajomością włoskiego. Ale fakt, że miała rację, tylko potęgował moją złość.

— Twoja córka zna parę języków obcych, w przeciwieństwie do twojej żony, która w obcych językach zna tylko marki torebek — powiedziałam.

Karolina z hukiem odsunęła krzesło i wstała. Niechcący potrąciła kieliszek z białym winem, oblewając koszulę męża.

— A jakie miłe rzeczy umie powiedzieć w tych językach — mruknął, podnosząc się. Był jednak widocznie rozbawiony. Najwyraźniej nie miał mi za złe tych impertynencji. Ostatecznie ostrość była w jego stylu.

— Jak możesz z tego żartować? — syknęła Karolina. Jej głos wibrował od złości i żalu. Wybiegła na taras, ale ojciec, zamiast podążyć za nią, uśmiechnął się z zażenowaniem do reszty towarzystwa i bąknął, że musi doprowadzić się do porządku. Zobaczyłam, że kieruje się w stronę łazienki.

Za chwilę podniosła się też Maja, z wyraźnym zamiarem, żeby pobiec za Karoliną, ale wstając, zachwiała się i oparła o krzesło. Był to tylko moment, w którym jej wzrok, zastygły w niemym oczekiwaniu, spotkał się ze wzrokiem Briana. Z pewnością liczyła, że z nią pójdzie. Brian pochylił się jednak nad talerzem, udając, że tego nie zauważa, i wtedy po raz pierwszy dostrzegłam w jego zachowaniu rys okrucieństwa wobec własnej dziewczyny. Prawą ręką nadziewał na widelec kawałek ryby, lewą położył na kolanie. Maja uśmiechnęła się blado i niezrażona ruszyła za Karoliną — a przecież ta jedna chwila powinna była powiedzieć jej wszystko.

Zostałam sama z Brianem.

— Czy jest jakiś język, którego nie znasz? — Jego ton był flirciarski.

— Język miłości — powiedziałam zalotnie. Mój wstyd gdzieś się ulotnił i znów byłam pewna siebie.

— Nie powiedziałbym — odparł ze znaczącym uśmiechem.

— Mam na myśli prawdziwą miłość. — Byłam cyniczna i bardzo mi się to podobało.

— Mieszkałaś za granicą? — dopytywał się, wyraźnie oczarowany, dotykając butem mojej stopy.

— Wiesz, Europa jest mała. Wszyscy w pewnym momencie mieszkamy za granicą — powiedziałam nonszalancko i niezgodnie z prawdą. — Ale przede wszystkim lubię rozmawiać w obcych językach. Uważam, że to podniecające. — Spojrzałam mu w oczy, rozgniatając widelcem pomidorka cherry, którego miąższ trysnął na stół.

— Dlatego spędziłaś dobę z tym dupkiem Mathieu? — spytał. Jego oczy błyszczały niezdrowym światłem, obiecując mi złe, lecz rozkoszne przygody.

— Mathieu nie był dupkiem, a końcówkę tej doby spędziłam z tobą — przypomniałam mu.

Brian zaczął się śmiać. Jego noga pod stołem wyprawiała prawdziwe akrobacje, żeby spleść się z moją w czułym uścisku.

— Spotykasz się ze mną dla angielskiego?

— Nie spotykam się z tobą — powiedziałam. — Przespałam się z tobą. To zupełnie co innego.

Wydawał się rozbawiony moją dosłownością.

— Tylko raz?

— A ile byś chciał?

— Nie wiem — odpowiedział sucho. Ale jego spojrzenie było wilgotne i rozmarzone.

Reszta wieczoru przebiegła w sposób równie nieoczekiwany. Maja dalej źle się czuła. Uwiesiła się na ramieniu Briana i szeptała mu coś do ucha, rzucając wszystkim omdlewające spojrzenia. Była teraz kwintesencją słabej kobiecości, wiecznie potrzebującej męskiej opieki, podświadomie jednak podstępnej i kalkulującej. Podejrzywałam, że Brian przestał czuć się z tym dobrze, bo od czasu do czasu zerkał w moją stronę jakby z prośbą o ratunek.

Co do reszty towarzystwa, to nagle role się odwróciły i Karolina szła samotnie w milczeniu, nawet nie patrząc na nocne Ajaccio, a ojciec i ja wymienialiśmy uwagi o mijanych budynkach. Nagle zaczął zdradzać się ze swoim wykształceniem humanistycznym — wiedział wszystko o dominujących w mieście stylach architektonicznych i o historii, która na nie wpłynęła. Nie wrócił już do naszej nieprzyjemnej wymiany zdań z kolacji. Drażnienie takich tematów nie było w jego stylu, zdecydowanie wołał ironiczne uśmiechy i błyskotliwe pointy. Wyraźnie brał jednak moją stronę, choć nie uznawałam tego za osąd moralny. Mój ojciec nie interesował się moralnością. Był to osąd estetyczny — teraz ja mu się bar-

dziej podobałam. Po prostu trzymał z silnymi, a słabość budziła w nim obrzydzenie.

Kiedy dotarliśmy na nasz jacht, Maja niespodziewanie wzięła mnie pod rękę i zaciągnęła do swojej kajuty.

— Masz wielką przewagę nad Karoliną — powiedziała, sadzając mnie obok siebie na łóżku. — Nie obraż się, ale czasem przykro mi patrzeć, jak ją wykorzystujesz.

— Jaką przewagę? — spytałam zrezygnowana i położyłam się ma plecach.

Czy znoszenie tych kazań było ceną, którą musiałam zapłacić za to, że przespałam się z jej chłopakiem? Ze znudzeniem czekałam na dalszy ciąg. Ale sytuacja ta sprawiała mi też przyjemność. Ostatecznie leżałam na łóżku, na którym Brian legalnie uprawiał miłość. Wszędzie porozrzucone były jego ubrania. Poznałam nawet koszulę, którą miał na sobie poprzedniego wieczoru w hotelu Suisse.

— Karolina dużo by dała za odrobinę sympatii z twojej strony. Wiem, że jesteście zupełnie inne. Ty jesteś intelektualistką, a ona była kiedyś dziewczyną imprezową. Ale nawet ze względu na to mogłabyś być dla niej miłsza. — A ponieważ nic nie mówiłam, dodała: — Boże, nie widzisz, jaka jest nieszczęśliwa?

Wydawało mi się, że czuję zapach Briana: zapach młodej męskiej skóry i ubrań suszonych w suszarce, i właśnie zajęta byłam fantazjowaniem o kolejnej schadzce. Ale obraz nieszczęśliwej Karoliny, w dodatku z mojego powodu, wydał mi się tak surrealistyczny, że zaczęłam chichotać.

— Ta kobieta ma wszystko, czego nie miała moja biedna matka — powiedziałam w końcu cicho, takim głosem, jakbym mówiła do ubrań Briana.

— Nie wszystko. — Maja patrzyła na mnie ze zdziwieniem, jakby moje uczucia były dla niej zupełną nowością.

— Ma pieniądze, dom, luksusy i mojego ojca. Ma wolny czas i wakacje na Lazurowym Wybrzeżu — wyliczyłam jak przez sen.

— Ale nie ma ciebie. — Maja uśmiechała się wyrozumiale, jakbym była wyjątkowo niepojętym dzieckiem.

— Zwariowałaś. Przez tę kobietę nie widziałam mojego ojca przez dziesięć lat.

Miałam żal do Mai, że nie pozwalała mi pozostać w krainie marzeń.

— Ale w końcu się do ciebie odezwał. Przecież ona też musiała się na to zgodzić. On tak cię kocha. — Złapała mnie za rękę. Wzdrygnęłam się.

— Posłuchaj, Maju, sam fakt, że ktoś jest czyimś ojcem, nie znaczy, że jest również wspaniałym ojcem — powiedziałam cicho. Leżałam ciągle na jej łóżku z przymkniętymi oczami, rozdarta pomiędzy rozkoszą przebywania w tym miejscu a irytacją, w jaką wprawiała mnie nasza rozmowa. — Nic nie rozumiesz. Twój ojciec nie zostawił cię w wieku sześciu lat po to, żeby poznać cię na nowo i przedstawić swojej nowej, lepszej rodzinie oraz służbie dziesięć lat później. — Trochę przesadziłam z tą służbą, dla większego efektu. Chociaż efekt i tak miałam przecież zagwarantowany. Ostatecznie był to najukochańszy z moich monologów literackich. Tyle lat czekałam na okazję, by go wygłosić, że z pewnością nie potrafiłabym go zepsuć. — A potem jeszcze nowej uroczej siostrzenicy i jej chłopakowi — dodałam.

— Mój Boże. Ty naprawdę nic nie rozumiesz. Nie rozumiesz, co to znaczy mieć czterdzieści lat i być samą — najwyraźniej Maja również traciła cierpliwość. Nie patrzyłam na nią, ale podejrzewałam, że kręci piękną głową z niedowierzaniem, jakby wreszcie zdała sobie sprawę z mojej nieuleczalnej głupoty.

— A ty nie rozumiesz, co to znaczy przez dziesięć lat spać ze zdjęciem ojca pod poduszką — odpowiedziałam.

Usłyszałam kroki Mai na skrzypiącej podłodze.

— Ich życie jest puste i nieszczęśliwe — powiedziała cicho, z rezygnacją. I dodała: — Ostatecznie jesteś jego dzieckiem.

Usiadłam na łóżku.

— A ty tylko o dzieciach! — roześmiałam się. — Mój ojciec pozbył się mnie, żeby mieć wspaniałe życie, ponieważ tak właśnie robi się z dziećmi. — Okrucieństwo tych słów, wymierzone we mnie, miało dotknąć także ją.

Maja stała przy oknie i patrzyła na mnie ze współczuciem.

— Jeśli przez te lata obmyślałaś zemstę, to masz ją podaną na talerzu. Oni oddaliby wszystko, żebyś była ich, choć trochę — powiedziała ciepło.

Czułam się coraz dziwniej. Setki razy ćwiczyłam tę przemowę, a teraz, kiedy wreszcie ją wygłosiłam, reakcja na nią obrała kierunek, który nie mieścił się w moim scenariuszu. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że można by tak myśleć. Że ktoś uzna, iż w relacji z ojcem i Karoliną to ja jestem górą. Moja krzywda, moja niesprawiedliwa i niezawiniona krzywda była głównym założeniem każdej wymiany zdań na ten temat, a różne wersje mogły dotyczyć co najwyżej sposobu i stopnia zadośćuczynienia.

— Nie obmyślałam zemsty. — Usiadłam na łóżku i odruchowo przytuliłam koszulę Briana. — Tęskniłam — wyjaśniłam cicho.

Spojrzałam ze zdziwieniem na koszulę, rzuciłam ją w kąt i wybiegłam z kajuty.

Czułam się dezorientowana. Po raz pierwszy słodkie słowa Mai nie wydały mi się tylko głupie. Nigdy nie myślałam o tym w taki sposób. Nie myślałam, że mogłam naprawdę coś znaczyć dla ojca, nie mówiąc już o Karolinie. Przyszło mi teraz do głowy, że właściwie nie rozumiałam, dlaczego mnie do siebie zaprosił. Ale też nigdy nie zadałam sobie tego pytania. Nie zrobiłam tego, bo właściwie mnie to nie obchodziło, zbyt byłam zajęta własnym cierpieniem. Nagle przypomniałam sobie szafę pełną ubrań, których nawet nie umiałam nosić. Przypomniałam sobie lekcje jazdy konnej, które ojciec zafundował mi poprzedniego lata. I nawet ten jeden dzień z Karoliną u fryzjera — i poczucie władzy, które miałam przez chwilę. Ale coś jeszcze nie dawało mi spokoju. Po raz pierwszy wydało mi się, że Maja nie jest idiotką, która o niczym nie ma pojęcia, lecz osobą z własnymi racjami. Była to dziwna zmiana i nie wiedziałam, jakie przyniesie konsekwencje.

Wyszłam na dek i usiadłam na ławce. Na niebie pojawiły się już gwiazdy. Przemykałam wzrokiem od jednej do drugiej, układając je w konstelacje, i rozmyślałam o tym, co powiedziała Maja, i o tym, co mogłam przeciwstawić jej słowom. Zaczęłam przywoływać w pamięci różne sceny związane z odejściem ojca — wystarczyło, że pomyślałam o którejkolwiek z nich, i zaraz przychodziły kolejne, jedna po drugiej, jak konie na karuzeli: każda następna wyrazistsza i smutniejsza od poprzedniej. Och, mogłam uchwycić się dowolnego, choćby najmniejszego, najbiedniejszego wspomnienia — i wszystkie racje Mai gasły w blasku jego ponurego piękna. Przypomniałam sobie czarne strużki tuszu pod oczami mamy, które skrywała przede mną przez pierwsze lata po jego odejściu i które w końcu udało jej się ukryć nawet przed samą sobą. I stołek przy oknie, po którym wspinałam się na parapet, żeby wypatrywać ojca. Ten stołek był mały, zrobiony ze sklejki pokrytej szarym lakierem, który odchodził w kilku miejscach. Zapewne na początku naprawdę na niego czekałam — patrzyłam na parkujące samochody, zastanawiając się, z którego wysiądzie. Ale dość szybko przestałam w to wierzyć — czekałam jednak nadal, ponieważ polubiłam ten

rytuał nadziei i rozczarowania. Miał niezwykłą siłę, która potrafiła przetrwać lata nienaruszona. Dlatego cokolwiek powiedzieli — Maja czy ktoś inny, nawet jeśli chwilowo mnie to raniło, ostatecznie miało niewielkie znaczenie.

Stałam tak, rozmyślając, ale też czekając na kogoś. Zapaliłam papierosa. Nie mogłam być tak zupełnie sama z niemyim niebem i swoimi myślami. I rzeczywiście, po paru minutach usłyszałam kroki. Odwróciłam się. Brian stał za mną z zawadiacką miną, jak chłopiec, który właśnie rozlał kakao.

— Jak widzisz, nie wytrzymałem długo. Nie mogłem się oprzeć — powiedział, zbliżając twarz do mojej. — Mogę?

Nie odpowiedziałam. Spojrzałam w stronę morza i zamknęłam oczy, zaciskając palce na relingu. Nocne powietrze pachniało portem i rybami.

— Widzę, że zaprzyjaźniłaś się z Mają — zauważył, ale w jego głosie nie było zdenerwowania. — Siedziałem na dolnym deku i...

— Maja jest bardzo zajęta zbawianiem mojej duszy — powiedziałam, starając się, żeby te słowa zabrzmiały chłodno i sarkastycznie. — Na szczęście nie wie, jak czarna jest ona w rzeczywistości. — Roześmiałam się. Coś kazało mi być wobec niego

zimną i opanowaną, nawet jeśli w istocie czułam się przede wszystkim zagubiona.

— Nie pytasz, co robiłem na dolnym deku? — powiedział i wyciągnął z kieszeni kartkę papieru.

— Rysowałeś nadmorskie krajobrazy? — spytałam z ironią.

— Nie... — Zaśmiał się. — Ale prawie. Pisałem wiersz — powiedział poważnie. Było ciemno, ale wydało mi się, że się zarumienił. — Ostatni raz robiłem to podczas zajęć z twórczego pisania w college'u i nie wiedziałem, że kiedyś do tego wrócę. Ale teraz ta noc i ty...

Pomyślałam, że jeszcze chwila i mój wieczór nieodwołalnie zamieni się w groteskę. Nie, nie mogłam pozwolić sobie na słuchanie o jego uczuciach, w zupełności wystarczały mi dzisiaj uczucia Karoliny, ojca i moje własne. Pocałowałam go, zanim zdążył dokończyć. Jego wargi były miękkie i suche, ich pieśczota mogła trwać bez końca.

— Gdzie chcesz? — szepnęłam, przyciągając go do siebie.

— Nie wiem. Gdziekolwiek. Wszędzie.

Położyłam się na pokładzie. Brian ukląkł nade mną i patrzyłam, jak w tylnej kieszeni szuka prezerwatywy. W końcu znalazł ją i zaczął zakładać

drżącymi palcami. Pomyślałam, że niedługo te dłonie otworzą drzwi kajuty, w której dopiero co przeprowadziłam tę dziwną rozmowę, i będą udawać, że cały wieczór oddawały się tylko dozwolonym czynnościom; być może pogłaszczą zmęczoną Maję po policzku i poprawią jej poduszkę. W końcu położył się na mnie. Księżyc świecił już jasno, liczyliśmy jednak, że nikt nas nie zobaczy. Fale obijały się o burtę i miały zagłuszyć odgłosy naszej miłości.

Od tego wieczoru uprawialiśmy seks nawet kilka razy dziennie. Niepojęte, jak nam się to udawało na tak małej przestrzeni, w towarzystwie, przed którym musieliśmy ukrywać, że w ogóle łączy nas cokolwiek poza obopólną zgodą na rezygnację z wzajemnej niechęci — ta bowiem wydawała się wszystkim oczywista. W nocy Brian wymykał się na pokład pod jakimś pretekstem, a ja czekałam na niego, wychylna za burtę, z papierosem, żeby przypominać jakąś zimną i daleką gwiazdę kina Nowej Fali. Bywał też w mojej kajucie, która przylegała do wielkiej sypialni ojca i Karoliny, musieliśmy więc zachowywać się szczególnie cicho. Czekałam wtedy na niego z włączoną muzyką, która miała zagłuszyć kompromitujące dźwięki, i kochaliśmy się pospiesznie, bez słów, jakby realizując wyznaczone nam przez kogoś zadanie. Prawdziwym wyzwaniem były jednak schadz-

ki w ciągu dnia, na przykład podczas lunchu, kiedy ja się spóźniałam, a Brian wstawał nagle i mówił, że musi wrócić po okulary przeciwsłoneczne. Albo kiedy szłam na samotny spacer po pustej plaży, a on pojawiał się niebawem od strony morza, ociekający słoną wodą i stęskniony. Te szybkie, ryzykowne spotkania, prawie bez słowa, tylko w jednym celu, w auzurze przestępstwa i zdrady, stały się dla nas głównym projektem tych wakacji i oddawaliśmy się mu z poświęceniem właściwym młodości oraz głupocie. Ekwilibrystyka, której wymagała organizacja naszych schadzek, ryzyko, radość ze wspólnych chwil, ciągle zbyt krótkich, oraz tęsknota, żądająca wciąż kolejnych prób — wszystko to całkowicie nas angażowało i zastępowało myślenie o sensie tego, co nam się przydarza. A także myślenie o przyszłości. Nie, nie wiedzieliśmy, do czego to wszystko doprowadzi, ale i nie mieliśmy czasu się nad tym zastanawiać. Co do mnie, cała ta przygoda miała jeszcze jeden przyjemny skutek. Za każdym razem, kiedy znowu nam się udało i zostawałam sama w błogim letargu, czując jeszcze na sobie jego dotyk, oddalałam się coraz bardziej od osoby, którą byłam na początku wakacji — od tej strachliwej, grzecznej dziewczyny, tak długo doprowadzającej mnie do rozpacz. I odda-

lanie to napawało mnie dumą. Dumą, którą dają nam wszystkie udane uzurpacje. Poprawiałam bieliznę i przeczesywałam ręką włosy, uśmiechając się do siebie. Może faktycznie taka byłam — ostra, silna i bardzo zepsuta? I kto wie, czy ze wszystkich wspaniałych uczuć towarzyszących naszej przygodzie najbardziej podniecająca nie była właśnie pełna niedowierzania satysfakcja, że przestaję być sobą.

Brian, zapraszając mnie wtedy do hotelu i każąc mi podziwiać zatokę, narzucił naszym stosunkom chłód, który miał uczynić z naszej przygody zimne i ekscytujące doświadczenie. A jednak dosadność tej relacji, to, że nie udawaliśmy przed sobą miłości i objęliśmy niemal całkowitym tabu rozmowy sentymentalne, zwierzenia o rozterkach i poczuciu winy, wszystko to szybko mi się spodobało. Może dlatego, że pasowało do mojej nowej tożsamości chłodnej Europejki. Albo dlatego, że odpowiadało innemu projektowi, którego głównym przedmiotem był mój ojciec? Czy też po prostu dlatego, że nie kochałam Briana? Tak czy inaczej, poetyką naszej relacji było zło i ja byłam zła, to znaczy byłam silna. Te wakacje należało zaliczyć do naprawdę udanych.

W dodatku trudno było wyobrazić sobie silniejsze pożądanie niż to, które budził we mnie Brian.

Przez dziesięć dni pobytu na jachcie myślałam o nim bez przerwy. Widziałam go przy śniadaniu i wyobrażałam sobie, jak wygląda nago. Patrzyłam, jak obejmuje Maję, i liczyłam, za ile godzin zajmę jej miejsce. Opisywałam też w myślach nasze miłosne spotkania, co zresztą okazywało się niełatwe, i szybko doszłam do wniosku, że najlepszy do tego jest styl całkowicie konkretny. Przechodziłam w ten sposób prywatny kurs stylistyki miłosnej i nawet kiedy Briana nie było przy mnie, świetnie się bawiłam. Wśród książek kupionych w Nicei były dwie zabawne powieści pornograficzne Raymonda Queneau; dla rozrywki zaczęłam rozważać napisanie czegoś podobnego.

Pewnego dnia, gdy siedziałam po obiedzie z komputerem i spisywałam coś, co przyszło mi do głowy, nagle zauważyłam, że Maja z zaciekawieniem patrzy mi przez ramię i próbuje odczytać moje słowa. Zamknęłam laptop, przerażona. Dopiero po chwili zdałam sobie sprawę, że na szczęście pisałam po francusku i nie mogła nic zrozumieć.

— Co piszesz? — spytała. — Literaturę?

— Tak — bąknęłam zmieszana.

— To cudownie mieć taką pasję — powiedziała, przechylając z gracją głowę.

— A jaką ty masz pasję? — spytałam, żeby zmienić temat. A także po to, by usłyszeć, że nie ma żadnej, i móc jeszcze bardziej nią gardzić.

— Uwielbiam piec ciasta — powiedziała całkiem poważnie. — Znam mnóstwo przepisów. Czytałam kiedyś książkę, w której bohaterka piekła ciasta, kiedy jej było źle i chciała poczuć się jak w domu. — Sama przypominała teraz kawałek puszystego ciasta, jej oczy były kawałkami czekolady, a usta kandyzowaną wisienką. — Gram też na harfie podczas różnych uroczystości. Zazwyczaj są to przyjęcia rodzinne, wesela i chrzciny. To takie wspaniałe: patrzeć na szczęśliwe rodziny.

Nie spodziewałam się, że Maja może mieć zainteresowania muzyczne, uważałam ją przecież za kretynkę. Z pewnością nie było w niej ani grama tej neurotyczności, która idzie w parze z wrażliwością artystyczną czy w ogóle z prawdziwą inteligencją. A zresztą gra na harfie na chrzcinach nie mogła być przecież uznana za sztukę.

Maja przytuliła mnie. Jej włosy były mokre i pachniały szamponem. I nagle zrozumiałam, że to nieprawda. Że owszem, Maja ma pasję. Jej pasją było coś, co nigdy, w żadnym wypadku nie mogłoby mnie zainteresować. Coś, czego nie lubiłam i czym

w gruncie rzeczy gardziłam, co uważałam za miękkie, stereotypowe i głupie, a może za coś, co w moim wypadku i tak nie mogłoby się udać. Jej pasją były dom i rodzina — a dokładnie rodzina, którą chciała stworzyć z Brianem. Nawet ta jedna rzecz, która nas łączyła, czyli Brian, znaczyła dla nas coś zupełnie innego. Dla niej było to marzenie o domu — dla mnie marzenie o złym, wolnym życiu. A może o czymś jeszcze?

W kolejnych dniach nasza mała zabawa w chowanego wciągnęła mnie do tego stopnia, że niemal zupełnie przestałam zwracać uwagę na resztę towarzystwa. Od czasu do czasu rejestrowałam tylko, że Maja wydaje się zamknięta w sobie, nieobecna, jakby jej życie wewnętrzne wymagało całkowitej koncentracji. Z tych odmętów swojego ja wypływała na powierzchnię tylko po to, żeby zaserwować mi jakąś uwznioślającą sentencję na temat miłości i rodziny. Nie wiedziałam, co się dzieje pomiędzy nią a Brianem — czasem wydawało mi się, że on ją ignoruje, kiedy indziej jednak był dla niej uprzedzająco miły i myślałam wtedy, że z powodu poczucia winy zaczął okazywać jej więcej zainteresowania. A może coś jej obiecał? Nie dostrzegłam na jej palcu pierścionka z brylantem, ale wcale by mnie on nie zdzi-

wił. I może nawet nie dotknął. Charakter mojej relacji z Brianem wydawał mi się tak inny, tak daleki od wszystkich tych mieszczańskich konwenansów — czy może tak daleki od miłości — że w razie czego mogłabym po prostu śmiać się z ich wspólnego szczęścia. Było to uczucie przyjemne i bezpieczne.

Co do ojca, z radością skonstatowałam, że interesuje mnie bez porównania mniej niż kiedyś. Widocznie nie da się myśleć o dwóch mężczyznach naraz — nawet jeśli jednym z nich jest ojciec. Czasem tylko nachodziła mnie refleksja, że świetnie się bawi z nami — i z Verą. Dowiedziałam się, że pochodzi z greckiej części Cypru, że uczyła się w szkole wizażu, ale pewnego dnia ktoś zaproponował jej pracę na jachcie, która bardzo przypadła jej do gustu. Miała wtedy dwadzieścia pięć lat i pracowała w ten sposób od trzech. Nie była zbyt ładna, ale z pewnością miała sporo uroku. Zwróciłam uwagę na jej duże oczy o ciężkich powiekach i kręcone włosy, przywodzące na myśl Jennifer Grey z filmu *Dirty Dancing*. Wszystkie jej białe mundury były odrobinę za ciasne i kiedy przechodziła przez pokład z tacą zimnych napojów, łapałam spojrzenie ojca na jej pośladkach. Nie byłam pewna, czy cokolwiek pomiędzy nimi zaszło. Pamiętałam tylko,

że kiedy czekałam na Briana na brzegu i patrzyłam na nasz jacht, wydawało mi się, że widzę dwoje ludzi splecionych w ciasnym uścisku, ale tak mało mnie to wtedy interesowało, że właściwie nie miałam pewności, czy wzrok mnie nie mylił. Przede wszystkim jednak zdałam sobie sprawę z czegoś, czego przed tymi wakacjami nie wiedziałam: że ojciec wciąż ogląda się za kobietami. Kiedy schodziliśmy na ląd i pojawiały się nowe twarze, wręcz wpadał w euforię. W restauracjach zawsze upatrzył sobie wśród gości jakąś dziewczynę, na którą zerkał częściej niż na inne. Nie wiedziałam, czy w ten sposób przeżywał tylko wyimaginowane przygody, czy też wprowadzał fantazje w czyn. Ale kiedy wyjeżdżał na całe dni do pracy w Warszawie, z pewnością miał drugie życie, złożone z drobnych, ekscytujących spotkań. I Karolina musiała mieć tego świadomość.

Na nią wakacje wydawały się wpływać najgorzej. Jej wybuch w restauracji w Ajaccio nie był przypadkiem. Wobec mnie nadal zachowywała się jak urażona księżna vel Isabelle Huppert. Z pewnością ciężko przeżyła moją nagłą rezygnację ze świata urody, do którego chciała mnie zaprosić, i wzięła sobie za punkt honoru udowodnienie mi na każdym

kroku, jak wiele straciłam. Uważała mnie za dziewczynę nieatrakcyjną i w dodatku głupią. Nie byłam tym wszystkim szczególnie urażona. Tak jak mój ojciec przestał być dla mnie najważniejszy, tak też Karolina straciła magiczną moc ranienia mnie. Przeciwnie, w gruncie rzeczy cieszyłam się, że ma takie zdanie o mojej powierzchowności — dzięki temu nie podejrzewała, że pomiędzy mną a Brianem mogłoby się coś wydarzyć. Moje przekomarzania z ojcem, często wesołe i pełne pozornego porozumienia, kwitowała sarkastycznymi uwagami. Wobec niego była opiekuńcza, ale też pełna pretensji, na które on odpowiadał obojętnością graniczącą z pogardą. Czasami łowiłam jej spojrzenie, wpatrzone w dal, smutne. Z pewnością przeżywała dramaty, ale nie chciało mi się nimi zajmować.

Po rozkosznych plażach Bonifacio, pełnych ukrytych zatoczek i białego piasku, z których Brian i ja w pełni skorzystaliśmy, wracaliśmy na Lazurowe Wybrzeże. Pierwszym planowym przystankiem było Saint-Tropez; Karolina zobaczyła w tym nadzieję na odzyskanie równowagi. Znow zaczęły się enigmatyczne aluzje do jej wspaniałych przygód we Francji, które miały chyba za zadanie wzbudzić w moim ojcu zazdrość. Ale najbardziej

ze wszystkiego Karolina nie mogła doczekać się sklepów. Opowiadała o tamtejszych butikach i wyglądało na to, że doskonale opanowała topografię miejsc sprzedaży ubrań i torebek w Nicei. W każdym sklepie zostawiła już kiedyś kawałek serca — to znaczy kilkaset czy kilka tysięcy euro.

— Kostiumy kąpielowe tylko u... — tu podawała nazwę sklepu — przy nadmorskim deptaku. W tym roku mają naprawdę piękne, widziałam we francuskim „Vogue’u” — mówiła ze znanstwem. — Torebki najchętniej obejrzę u... — padała kolejna nazwa i adres. Z uporem używała obcej formy „u” i „od” — „u Chanel, od Marca Jacobsa”, podkreślając niepolskie pochodzenie swojego gustu. — Widziałam już większość tej kolekcji w Mediolanie, ale chętnie jeszcze raz obejrzę — dodawała rzeczowo, jakby śledzenie nowych modeli ubrań było najpoważniejszym zajęciem na świecie.

Kiedy w końcu na horyzoncie pojawiły się czerwone dachy Saint-Tropez, westchnęła:

— Jak cudownie wrócić do cywilizacji.

Zupełnie jakby spędziła dziesięć lat w dżungli.

Uśmiechała się z ulgą, obserwując zbliżające się nabrzeże. Kiedy oparliśmy się rufą o odbijacze, stała przy trapie, pospieszając załogę, żeby prędzej cumowała.

— Za półtorej godziny zamkną sklepy — wyjaśniła zaaferowana.

Karolina liczyła na to, że butiki Saint-Tropez pozwolą jej odzyskać siebie — taką, jaka była przed wakacjami. Bo atmosfera wakacji okazała się zupełnie inna, niż chciała, przeze mnie i przez mojego ojca. A może nawet liczyła na to, że odzyska siebie taką, jaka była kiedyś, dawno temu, zanim ich drogi się przecięły? Nie sądziłam, żeby dręczyło ją poczucie winy, a jednak myślałam sobie z satysfakcją, że to, w co się uwikłała — związek z mężczyzną, który wprawdzie dał jej dowód miłości, zostawiając dla niej żonę i dziecko, lecz w ten sposób zarazem pokazał, że jest zdolny ranić innych — ostatecznie okazało się pełne złych uczuć. Nie miały one może wielkiej siły, nie mogły zrobić jej nic naprawdę złego, pogрузić jej, doprowadzić do rozpacz. Ale mogły cicho, niepostrzeżenie wysysać życie z marzenia, które, jak sądziła, udało jej się urzeczywistnić — aż w końcu stało się ono tylko czymś podobnym do roześmianego zdjęcia z wakacji.

Ale nie tylko Karolina zdawała się czekać na powrót na Lazurowe Wybrzeże. Choć w ostatnich dniach moją uwagę niemal całkowicie pochłaniał niebezpieczny teatr zakazanej miłości, dostrzega-

łam, że Maja jest coraz bardziej zadumana i milcząca. Kładła się na pokładzie z dłońmi splecionymi pod głową i z dziwnym uśmiechem wpatrywała się w niebo i rozsiane na nim z rzadka niepozorne chmurki, jakby rzucając im nieme pytanie, na które i tak nie spodziewała się usłyszeć odpowiedzi. Wczesnym wieczorem mówiła, że jest zmęczona, i zamykała się w swojej kajucie, podczas gdy Brian długo jeszcze zostawał na pokładzie z resztą towarzystwa. Wprowadziła też zwyczaj poobiedniej drzemki, której się oddawała, zamiast uczestniczyć w naszych kąpielach. Z pewnością nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo ułatwiała życie Brianowi i mnie — miałam wrażenie, że jest oddalona od naszych ziemskich spraw o całe lata świetlne i że nawet gdyby coś dostrzegła, nie byłaby w stanie tego zrozumieć. Czekala na coś, ale wiedziała, że to coś nie może wydarzyć się teraz, i dlatego teraz przestało mieć dla niej znaczenie.

Zaraz po tym, jak Karolina zeszła na ląd w Saint-Tropez, Maja włożyła szorty i T-shirt i wybiegła za nią, rzucając Brianowi i mnie jakieś zawile wyjaśnienie. Jak dotąd nigdzie nie ruszała się sama, powinniśmy się więc zdziwić, a jednak zbyt byliśmy pochłonięci wyobrażaniem sobie korzyści, jakie może nam przynieść jej nieobecność. Zwłaszcza

że ojciec wraz z kapitanem i stewardem poszedł do kapitanatu załatwić sprawy formalne, Vera zaś nie miała zwyczaju kręcić się koło naszych kajut. Nasza relacja domagała się coraz to nowych podniet i taka ryzykowna chwila wyrwana nagle z popołudnia była dokładnie tym, czego potrzebowaliśmy. Kochaliśmy się długo, leniwie, aż usłyszeliśmy czyjeś kroki na trapie. Odepchnęłam Briana i zaczęłam się pospiesznie ubierać.

— Boisz się? — spytał łobuzersko, podchodząc do mnie i próbując przewrócić mnie na łóżko. Był czuły, ale i pełen arogancji, która przypomniała mi początek naszej znajomości.

— Oczywiście, że się boję. Dokończymy w nocy na deku. O północy? — szepnęłam z roztargnieniem, wsłuchując się w odgłosy na górze. Ostatnio Brian stawał się coraz mniej ostrożny i nie pierwszy raz musiałam go temperować.

— Przestań, ja się nie boję — powiedział zupełnie głośno i zaczął całować mnie w szyję. Nagle dodał coś, co powinno mnie zaalarmować: — To i tak musi się wydać.

Ale ja już wychodziłam z kajuty, starając się robić jak najmniej hałasu i przygotować wyraz twarzy na spotkanie towarzyszy podróży.

Był to dziwny wieczór. Maja i Karolina wróciły z miasta razem, niosąc kilka papierowych toreb z eleganckich sklepów. Wydawały się mieć jakiś wspólny sekret. Karolina przymierzała nowe sandały, szepcząc coś do Mai, podekscytowana jak nastolatka. Później wszyscy wyszliśmy na spacer po mieście, z planem, by udać się na główny plac Saint-Tropez i zjeść kolację w jakiejś eleganckiej restauracji nieopodal. Maja wyglądała zjawiskowo; złota nitka w sukience nawiązywała do koloru jej oczu, który wydawał się dzięki temu niepokojąco intensywny. Nie mogłam oderwać od niej wzroku. Ale Brian widział swoją dziewczynę jak przez mgłę, zajęty wyłącznie rzucaniem mi porozumiewawczych, pełnych wyrzutu spojrzeń. Nadal miał mi za złe popołudniową ostrożność i wyraźnie nie mógł się doczekać obiecanego zadośćuczynienia. Kiedy ojciec zaproponował drinki, wykręcił się bólem głowy i oznajmił, że woli wrócić na jacht.

Tak jak się spodziewałam, pojawił się na deku natychmiast po tym, jak wszyscy zniknęli w kajutach.

— Powiedziałem jej, że idę pisać wiersze — szepnął filuternie, jakby ten wybieg budził w nim tylko dumę.

Kochaliśmy się potem długo, z rozkoszą, jaką daje oczekiwanie, nie zwracając nawet uwagi na to, że załoga jachtu cumującego obok wcale jeszcze nie poszła spać. Dopiero następnego dnia wieczorem, zasypiając, przypomniałam sobie słowa Briana: „to i tak musi się wydać”. Nadal jednak próbowałam rzucić je na karb szaleństwa niezaspokojonego pragnienia.

Było późne popołudnie. Płynęliśmy do Nicei. Maja zniknęła w kajucie, Karolina przeglądała nowy numer „Paris Match”, który kupiła w Saint-Tropez, a ojciec wdał się w rozmowę z kapitanem. Siedziałam w zacisznym miejscu z *Mdłościami* Sartre’a. Była to czwarta książka, którą czytałam w te wakacje, i miałam nadzieję, że uda mi się ją skończyć, zanim zawiniemy do portu. Po paru minutach pojawił się jednak Brian.

— Maleńka — powiedział, kucnął obok mnie i położył mi rękę na ramieniu. Jeszcze nigdy nie zwracał się do mnie tak czule.

Odchyliłam głowę, żeby poddać się jego pieśczoce.

— To ostatnia noc wakacji. Postanowiłem to uczcić i zarezerwowałem pokój w hotelu Suisse. Znowu mieliśmy szczęście, że ktoś odwołał przy-

jazd — zaczął masować mi kark. — To musi być przeznaczenie.

— A jak zamierzasz to zorganizować? — powiedziałam, przechylając się, żeby musnąć policzkiem jego rękę.

Wydawał się zaskoczony, jakby w ogóle się nad tym nie zastanawiał.

— Nie wiem. Możesz niby iść na spotkanie z tym twoim Francuzem. A ja powiem Mai, że chcę jej zrobić niespodziankę i muszę wyjść do miasta.

Na wspomnienie o Mathieu jakiś głos zapłakał cicho w mojej głowie. Od naszego wypłynięcia z Nicei minęło zaledwie dziesięć dni, a miałam wrażenie, jakbym przeżyła całe życie. Potem przyszło mi do głowy, że to, co Brian planuje powiedzieć Mai, jest okrutne. Maja pomyśli przecież, że chodzi o pierścionek zaręczynowy. Powiedziałam to Brianowi.

— Dlaczego tak myślisz? — spytał. Po raz drugi w ciągu paru minut wydawał się zaskoczony najoczywistszym według mnie faktem.

— Ponieważ Maja czeka na twoje oświadczenia — wyjaśniłam trochę niecierpliwie. Byłam tego tak pewna, jakby sama mi o tym powiedziała, i kompletna nieświadomość Briana w tej kwestii zirytowała mnie.

— Co ty mówisz? — roześmiał się z niedowierzaniem, które mi się nie spodobało.

A więc przez cały ten czas był kompletnie ślepy na uczucia Mai i nie zdawał sobie sprawy, że na coś niecierpliwie czekała? Ale nie był to moment, żeby cokolwiek mu tłumaczyć.

— To o której się widzimy? — spytałam pośpiesznie.

— O szóstej? — głos Briana brzmiał nadal niepewnie, ale możliwość spotkania wyraźnie poprawiła mu nastrój. — Jest jeszcze coś. — Zrobił minę zawstydzonego ucznia, która zupełnie do niego nie pasowała. — Mówiłem ci kiedyś, że chodziłem na zajęcia z twórczego pisania... I że teraz do tego wróciłem...

— Mhm... — Jakoś nie mogłam wykrzesać z siebie entuzjazmu.

Wydał mi się nagle żaloszny. Jego męskość i arogancja gdzieś przepadły i był teraz tylko nieśmiałym amerykańskim turystą, w dodatku o krok od zakochania.

— Znasz się na literaturze. Może chciałabyś przeczytać coś, co napisałem? Taki wiersz to się chyba nazywa sonet — powiedział z rozbrajającym uśmiechem.

Wzdrygnęłam się i spojrzałam na niego niechętnie.

— To słodko — odparłam, niepewna, jaki ton może przywrócić go do porządku. — Chętnie przeczytam. Może potem?

Pocałowałam go w usta, ale Brian odsunął się i spojrzał na mnie poważnie.

— To by dużo dla mnie znaczyło — powiedział. — Dobrze?

Nagle wpadła mi do głowy myśl, że tylko o to mu chodziło od samego początku: żebym przeczytała jego wiersze. Myśl niepozobawiona pewnej symbolicznej prawdy. Ostatecznie, czy nie chodziło mu o to, żeby stać się przy mnie kimś innym? A zresztą czy i mnie nie chodziło o to samo?

— Dobrze. Ale wiesz, ja się nie znam na poezji. Prawie jej nie czytam — skłamałam. — Uważam, że poezja jest zbyt poetyczna — przypomniałam sobie, że coś takiego napisał Witold Gombrowicz. — A ja jestem raczej przyziemna. Wolę powieści, najlepiej takie złe i zimne — rozwijałam teorię, która była tylko efektem mojego obecnego nastroju.

— Napisałem go z twojego powodu — dodał odważnie i popatrzył mi w oczy.

Wzdrygnęłam się.

— Ach, więc to jest wiersz tego rodzaju — powiedziała ze sztuczną wesołością.

— Nie, głuptasie — odparł. — To jest wiersz o miłości.

Jeszcze przez chwilę lustrował mnie wzrokiem spaniela. Potem wcisnął mi do ręki kartkę i poszedł.

Zostałam sama z jego wierszem. Włożyłam go w *Mdłości* Sartre'a i to było właśnie to, co czułam. Mdłości. A także bliżej nieokreślony lęk i jeszcze nadzieję, że to wszystko zaraz się skończy.

Ostatni wieczór pamiętam tak wyraźnie, jakby wydarzył się wczoraj — albo jakby nigdy nie przestał się wydarzać, ponieważ odtąd nieustannie musiałam przeżywać go od nowa. Teraz, gdy patrzę na tamte wakacje z perspektywy czasu, moja nieumiejętność przewidzenia przyszłości wydaje mi się godna pożałowania. Ale tym, co jeszcze bardziej mnie uderza, jest kompletna ślepota, jaką wykazywałam w kwestii teraźniejszości rozgrywającej się na moich oczach. Bo czy znaczenie opisanych tu wydarzeń nie powinno być całkowicie jasne, i to od samego początku, dla każdego, kto widziałby coś poza sobą? Ale ja nie należałam do tej kategorii i nie mam na to żadnego usprawiedliwienia. Co więcej, nie chcę go mieć. Bo czy przy odrobinie wysiłku nie mogłabym znaleźć jakiejś racji po swojej stronie? Czy nie mogłabym znowu wrócić do ponurych

spraw dzieciństwa, które tak długo było dla mnie składem poręcznych wymówek? Nie, nie chcę mieć niczego na swoją obronę, mam już stanowczo dość szukania wiecznie czegoś na swoją obronę, zwłaszcza że jest to zawsze dokładnie to samo. I dodajmy, iż mitem okazuje się przypuszczenie, że co nas nie zabije, to nas wzmocni, cierpienia zaś uczynią z nas lepszych ludzi! Bo przecież zazwyczaj jest całkiem odwrotnie — co nas nie zabije, to nas osłabi do końca życia, cierpienia zaś uczynią z nas ludzi gorszych, zapatrzonych w siebie, skłonnych do wybaczenia sobie wszystkiego i przez to do ranienia innych. Tamtego lata zmierzaliśmy do nieuniknionej katastrofy, a ja czytałam powieści i cieszyłam się, że dzięki zakazanemu romansowi przestanę być biednym kaczątkiem! A więc niech przestanę być biednym kaczątkiem i odbiorę mojej krzywdzie prawo do dostarczania mi usprawiedliwień. Ostatecznie, czy przyznanie się do winy nie jest najbardziej suwerennym dowodem dorosłości?

Tamtego popołudnia nie mogłam skoncentrować się na Sartrze, ale perspektywa sięgnięcia po wiersz Briana całkowicie mnie odrzucała. Nie wiedziałam, co bardziej mnie odstrasza: to, że mój grzeszny kochanek, amerykański superman, pisze wiersze

o miłości, czy to, że pisze je dla mnie. Znów przypomniałam sobie Mathieu. Jego zainteresowania literackie były całkowicie na miejscu, były wręcz dowodem na to, że pasujemy do siebie. Z nim mogła łączyć mnie literatura. Z Brianem mogły mnie łączyć wyłącznie seks i jeszcze to ciche uczucie triumfu, który był głównie triumfem nad samą sobą. Wydawało mi się, że to właśnie pociągało go we mnie na początku — czyżby o tym zapomniał?

Wstałam i wychyliłam się za burzę, wystawiając twarz do wiatru. Silnik huczał, i nie usłyszałam, że ktoś do mnie podchodzi. Podskoczyłam dopiero wtedy, kiedy ręka Mai dotknęła mojej łopatki. Po chwili poczułam przy twarzy jej oddech. Podniosłam wzrok — na policzku miała odgnieciony ślad poduszki, widocznie właśnie się obudziła. Jej włosy, rozwiewane wiatrem, wpadały mi do oczu. Pachniała snem i szczęściem — choć, pomyślałam sobie, nie miała do tego dobrych powodów.

— Przyszłam, żeby ci powiedzieć — oznajmiła uroczyście.

Po czym wzięła moją rękę i położyła na swoim brzuchu. Brzuch był twardy i płaski, brzuch wysportowanej Amerykanki. Rzuciłam jej pytające spojrzenie.

— No, nie rozumiesz? — spytała niecierpliwie.

I nagle doznałam olśnienia. Z wrażenia zakręciło mi się w głowie. Spod kadłuba jachtu tryskały fontanny wody i leciały prosto na nas, ale tym razem nie miały przyjemnej, oczyszczającej mocy, były jak zimne bicze, które sprawiały mi ból. Widziałam, jak wszystkie części układanki wpadają na swoje miejsce — chociaż dotąd nie zdawałam sobie sprawy, że w ogóle jest jakaś układanka. Bo mnie to nie interesowało, bo zbyt byłam zajęta sobą i swoją żalosną rozgrywką, która miała zakończyć mój mały dramat. Nie zapytałam Mai, czy w końcu dostała okres — po prostu wyleciało mi to z głowy. Potem przedłużająca się choroba morska i brak apetytu, i tajemniczość, jakby na coś czekała — nie zastanowiłam się nad ich prawdziwym znaczeniem, bo mnie nie obchodziły. A raczej, zastanawiając się, nadawałam im mylne znaczenie, które mieściło się w moim projekcie egzystencjalnym — ale nie jej. Nie wiedziałam nawet, że jest jakiś inny projekt niż mój; jakże byłam głupia. Dopiero teraz zrozumiałam, na co naprawdę czekała przez te wszystkie dni, kiedy Brian i ja dobrze się bawiliśmy. Czekala na moment, w którym będzie mogła zrobić test ciążowy.

Spojrzałam na nią z przerażeniem. Nie byłam pewna, czyj los jest gorszy, jej czy mój.

— Boże. I co zrobisz? — spytałam. Musiałam być blada jak ściana nadbudówki, przy której stałyśmy.

— Mówiłam tylko Karolinie — powiedziała. — Brian jeszcze nie wie. — Jej głos był pełen entuzjazmu, jakby nowina, którą właśnie mi przekazała, miała rozradować cały świat. — Powiem mu w bardziej uroczystych okolicznościach. Może dziś wieczorem...

— Więc dlaczego mówisz najpierw mnie?

Przepełnęła przeze mnie druga fala strachu — że ona wszystko wie i chce mnie oskarżyć.

— Nie wiem... Pomyślałam, że może teraz zrozumiesz, jakie to szczęście nosić w sobie dziecko. — Nie byłam pewna, czy jej ufność nie jest straszniejsza niż oskarżenia, na które zasłużyłam. — To wielkie szczęście. Ty też kiedyś to zrozumiesz.

— Czy... planowaliście? — spytałam, nie patrząc na nią.

— Nie chcieliśmy być jedną z tych par, które czekają na dziecko do czterdziestki, a potem okazuje się, że jest za późno — odpowiedziała wymijająco.

— Do czterdziestki macie jeszcze trochę czasu — szepnęłam, jakbym chciała zaczarować rzeczywistość. Ale rzeczywistość trwała przede mną niezmienna i nieubłagana i miała postać czułego, matczynego uśmiechu Mai.

— Jeśli to będzie dziewczynka, nazwę ją Danuta, po mojej babci. A jeśli chłopiec, to Kazimierz. Kaz, to brzmi ładnie, prawda? — cieszyła się, jakby sama była jeszcze dzieckiem. — Wychowamy je w polskiej tradycji — tłumaczyła poważnie. Wszystko miała dawno przemyślane. Teraz wiedziałam, co chodziło jej po głowie, kiedy patrzyła w zadumie na niebo. A ja myślałam, że to są tylko moje chmury. W rzeczywistości jednak należały przede wszystkim do niej. Uśmiechając się, dodała: — Będziemy idealną rodziną.

Nie odezwałam się. Czułam się podobnie jak wtedy, gdy w wieku dwunastu lat przeczytałam *Annę Kareninę* i potem śniło mi się, że rodzę dziecko i je opuszczam. To były sprawy, do których jeszcze nie dorosłam. Miałam niemal pretensję do Mai, że psuje moją dziecienną zabawę, i już, już zaczynało mnie ogarniać znajome poczucie krzywdy, utkane ze wspomnień stołków, spakowanych walizek i pustych skrzynek pocztowych. Ale tym razem wydało mi się ono wstrętne i oszukańcze.

Zbliżaliśmy się do miasta i zaraz zobaczyłam znajomą linię brzegu, wzdłuż której łagodnym łukiem biegnie Promenada Anglików, żeby na wysokości hotelu Suisse wbić się w morze ostrym cyplem.

Jeszcze chwila i moim oczom ukazały się znajome kolory: łososiowa czerwień i kremowa biel fasady budynku, w którym zaczęło się to, co jeszcze przed chwilą uważałam za niewinną przygodę i swoje zwycięstwo, a co okazało się upadkiem i katastrofą. Poczułam, jak łzy napływają mi do oczu.

Chciałam natychmiast pobiec do Briana, powiedzieć mu, co się stało i żeby dał sobie spokój z naszym spotkaniem. Za chwilę jednak przybijaliśmy do brzegu i Brian stał z innymi na pokładzie. Nie miałam szans porozmawiać z nim w cztery oczy. Usłyszałam jeszcze, jak mówi Mai, że musi wyjść na miasto coś załatwić, i złapałam jej pełne nadziei spojrzenie oraz uśmiech Karoliny, która podeszła do niej i pogłaskała ją po włosach:

— Nic nie mówiłam. Może sam się domyślił — powiedziała.

Maja się uśmiechnęła i zerknęła na mnie porozumiewawczo.

Odwróciłam się i wbiegłam na górny pokład, żeby na nią nie patrzeć, ale tam trafiłam wprost na ojca, który właśnie obejmował Verę. Na mój widok wyrwała mu się i uciekła. Ojciec zaśmiał się trochę za głośno i zrobił niepewny krok w moją stronę.

— Co słychać? — spytał bez sensu.

Odburknęłam coś, łapiąc oddech, i postanowiłam nie komentować jego zachowania. W świetle tego, czego się właśnie dowiedziałam, jego uściski z Verą stanowiły drobny szczegół.

— I jak, cieszysz się ze szczęścia Mai? Macierzyństwo! — powiedział jowialnie. Nie wiedziałam, czy dziękuje mi tą nowiną za dyskrecję, czy tylko próbuje zmienić temat. Ciekawa byłam, skąd wie. Choć właściwie jakie to miało znaczenie?

— Uważasz to za szczęście? — wybuchnęłam. Gdyby wiedział... A zresztą, może wiedział. Ale i to wydało mi się teraz bez znaczenia.

— Nie sądzisz, że dziecko to szczęście? — w jego głosie obok ulgi było też rozbawienie.

— Oczywiście, że nie — odpowiedziałam ze złością.

— Naprawdę? Dlaczego? — dociekał wesoło. — Czy dlatego że z takich niewinnych istot jak dzieci wyrastają takie potwory jak ludzie? Bolesław Prus. — Wesołym tonem dawał popis opanowania po tym, jak został przeze mnie nakryty.

Czyżby ze wszystkich osób na świecie właśnie on uważał, że dziecko to szczęście? Jak mogłam nazwać to uczucie, które zaczynało mnie ogarniać? A raczej które zaczęłoby mnie ogarniać, gdybym nie

była teraz całkowicie zajęta innymi, gorszymi uczuciami? Jakby ktoś potrząsał kalejdoskopem, w który patrzyłam od lat, i pokazywał mi zupełnie inny obrazek. Albo jakbym została oszukana.

— Może dlatego że mnie opuściłeś — powiedziałam niedbale. Jeszcze nigdy w żadnej rozmowie z ojcem nie wyraziłam tak dosłownie tego, co czułam. W innej sytuacji powinnam uważać to za wielki wyczyn, ewentualnie drżeć ze strachu, jak zareaguje. Ale teraz, wobec tego, co się właśnie wydarzyło, moje słowa wydawały się pozbawione jakiegokolwiek ciężaru. Były tylko przyjemnym przerwaniem i pozwalały uniknąć myślenia o tym, co zrobiłam.

— To nie miało nic wspólnego z tobą. — Objął mnie niemal czule.

Jego koszulka była wilgotna od potu i wydało mi się, że pachnie Verą. Chciało mi się od tego wymiotować.

— Dla mnie miało — powiedziałam cicho.

Ale przecież i tak wszystko było zepsute. Czekałam na tę rozmowę od czternastu lat, teraz jednak była już zupełnie nieistotna.

Po rozmowie z ojcem pobiegłam do kajuty przebrać się w elegancką sukienkę, żeby uwiarygodnić randkę z Mathieu. Wcisnęłam jedyne sandały na obcasie, jakie miałam, i zerkając na telefon komórkowy, jakbym czytała czuły SMS, oznajmiłam, że jestem umówiona. Byłam zdenerwowana — to jednak wszyscy mogli złożyć na karb zbliżającego się spotkania.

Maja popatrzyła na mnie znacząco, ale z uśmiechem.

— Tylko uważaj na siebie — powiedziała prawie wesoło.

Nadal nie pochwalała mojej relacji z Mathieu, lecz jej własny sekret zaprzętał ją teraz znacznie bardziej. Dzięki temu stała się łagodniejsza w ocenianiu innych. Ona nigdzie się nie spieszyła. Czekala na Briana.

Ojciec puścił do mnie oko na pożegnanie.

— Tylko nie rób nic, czego ja bym nie zrobił — powiedział, uważając widocznie, że odtąd jesteśmy sprzymierzeńcami.

— Niewiele jest takich rzeczy — odparłam i poczułam, jak łzy napływają mi do oczu. Teraz już wiedziałam, że niewiele jest też rzeczy, których ja bym nie zrobiła.

Zeszłam na pomost i ruszyłam w głąb portu. Do hotelu Suisse było ładnych kilkanaście minut i po chwili musiałam zdjąć buty, bo bałam się, że skrećę kostkę. Właściwie było mi to obojętne, nic, co mnie dotyczyło, nie miało teraz znaczenia, ale skrećwszy kostkę, mogłabym nie dotrzeć do celu, a przede wszystkim musiałam natychmiast porozmawiać z Brianem. Musiałam z nim porozmawiać, zanim będzie za późno — tak jakby już od dawna nie było za późno.

Na łodzi panował upał nie do wytrzymania i po paru minutach szybkiego marszu byłam zła na potem. Ludzie oglądali się za mną — oczy miałam czerwone od płaczu, bosa stopy, poparzone od gorącego asfaltu, nie komponowały się najlepiej z designerską sukienką od Karoliny. Nagle, kiedy przechodziłam obok jednej restauracji, usłyszałam, że ktoś wymawia moje imię. Odwróciłam się

ze strachem, spodziewając się nie wiadomo czego, może najbardziej kary boskiej. Zobaczyłam jednak znajomą postać Mathieu. Opuścił stolik, który zajmował ze znajomymi, i biegł w moją stronę. Uśmiechał się radośnie, jakby spotkanie ze mną było najwspanialszą rzeczą, jaka mogła mu się przytrafić.

— Wtedy tylko tak myślałem, ale teraz jestem już pewien. To przeznaczenie — powiedział, całując mnie w oba policzki, tak jak to robią Francuzi.

Bałam się, że może być na mnie zły za to nagłe zniknięcie. Ale nie, w jego głosie nie było nawet śladu sarkazmu. Mathieu wydał mi się jeszcze wyrazistszy niż przed dziesięcioma dniami. Zwróciłam uwagę, jak wydatne, jakby spuchnięte, są jego wargi. Oślonił oczy przed słońcem delikatnym, chłopięcym ruchem, w którym zawarły się cały wdzięk i zepsucie Południa. Był zachwycający, nie miał nic wspólnego z dwojgiem jasnowłosych Amerykanów i małym piekłem, które mnie z nimi łączyło.

— Gdzie tak biegniesz? Może podrzucić cię na skuterze? — spytał, opierając się leniwie o murek, który w tym miejscu odgradzał promenadę od morza.

Dziesięć dni rozstania zatarło nieco naszą zażyłość, ale powrót do niej wisiał w powietrzu jak zapowiedź wieczornego chłodu w upalne popołudnie. Czułam, że wystarczy kilka słów, parę minut

spędzonych razem, by wszystko znowu wróciło i otoczyło mnie szczęściem. Wymyśliłam szybko jakieś kłamstwo. Swoją drogą, to zdumiewające, jak ostatnio nauczyłam się kłamać.

— To może spotkamy się potem? Nie powinnaś wracać do Polski, póki nie zobaczysz widoku z gór na Cap Ferrat — powiedział siadając na murku i biorąc mnie za rękę. Jego gesty były naturalne i delikatne, nie takie jak gesty Briana.

Byliśmy niedaleko wierzchołka cypla; droga biegła kilka metrów nad morzem. W tej chwili minął nas jakiś nastolatek, odbił się od murku i skoczył do wody. Podniosłam głowę i zobaczyłam, że w pobliżu stoi kilku chłopców i czeka na swoją kolej.

— Też tu kiedyś skakałem. Dno jest głęboko. Trzeba tylko uważać, żeby nie skoczyć w bok, tam gdzie pod wodą są skały. — Mathieu bawił się palcami mojej dłoni. Wydało mi się to zarazem niewinne i całkowicie jednoznaczne — jakby taka właśnie była w jego świecie miłość i dlatego nie musiał się z nią ukrywać. Pod tym względem nie przypominał żadnego innego chłopaka, jakiego znałam, i zupełnie nie przypominał Briana. Miłość była dla niego naturą i sztuką zarazem, a nie przestępstwem i wstydem. Była lekka i orzeźwiająca, a nie bolesna

i pełna cierpienia. Ile dałabym teraz za taką lekkość uczuć Briana!

Miałam żal do siebie, że nie zaczęłam się spotykać z Mathieu. Z nim wszystko potoczyłoby się zupełnie inaczej. Mathieu mogłabym opowiedzieć o Brendzie i Neilu — cokolwiek by na ten temat powiedział, byłoby interesujące i seksowne. Widziałam w wyobraźni, jak siedzimy w nocy na jakimś poboczu drogi nad Cap Ferrat i patrzymy na gwiazdy oraz na morze w oddali. I wiedziałam, że czułabym się tam na swoim miejscu.

Ale może była jeszcze nadzieja? Może wszystko da się jeszcze odkręcić, a potem zapomnieć o nich, tak jakby nigdy nie istnieli — o ojcu, Karolinie, Mai i Brianie. Zostać z Mathieu i zająć się swoim życiem — takim, jakie będzie miało coś wspólnego ze mną.

— Czekał na mnie — powiedziałam, ściskając jego ramię. — Muszę coś załatwić, ale potem do ciebie napiszę i się spotkamy, dobrze?

— Czekam na ciebie. — Uśmiechnął się, poprawiając kołnierzyk koszuli. W jego oczach błyszczały światła Nicei i wołały mnie do siebie.

W hotelu Suisse recepcjonistka rozpoznała mnie i uśmiechnęła się, podając numer pokoju. Próbo-

wałam odgadnąć, czy traktuje mnie z lekceważeniem — wydawało mi się, że cały świat wie, co zrobiłam — ale jej twarz była obojętna, po francusku ostra, nieprzenikniona. Wbiegłam po schodach na drugie piętro i znalazłam Briana w rozpiętej koszuli, z butelką szampana w ręku. Na mój widok jego oczy zrobiły się szkliste.

— Kochanie — powiedział, biorąc mnie w ramiona. — Odliczałem każdą minutę do twojego przyścia. Nie pamiętam, kiedy tak na kogoś czekałem.

Na łóżku leżał pęk czerwonych róż — mogło ich być dwadzieścia, były piękne, świeże, o długich, grubych łodygach.

— To dla ciebie. Czy nie tak właśnie robią Europejczycy? — powiedział z ironią, którą próbował pokryć wzruszenie.

Jego włosy były jeszcze mokre, widocznie dopiero wyszedł spod prysznic. Pachniał mydłem i wodą kolońską. Ale tym razem, po raz pierwszy, jego pocałunki mnie denerwowały.

— Jak wyjaśnisz ten alkohol Mai? — spytałam, wskazując wzrokiem butelkę szampana, którą najwyraźniej zamierzał zaraz otworzyć. Mój głos brzmiał chłodno, odpychająco.

— W ogóle nie będę jej wyjaśniał — powiedział radośnie. — Właśnie chciałem ci powiedzieć...

Wzdrygnęłam się z odrazą i strachem. To było właśnie to, czego tak się bałam, to, co sprawiało, że pędziłam boso przez całe nabrzeże. Jeszcze chwila i wszystko będzie stracone.

Zatkałam mu usta ręką i krzyknęłam:

— Ona jest w ciąży!

Brian patrzył na mnie z uśmiechem. Widziałam, że nie bardzo rozumie, co do niego mówię.

— Chodź tutaj. — Zrobił krok w moją stronę, żeby znowu mnie objąć. — Dlaczego ciągle mówisz o niej? Tylko ty się dla mnie liczysz. Przecież wiesz. — Jego usta były ciepłe i miękkie; obrzydliwe.

— Ona będzie miała z tobą dziecko! — powtórzyłam w panice. — Nie ma znaczenia, co do mnie czujesz. To nikogo nie obchodzi.

Dopiero teraz Brian zbladł i usiadł na łóżku. Widziałam, że nowina powoli do niego dociera, ze wszystkimi konsekwencjami. Ukrył twarz w dłoniach.

Podeszłam do okna i patrzyłam na zatokę. Było jeszcze jasno, ale odnalazłam ten sam widok, który studiowałam jedenaście dni temu, kiedy wszystko się zaczęło. Przed oknami poruszały się liście palmy smaganej wieczorną bryzą. Ulicą pędziły skutery, posyłając w dal odgłosy śródziemnomorskiego miasta, które przypominały mi, że gdzieś tam, nieda-

leko, ze swoim pochmurnym spojrzeniem i błyskotliwymi uwagami na temat książek, czeka na mnie Mathieu. Morze, gdzie indziej spokojne, rozbijało się tutaj o nabrzeże. Patrzyłam na ten widok, który podziwiałam tak niedawno z tej samej perspektywy, ale teraz wydawałam się sobie starsza, o tyle lat starsza — jakbym od tego czasu przeżyła nie półtora tygodnia, ale całe życie.

W końcu usłyszałam, że Brian wstaje i podchodzi do mnie. Wziął mnie za rękę tak zachłannie, jakbym zaraz miała mu się wymknąć.

— Nie mogę z nią być — powiedział cicho, z pokorą, jak nieszczęśliwe dziecko. — Myślę tylko o tobie.

Wyrwałam mu się.

— Nieprawda. To jest tylko głupie oczarowanie. — Użyłam słowa *infatuation*, pięknego słowa z piosenek, które miało w nich tyle znaczyć. Ale teraz zaklinałam je, żeby nie znaczyło nic.

— Nieprawda. Kocham cię — mówił to tak podniośle, jakby zaraz zamierzał przede mną uklęknąć.

Usiadłam na łóżku, a Brian ze mną.

— Posłuchaj, to tylko seks. Tak naprawdę nawet mnie nie znasz — zaczęłam spokojnie, jakby wszystko dało się jeszcze odkręcić słowami.

— Pozwól mi poznać cię lepiej — przerwał mi.

Czułam, że grunt usuwa mi się spod nóg. Co jeszcze miałam zrobić? Przez całe wakacje wydawało mi się, że nad wszystkim panuję, że ta historia, która była przecież tylko historią erotyczną, nie będzie miała żadnych konsekwencji, jeśli ich nie zechcę. Czy raczej nie zastanawiałam się nad skutkami, jakie moje zachowanie mogło mieć dla innych osób. Jedyne, co mnie interesowało, to jego skutki dla mnie samej, dla tego nieszczęśliwego, wyrachowanego przedsięwzięcia, którym było moje życie w relacji z ojcem i Karoliną. I te skutki wydawały się doskonałe, czułam się wolna. To znaczy jeszcze dwie godziny temu czułam się wolna.

Spojrzałam mu w oczy.

— Posłuchaj, Brian, to był żart, eksperyment, sama nie wiem, co to było — mówiłam szybko, szukając natchnienia w rozczarowaniu, które pojawiała się na jego twarzy.

Zagryzł wargi i odwrócił się ode mnie, jakby się wahał, czy ma ulec swojej dumie. Było mi trochę przykro tak go ranić, ale jego uczucia, tak jak i moje, nie miały teraz żadnego znaczenia.

— Mówisz tak, bo jesteś wspaniałomyślna — nie poddawał się. — Ale nie wyrzekaj się naszej miłości. Poradzimy sobie. Będę ojcem dla tego dziecka i nie

zostawię jej w potrzebie. — Zauważyłam, że nagle przestał wymawiać imię Mai, i poczułam ukłucie w sercu, jakby to mnie w ten sposób zdradzał. — Moja rodzina jest bogata, zresztą mam dobrą pracę. — W jego głosie brzmiał ten amerykański optymizm, który znałam z filmów i którego teraz nie znosiłam. — Ale to ty będziesz moją kobietą i następne dzieci będą nasze wspólne — dokończył już prawie wesoło.

Pęd do rozrodczości u tych dwojga był zadziwiający. Czułam się bezradna.

— Co ty mówisz, ja mam dwadzieścia lat! — krzyknęłam. Teraz ja schowałam twarz w dłoniach. Miałam ochotę uciec z tego pokoju i komuś się wyplakać, tylko nie wiedziałam komu.

— Nie byłam z tobą z miłości. Ani przez chwilę. — Zdobyłam się na jeszcze jeden wysiłek.

Milczał. Czułam, że jednak jest mu przykro.

— To dlaczego ze mną byłaś? — spytał chłodno. Wreszcie jego miłość własna zaczynała brać górę nad miłością do mnie.

— Ponieważ chciałam się zemścić na moim ojcu i mojej macosze. A z jakiego innego powodu?! — wyrwało mi się. Była to prawda, przynajmniej do pewnego stopnia, choć przez całe te wakacje nie

zadałam sobie trudu, żeby ją jasno sformułować. Teraz znowu ogarniał mnie żal. Dziecinny żal o to, że nikt z nich nie zauważył tej małej zemsty, a przede wszystkim tego, za co się mściłam.

Wyszłam na balkon i zapaliłam papierosa.

Światła zmieniły się kilka razy i każdą zmianę znaczył warkot skuterów. Gdzieś tam był Mathieu, który czekał na mnie, i widok na Cap Ferrat z gór, i dyskusja o Houellebecqu albo Sartrze. I boja, dzięki której można stać się pisarzem. Gdzieś tam było moje prawdziwe życie.

Nie wiem, jak długo tak stałam. Papieros zdążył się dopalić i jego miejsce zajął drugi. Tuż obok trwał upalny, leniwy wieczór w śródziemnomorskim mieście. Na balkonie obok usiadła para i popijała drinki. W końcu Brian stanął za mną.

— Myślałem o tym, co powiedziałaś. — Przyciągnął mnie do siebie i zaczął całować moją rękę. Był wyraźnie zadowolony z pracy własnego intelektu. Odkrywał przy mnie nowe pokłady wrażliwości i bardzo mu to imponowało. — Przepraszam, nie miałem pojęcia. Jesteś niezwykła, wiesz o tym? — użył słowa *special*, tego okropnego słowa z amerykańskich komedii romantycznych i kartek urodzinowych. — I kocham cię za to jeszcze bardziej, moja biedna dziewczynko.

Teraz całował moją szyję i ścisnął mnie w talii, gotowy, żeby przewrócić mnie na łóżko.

We mnie jednak znowu wzbierał bunt. Bunt wobec tych ponurych, a w rzeczywistości słodkich obrazów z dzieciństwa, które zapełniały moją głowę i w każdej chwili mogły przyjść mi z pomocą.

— Nie jestem żadną biedną dziewczynką — powiedziałam cicho, niechętnie.

— Teraz będziesz już szczęśliwa, obiecuję. — Nie słuchał mnie i błędził rękami po moich piersiach. — Nie pozwolę cię skrzywdzić.

Niemal siłą wydostałam się z jego objęć i podeszłam do drzwi.

— Oczywiście, że nie. Odtąd będziesz krzywdził to dziecko, które rośnie w jej brzuchu. — Nienawidziłam siebie i nienawidziłam Briana, i nie wiedziałam, co przyniesie przyszłość. Wiedziałam tylko, co muszę zrobić, i przez tę wiedzę czułam się nagle oczyszczona; oczyszczona z żalu, krzywdy i wszystkich tych oszustw, które tak bardzo ułatwiały mi życie. — Jeśli powiesz coś Mai, nigdy więcej na ciebie nie spojrzę i stracisz nas obie.

Wyszłam z pokoju. Brian został sam z butelką szampana i kretyńskimi różami na łóżku, którego gładka narzuta powiedziała by postronnemu obserwatorowi, że coś się tutaj właśnie skończyło.

Zamknęłam drzwi i zesłam po schodach z zamiarem, żeby jeszcze raz porozmawiać z Brianem, gdy trochę ochłonie. Nie mogłam zostać, ponieważ moja obecność najwyraźniej odbierała mu rozum. Wciąż byłam boso, buty niosłam w ręce. Sytuacja była trudna, mimo to miałam pewną nadzieję, że uczucia Briana do Mai wrócą. Nagle tak strasznie zaczęło mi zależeć na ich wspólnym szczęściu. Oczywiście powodowały mną poczucie winy i chęć pozbycia się Briana. Ale było w tym coś jeszcze, coś znacznie subtelniejszego i poważniejszego, czego na razie nie umiałam nazwać.

Pierwszą osobą, na którą natknęłam się przy recepcji, była Maja.

— Marta! — szepnęła, zbliżając się do mnie.

Zamarłam, czując, jak na przemian blednę i się czerwienię. A więc to był właśnie ostateczny koniec

wszystkiego? Nadszedł teraz, kiedy wydawało mi się, że jestem o krok od naprawienia całego zła, które wyrządziłam? Nic nie mówiłam, czekając na jej słowa — to był jedyny sposób, w jaki mogłam teraz okazać jej szacunek.

Ale zamiast oskarżenia zobaczyłam w jej oczach tylko rozczarowanie i troskę.

Dopiero po chwili uświadomiłam sobie, że ona ciągle nic nie wie, że nie widziała Briana i być może podejrzewa mnie o spotkanie z Mathieu.

— Tak, cicho, nie mów nikomu — położyłam palec na ustach.

— Przechodziłam i widziałam cię na balkonie, z papierosem — wyjaśniła ze smutkiem. Miała na sobie niebieską sukienkę do kolan, która nadawała jej miły, dziewczęcy wygląd. — Wydawałaś się zdenerwowana. — Nachyliła się do mojego ucha i ściszyła głos. — Czy on ci coś zrobił? — dodała ze strachem, zapinając mi troskliwie ramiączko stanika, które podczas szarpaniny z Brianem musiało się odpiąć.

Poczułam, że wstępuje we mnie nadzieja. Podczas tego rejsu udało mi się wyjść obronną ręką z wielu ryzykownych sytuacji — przecież nie po to, żeby teraz, w ostatniej chwili, wszystko zaprzepaścić. Och, niebezpieczeństwa zostaną zażegnane

i ostatecznie katastrofa wcale nie nadejdzie... Zresztą, czy to, co myślała Maja, nie było niemal prawdą, czy nie miałam zaraz spotkać się z Mathieu, który faktycznie interesował mnie teraz sto razy bardziej niż Brian? I czyż nie było pewne, że Brian w końcu ochłonie, a może już ochłonął, i przypomni sobie swoją miłość do Mai, a ja pozostanę dla niego tylko wspomnieniem romansu, który był niczym więcej, jak tylko małą, głupią, letnią aberracją? I wszystko będzie tak, jakby nic się nie wydarzyło?

Nagle jednak wyraz twarzy Mai się zmienił. Z zatroskanego stał się zdziwiony i pusty, zawieszony pomiędzy radością a rozpaczą. Odwróciłam się i zobaczyłam coś, co zmroziło mi krew w żyłach. Po schodach, jedną ręką zapinając koszulę, w drugiej ściskając róże, blady i wymęczony, schodził Brian. Poczułam, że muszę złapać Maję za ramię, żeby się nie przewróciła. Dwie czy trzy sekundy, które upływały, zanim wzrok Briana padł na nas, trwały całą wieczność.

— Co ty tutaj robisz? — spytała Maja. Jej głos był płaski, pozbawiony życia. Jakby się wahała, czy osunąć się w przepaść, która właśnie się przed nią otworzyła. Nie wiedziałam, czy najzgrabniejsze nawet kłamstwo może jeszcze przywrócić ją światu szczęśliwych.

— Nic nie robi. Spotkałam się z Mathieu i Brian mnie zobaczył, tak samo jak ty, i przyszedł, żeby mnie uratować. Swoją drogą nie rozumiem, dlaczego wy, Amerykanie, zupełnie nie tolerujecie Francuzów — mówiłam gorączkowo, udając pretensję i zaaferowanie. — Mathieu to wspaniały chłopak, naprawdę, jesteście okropnie uprzedzeni.

Modliłam się, żeby Maja okazała się równie naiwna jak zawsze i żeby Brian poparł moją wersję. Dotąd udawało mu się tak pięknie kłamać. Z pewnością uda mu się i teraz, po raz ostatni.

Ale tym razem Brian milczał, patrząc Mai w oczy. I wtedy ona zapytała, najprostszymi, najkrótszymi słowami, jakby ta sytuacja wymagała stuprocentowej prostoty. A może jakby nie było jej stać na nic więcej:

— To nieprawda?

Zanim powiedziała te słowa, jeszcze nie do końca w nie wierzyła, ale raz wyartykułowane, nabrały straszliwej, nieznośnej realności.

— Nie — powiedział głucho. — Kocham Martę. — Jego głos był tak chłodny i daleki, jakby nie łączyło ich już nic.

A ja czułam, że bezpowrotnie coś się we mnie skończyło.

Z następnego dnia zostało mi w głowie wrażenie jakby zachmurzonego nieba, z którego od czasu do czasu wystrzela promyk słońca, by ostatecznie zniknąć, nikogo nie ogrzawszy swoim ciepłem. Była to mieszanina bólu i szaleńczej nadziei, która w końcu pozostawiła mnie rozczarowaną, zawstydzoną i wściekłą na siebie, na świat i na nich — ale przede wszystkim strasznie, nieskończenie smutną.

Obudziłam się rano z bólem głowy i kłębowiskiem myśli, wśród których nadal była cicha nadzieja, że może w nocy wszystko samo się rozwiązało. Najpierw siedziałam długo w kajucie, bojąc się wyjść na pokład, niepewna, kim jestem w ich oczach — czy zostałam znienawidzona przez oboje zakochanych, którzy odtańczyli tej nocy taniec wokół mojego skalpu i wyjaśnili sobie, jak bardzo się kochają, czy też nienawidziła mnie tylko Maja,

a Brian trzymał się wersji o naszej wspólnej przyszłości. Modliłam się o to pierwsze — tak bardzo chciałam zobaczyć w ich oczach nienawiść i pogardę. Chciałam wrócić do Polski wyklęta przez całą czwórkę, smagana gradem ich przekleństw. Marzyłam o tym, żeby nikt z nich już się do mnie nie odezwał. Gdyby tylko mogli mnie znienawidzić, byłabym uratowana.

Tymczasem na śniadaniu, oprócz Karoliny i ojca, pojawił się tylko Brian. Maja jeszcze nie wstała. Ojciec rzucał jakieś żarty na temat sąsiadów. Na mój widok umilkł jednak i pokręcił głową, jakby mówił: „Spodziewałem się po tobie różnych rzeczy, ale żeby aż takich? I co my z tym fantem zrobimy?”. Nie przejął się przesadnie naszym małym dramatem — być może dlatego że Maja, kiedy stała się ofiarą, straciła dla niego urok. Mój ojciec lubił tylko ludzi wygranych. Zerkał na mnie z pobłażaniem, dając do zrozumienia, że w gruncie rzeczy coraz bardziej mu się podobam. Karolina natomiast patrzyła na mnie jadowicie, ale i z lękiem. Fakt, że nieatrakcyjna chłopczyca odbiła ukochanego jej wspaniałej siostrzenicy, budził w niej wściekłość.

— Intelktualistka! — powiedziała z przekąsem, nie patrząc na mnie. — Dawniej to się nazywało

„dziwka”. — Dramat Mai wyraźnie jej nie przygnębiał. Przeciwnie, była zadowolona, że może teraz się na mnie bezkarnie wyżywać.

Mogłam odpowiedzieć, że przecież ona kiedyś zrobiła to samo co ja, a nawet coś gorszego. Ale zamiast tego usiadłam w milczeniu, zgarbiona, i patrzyłam w talerz.

Brian rzucił mi spojrzenie pełne nadziei. Jego oczy w jasnym świetle poranka miały kretyński kolor chabrów. Udawałam, że go nie dostrzegam, i poprosiłam Verę o espresso zamiast o latte. Teraz jednak nie chodziło już o mój ascetyczny wizerunek intelektualistki, bo cały ten teatr wydał mi się żaloszny. Chodziło o śmieszne, dziecinne umartwienie. Coś we mnie wzbierało. Coś, co nie było krzywdą ani poczuciem winy czy wstydem — coś sto razy gorszego. Bałam się.

W końcu pojawiła się Maja. Najpierw zobaczyłam jej zgrabne nogi, jak idą chwiejnie w naszą stronę. Nie śmiałam podnieść głowy. Kiedy w końcu zerknęłam na nią ukradkiem, miała oczy zaczerwienione od płaczu. Nieuczesane włosy ściągnęła niedbale gumką. Jej wzrok mówił jednak, że przestała walczyć i osiągnęła smutny wewnętrzny spokój.

Uśmiechnęła się blado do Karoliny i mojego ojca, po czym wzięła croissanta, ale ledwie go ugryzła, zaraz zerwała się i podbiegła do relingu. Zobaczyliśmy, jak wymiotuje, przechylając się za burtę.

Brian wstał i podszedł do niej, ale każdy jego ruch mówił, że robi to wyłącznie z poczucia obowiązku. Maja strząsnęła z siebie jego rękę jak natrętną muchę i wbiegła do salonu.

— Nie spodziewałam się tego po tobie — powiedziała Karolina do Briana. — Spójrz na Maję i spójrz na Martę. — Jej usta wykrzywiły się w grymasie pogardy. — Jak mogłeś?

Wyjątkowo się z nią zgadzałam. Nie odezwałam się jednak. Nie miałam prawa się odzywać. Brian także nie odpowiedział. Szukał ze mną kontaktu wzrokowego, ale ja nie spuszczałam oka z mojego espresso.

— Bywają wielkie zbrodnie na świecie, ale chyba największą jest zabić miłość — zacytował ojciec z ironicznym patosem, ignorując Karolinę, i roześmiał się. Był taki pewny siebie, niezachwiany w dobrym samopoczuciu, które pozwalało mu zawsze usprawiedliwiać własne uczynki. Tym razem usprawiedliwiał także mnie, ale zamiast wdzięczności czułam złość i rozdrażnienie.

Wstałam i poszłam do kuchni, tam zrobiłam kanapkę z szynką, położyłam na niej pomidora i pietruszkę, tak jak robiła to moja mama, kiedy byłam mała, i wszystko przybrałam liśćmi sałaty. Wycisnęłam sok z pomarańczy i zagotowałam wodę na herbatę. Wybrałam zieloną senchę, bo wydała mi się najzdrowsza. Pomyślałam, że w swoim stanie Maja nie powinna pić kawy — choć tak naprawdę niewiele o tym wiedziałam. Postawiłam to wszystko na tacy i zapukałam do kajuty Mai.

Znalazłam ją na łóżku, na którym leżałam niedawno, snując fantazje o jej chłopaku. Teraz jednak jego zapach, który poczułam już od drzwi, tylko mnie odrzucił. Maja leżała na brzuchu, z głową schowaną w ramionach.

— Przyniosłam ci coś do jedzenia — powiedziałam niepewnie. — Wiem, jak się czujesz... — Nie było to szczęśliwe sformułowanie. Mogła źle odebrać poufałość z mojej strony. Z pewnością była teraz krucha jak filiżanka z porcelany. — To znaczy wiem, że źle się czujesz. Ale musisz coś zjeść. Zwłaszcza teraz — powiedziałam i znowu za późno ugryzłam się w język. Nie wiedziałam, jakie wrażenie wywrą na niej moje aluzje do ciąży, być może uzna, że nie mam do nich prawa. Gotowa byłam we wszystkim przyznać jej rację.

Nie odpowiedziała. Nie miałam pojęcia, co dzieje się w jej duszy, ale bardzo chciałam się dowiedzieć.

— Nie wiesz nawet, jak mi przykro — ciągnęłam odważnie. — To na pewno głupio brzmi, wszystko, co powiem, zabrzmie głupio, ale chciałabym, żebyś wiedziała, że to było nic, że to nie miało żadnego znaczenia. To ja go uwiodłam. — Byłam pełna dobrej woli, ale wszystko, co mówiłam, wychodziło strasznie.

Wiedziałam, że Maja ma prawo nic nie mówić, a moim obowiązkiem jest błagać ją o litość — choć nie było jasne, o litość dla kogo mi chodziło.

— Powiedział mi, że cię kocha — wyszłochała w prześcieradło, nie odwracając się nawet w moją stronę. — Choć gotów jest zostać ze mną — dodała z sarkazmem, od którego mnie samej zachciało się płakać.

— Jego i mnie nic nie łączy. Jeszcze będziecie razem i będziecie szczęśliwą rodziną. Cała trójka — ciągnęłam, zdeterminowana, żeby się nie poddać, dopóki jej nie przekonam.

— Usunę tę ciężę — powiedziała Maja, nie patrząc na mnie. Jej głos był spokojny, zrównoważony, ale wyczułam w nim też daleką nutę okrucieństwa, od której przeszły mnie ciarki.

— Jak to? — wyszeptałam. — Przecież mówiłaś, że nigdy w życiu byś tego nie zrobiła.

— Myliłam się. — Jej podbródek zaczął się trząść, ale teraz wydawała mi się już mniej sympatyczna. — Albo raczej nie przewidziałam, co może się stać. Nie przewidziałam, że ty...

Miała pełne prawo mnie oskarżać. Ale jej opinia o mnie nie miała teraz znaczenia.

— Pamiętasz, ma mieć na imię Danuta albo Kaz? Kochasz je, kochasz dzieci. Maja, jeśli to zrobisz, nigdy sobie nie darujesz. — Próbowałam przypomnieć sobie wszystkie dobroduszne rzeczy, które mi mówiła i z których tak się śmiałam. — Rodzina jest najważniejsza, ostatecznie nic innego się nie liczy. Brian będzie z tobą, a ty mu przebaczysz — powiedziałam, dotykając jej ręki. Wzdrygnęła się. — A nawet jeśli nie, nawet jeśli nie, to będziesz miała dziecko i tylko to stanie się ważne — dodałam cicho.

Przysiadłam na łóżku z tacą w ręku i gładziłam ją po głowie, a jej ciałem wstrząsały spazmy.

— Nie chcę mieć dziecka, które nie będzie miało idealnej rodziny — wyszlochała w końcu.

Czułam, jak ogarnia mnie straszny smutek. Jakby to dziecko było mną, lub więcej: jakby było moje. Ten smutek był pełen pretensji i żalu. Do mnie samej, do niej i do nich.

— A więc tyle była warta twoja anielskość — powiedziała cicho, raczej do siebie niż do niej.

— Słucham? — ożywiła się. Znowu wyczułam w jej głosie złość.

— Skąd bierzesz swoje ideały, idealna idiotko? Z jakiegoś poradnika ze złoconymi literami na okładce? — moje słowa były okrutne, ale nie pannałowałam nad nimi.

— Zniszczyłaś moje marzenia. — Podniosła się wreszcie i spojrzała na mnie tak, jakby widziała mnie po raz pierwszy w życiu. — Jak śmiesz prawić mi morały!

Wiedziałam, że ma rację. Nie mogłam jednak darować jej tego rozczarowania, które poczułam; widocznie dotąd do pewnego stopnia wierzyłam w prawdziwość jej słodyczy. Teraz smutek rozlewał się po całym świecie i miał biały kolor nicejskiego światła.

Zauważyłam, że nadal trzymam w ręku tę głupią tacę, i gwałtownym ruchem postawiłam ją na stoliku. Naczynia brzęknęły i rozlało się trochę herbaty.

— Czym są twoje marzenia wobec życia twojego dziecka? — powiedziała, sama wzdrygając się na ton pogardy w swoim głosie.

Nawet nie wiedziałam, że jestem przeciwniczką aborcji. Przeciwnie, byłam raczej za, choć nigdy

przesadnie się nad tym nie zastanawiałam. I to się teraz nie zmieniło. Ale wobec tego konkretnego nie-narodzonego dziecka miałam coś w rodzaju poczucia obowiązku, miłości i nieskończonego żalu.

Tego popołudnia zamknęłam się w kajucie i gorączkowo rozmyślałam. Ktoś musiał wyłączyć klimatyzację, bo w środku zrobiło się nieznośnie gorąco. Maja mnie rozczarowała, kto wie czy nie bardziej, niż ja rozczarowałam ją, ale nie chciałam pogodzić się z przegraną. Chodziłam od okna do drzwi, czując, jak strużki potu spływają mi po plecach, i przekonywałam się, że dziecko Mai i Briana staje się dla mnie czymś najważniejszym na świecie, czymś, co za wszelką cenę muszę ocalić. To dziecko nie było winne egoizmu swojej matki, której mózg zjadły poradniki w rodzaju *Jak zostać idealną gospodynią domową*. Nie było winne kretynizmu swojego ojca, który uznał, że poczęcie dziecka to świetny moment, żeby z nonszalanckiego playboya przedzierzgnąć się w sentymentalnego dupka. A przede wszystkim nie było winne, że pasierbica ciotki jego

matki wymyśliła sobie, by akurat teraz wyzwalać się z własnej przeszłości. Miałam ochotę wyjść na pokład i zapalić papierosa, tak jak to robiłam wieczorami, czekając na Briana, ale oparłam się pokusie — papierosy, tak jak moja „europejskość” i w ogóle całe to wyrafinowanie, były częścią ponurej komedii, która przywiodła mnie do tej smutnej pointy.

Z okna kajuty widziałam sąsiedni jacht, na którym steward nalewał wino do kieliszków. Wiedziałam, że tam, niedaleko, ze swoim skuterem, swoją lekkością i urokiem Jeana-Paula Belmonda, być może nadal czeka na mnie Mathieu. Ale wszystko to raz na zawsze mi się wymknęło. Tak właśnie musiał się czuć człowiek dotknięty śmiertelną chorobą — jakby świat był już poza jego zasięgiem.

Im dłużej biłam się z myślami, tym bardziej byłam przekonana, że istnieje tylko jedno wyjście. Było trochę szalone, ale teoretycznie wydawało się mieć sens. Kiedy tak rozmyślałam, sens ten odsłaniał mi się na różne, najdziwniejsze sposoby, właśnie tak, jakby ktoś przed moimi oczami co chwila na nowo potrząsał kalejdoskopem. Czy to właśnie miał na myśli mój ojciec? Czy rzeczy i zdarzenia znaczą czasem co innego, niż nam się wydaje? Zdjęłam z ręki platynową bransoletkę od Tiffany’ego, którą dostałam kiedyś od ojca. Tak długo budziła we mnie

złe uczucia, ale ostatecznie czy nie była po prostu wspaniałym i czułym prezentem? Przypomniałam sobie tamten dzień w Konstancinie, zaledwie dwa tygodnie temu. Ten jeden dzień, kiedy wносиłam radość do ich życia. Kiedy wydawało im się, że się z nimi pogodziłam. Tak bardzo nienawidziłam tego domu, ale może był po prostu tak samo smutny i spragniony szczęścia, jak każdy inny — i teraz, spośród wszystkich domów na świecie, to właśnie w nim mogłam znaleźć ratunek?

Zastałam Karolinę i ojca na deku. Popijali wino i przeglądali prasę. Znowu zdziwiło mnie, że Karolina nie jest z Mają albo z Brianem, że nie zajmuje się mediacją — spodziewałam się raczej, że będę musiała odrywać ją od nich za pomocą jakiegoś podstępu.

— Chciałam z wami porozmawiać — powiedziałam cicho i usiadłam na skraju krzesła. To, co miałam im zaproponować, wymagało szczególnej dyplomacji.

Karolina podniosła brwi, sygnalizując zdziwienie. Uśmiech ojca był drwiący i zdawał się pytać: „Co ona jeszcze wymyśli?”. Czułam, że zaczyna być zmęczony naszymi dramataми.

— Maja nie może usunąć tej ciąży. Zresztą to jest wspaniała okazja dla was — wypaliłam od razu. Kiedy przygotowywałam te słowa w kajucie,

wydawały mi się całkowicie odpowiednie. Wypowiedziane, zabrzmiały jednak fałszywie. Zapewne popełniałam błąd, mówiąc o ich potrzebach. Należało sprawić, by uznali, że ktoś ich potrzebuje, powinni poczuć się wspaniałomyślni.

— W jakim sensie? — spytała Karolina, odkładając na stół „Elle”. Jej oczy były niewidoczne zza okularów przeciwsłonecznych, ale usta wykrzywiły się w nieprzyjemnym grymasie.

— To znaczy, chciałam powiedzieć, że Maja potrzebuje waszej pomocy — poprawiłam się, speszona. — Jeśli nie będzie go chciała... Jeśli nie będzie chciała tego dziecka, to może gdybyście jej obiecali, że je adoptujecie, kiedy się urodzi... Gdybyście byli tak wspaniałomyślni, żeby adoptować jej dziecko...

Wokół panowała całkowita cisza. Wydało mi się, że nawet morze przestało falować w oczekiwaniu na to, co powiem dalej. Jedynym odgłosem, jaki słyszałam, było bicie mojego serca.

— Karolina byłaby wspaniałą matką. Jesteś opiekuńcza, masz instynkt macierzyński... — brnęłam dalej, ale jakaś ręka zaczęła ścisnąć mi gardło i żołądek.

Nie musiałam nawet patrzeć na ich martwe, nieprzeniknione twarze, żeby wiedzieć, co sobie myślą.

Myśleli, że mój genialny plan jest naiwny i dziecinny. Zaraz zaczną się ze mnie śmiać, a ja będę mogła tylko się rozplakać, jak Ania z Zielonego Wzgórza albo Polyanna, snujące marzenia, które spełniają się jedynie w książkach.

— Nie rozumiecie?! Ona nie może pozbyć się tego dziecka! — rozplakałam się nagle.

— A dlaczego nie? — spytał ojciec z zaciekawieniem. Był zimny i daleki, taki jak wtedy w Konstancynie.

— To życie Mai. Jak ona śmie się do niego wtrącać? — rzuciła Karolina z pogardą.

— Wszyscy myślą tylko o jej życiu. A co z życiem tego dziecka? To nie jest ważne? — szlochałam.

Tak, mieli rację, to nie brzmiało poważnie. Ale czy to, czego broniłam, nie było poważniejsze od ich powagi?

— Mimo swoich papierosów i francuskich powieści jesteś jeszcze bardzo dziecinna — uśmiechnął się ojciec. Jego policzki błyszcząły czerwienią. W głosie słyszałam znudzenie. Znudzenie, bo nie okazałam się jednak tak twarda, jak mu się przez chwilę wydawało. — Można grzeszyć, ale trzeba umieć znieść konsekwencje tych grzechów — dodał z wyrazem twarzy człowieka, który wspiał się w tej dziedzinie

na prawdziwe wyżyny. Po czym podniósł gazetę, dając do zrozumienia, że temat uważa za zamknięty. A mnie nagle olśniło, po co w ogóle mnie do siebie zaprosił i po co chciał, żebym stała się taka jak on, twarda i pozbawiona skrupułów. Wtedy czułby się usprawiedliwiony. Sam nigdy by się nie przyznał, że mu na tym zależało, ale przecież musiało mu zależeć. Nie było innego wytłumaczenia.

— To znaczy być bez serca, tak?! — krzyknęłam przez łzy i podbiegłam do burty. — To właśnie tyle znaczy.

Usłyszałam, że Karolina wstaje. Po chwili przyniosła krem ochronny i zaczęła smarować ojcu kark.

— Muszę o ciebie dbać, bo inaczej zaraz się spalisz. Mężczyźni są jak dzieci — powiedziała z tą swoją groteskową opiekuńczością. Ale w jej głosie była także ulga. Ulga, że jej życie nie musi się zmieniać.

Ojciec uśmiechnął się obojętnie. Vera przyniosła nową butelkę wina; widziałam, jak puszcza do niej oko. A więc ostatecznie nie istniał żaden kalejdoskop i wszystko było po prostu takie, jakie się wydawało.

Zapragnęłam, żeby mnie przytulił i powiedział, że wszystko będzie dobrze. Zamknęłam oczy i znowu próbowałam przypomnieć sobie jego pomięte

zdjęcie pod poduszką oraz szary stołek, z którego patrzyłam, czy nie wraca. Albo jak czekałam, że ni stąd, ni zowąd pojawi się na wywiadówce. Albo jakąkolwiek smutną, piękną scenę z tamtych czasów. Ale nie. Te wspomnienia utraciły magiczną moc. Zamiast tego widziałam bladą twarz Alissy, kiedy patrzyła ufnie na nas, dorosłych, rozmawiających o tym, że za chwilę zostanie skrzywdzona.

Mój ojciec i matka Alissy nie mieli racji — krzywda nie była niczym. I ja nie miałam racji — krzywdzenie innych nie było prawem dorosłości. Nie, dorosłość polegała na czymś zupełnie innym. Polegała na życiu tak, jakby nigdy dotąd nie zostało się zranionym i przez to nie musiało się ranić innych. Jakby każdy uczynek był naszą suwerenną decyzją. A więc, w gruncie rzeczy, jakby nie było żadnego dotąd.

I wiedziałam, że z całą pewnością takiego życia nie nauczę się na tym pięknym jachcie.

Epilog

Nikogo z nich nie widziałam od czasu tamtych wakacji. Brian dodał mnie do grona znajomych na Facebooku i przez pewien czas umieszczał na mojej tablicy linki do recenzji w „New York Timesie”, dając do zrozumienia, że stał się intelektualistą i że gdybym tylko zechciała, byłby dla mnie godnym partnerem do rozmów. Pozostawiałam jego zaczepki bez odpowiedzi. Potem przeczytałam, że wyjechał do Francji. Na jego profilu pojawiły się zdjęcia z kawiarni i dekadentkich klubów Paryża, a ja wiedziałam, że szuka w nich grzesznych smaków Europy, które tak przypadły mu do gustu. Jakiś czas później napisał mi, że Maja wyszła za mąż. Być może liczył, że kiedy się o tym dowiem, uznam tamtą sprawę za zamkniętą i odezwę się do niego. A może po prostu chciał mi to powiedzieć.

Mathieu pojawił się w moim życiu jeszcze raz — nasza znajomość była urwaną opowieścią, która

czekała na dokończenie, i pewnego lipca dwa lata później wyrwałam się z Londynu do Nicei, żebyśmy mogli podjąć wątek przerwany przez tamte wypadki. Teraz jednak Mathieu nie miał już w sobie tego czaru, który kiedyś na mnie rzucił. A może to ja dorosłam — studia w Londynie zmieniły mnie, podczas gdy on został tam, gdzie go poznałam, wieczorami próbując pisać, w ciągu dnia zaś zarabiając jako pośrednik w biurze nieruchomości. Może prowadziłam już bardziej niezwykle rozmowy niż z nim, a może to on stracił odrobinę blasku, ponieważ brutalna rzeczywistość podcięła mu skrzydła? A jednak zobaczyłam wreszcie Cap Ferrat z gór nad Niceą — i ta chwila, kiedy siedzieliśmy przytuleni wśród grających szaleńczo cykad, miała w sobie urok dawno utraconej niewinności.

Jeśli chodzi o Karolinę, zobaczyłam ją pewnego dnia w restauracji przy ulicy Mokotowskiej. Byłam tam w towarzystwie mojego ówczesnego chłopaka, Chrisa, z którym przyjechałam z Londynu na weekend, i przez kilka minut mogłam obserwować ją znad jego ramienia. Z pewnością mnie nie poznała. Jej skóra wydawała się jeszcze wrażliwsza, jakby za pierwszym dotknięciem miała się rozsypać na tysiące okruchów. Ale przede wszystkim w jej oczach na

dobrze rozgościła się pustka. Ta pustka, którą można było dostrzec już wtedy i której być może mogłaby się pozbyć, gdyby zgodziła się na moją szaloną propozycję. Ale rozumiałam już, że Karolina wcale nie chciała żyć inaczej i zaakceptowała swoją sytuację bez mrugnięcia okiem, tak jakby była ona jej przeznaczeniem.

Co do mojego ojca, jego również nie widziałam od czasu tamtych wakacji — i być może tak już pozostanie. Nie myślę o nim prawie wcale. Pamiętam jego słowa, że może mi wiele dać, i wiem, że to prawda, ale z tego „wiele” część mogę osiągnąć sama, w całej reszcie zaś nie ma nic, czego bym naprawdę chciała. Ostatecznie wyjechałam na studia do Londynu bez jego pomocy i każdego dnia jestem szczęśliwa, że nie muszę mu za nic dziękować. Moja współlokatorka Susan mówi mi czasem, że się go boję, czy raczej boję się osoby, którą się przy nim staję. Zapewne ma rację. Susan chciałaby, żeby wszystkie rodziny zrozumiały się i odnalazły, ale ja się z tym nie zgadzam. Ostatecznie jestem dorosła, a czy dorosły człowiek nie ma prawa wybierać sobie towarzystwa?

I tylko czasami, po jakiejś nieudanej historii miłosnej albo kiedy nie dostaję odpowiedzi od znanego

redaktora, któremu wysłałam opowiadanie, znów nachodzi mnie stare, dobrze znane pragnienie, żeby przypomnieć sobie dzieciństwo. Czekam, aż Susan wyjdzie, i wtedy kładę się na łóżku z nogami opartymi o ścianę, puszczam sobie *Dickhead* Kate Nash, zamykam oczy i próbuję ożywić w głowie stare duchy: stołki, okna, kamienie. Zamiast tego jednak za każdym razem przypomina mi się inne dzieciństwo, którego nigdy nie będzie — z mojego powodu. I ogarnia mnie wtedy uczucie tak straszne, że aż niewyobrażalne, jakby spadało na mnie coś wielkiego, skała albo planeta — jak w tamtym koszmarnym śnie z dzieciństwa.

Tak, teraz już wiem niestety, co zawierał tamten sen. I na tym także polega dorosłość — na zrozumieniu, co mieści się w naszym najgorszym śnie z dzieciństwa. I że nie jest to bynajmniej nasza własna krzywda.